

nagranie VII-X 1990r.

Waldemar POMASKI

przez M. Giżejewską

ARCHIWUM WSKROŚNIE

IA. Urodziłem się 18 września 1927 r. w Warszawie. Rodzice moi mieszkali w Warszawie cały czas. Ojciec był związany z wojskiem do 26 r. potem zajmował się leśnictwem - jako urzędnik. Potem też chyba był związany z wojskiem. Ja natomiast - z harcerstwem i konspiracją w oddziałach liniowych - III Obwodu Warszawskiego na Woli - od 42 r. Tam skończyłem szkołę Łączni Dowódców. Wszystkie moje dokumenty były wystawione na 25 rocznik. W 42 r. brat zginął w akcji i to zapewne ukształtowało moją osobowość, zachowanie i działanie. W domu panował taki zwyczaj, że wszyscy osobie wszystko wiedzieli, ale nikt nic nie mówił.

Po zakończeniu szkoły zostałem skierowany do Kedywu i do Powstania Warszawskiego pracowałem w oddziale "OB-16" /p. Strzembosz - Oddziały Walczącej Warszawy i p. Kuleszy - w wytwórni papierów wartościowych/, pluton 313. Pseudonim "Klawy". Wziął się on z lektury książki żydowsko-okryminalno-złodziejskiej "Urke- Nahalik" i tam występował bohater "Klawy", który wszystko potrafił i stąd wziąłem ten pseudonim.

W Powstaniu - z bronią, od Woli, poprzez Młynarską - Żytnią - Spokojną - powrót na Stare Miasto, na Muranów, do wytwórni papierów wartościowych - z powrotem na Starówkę, a stamtąd w osłonomym oddziale wychodzącym z ulicy Bonifraterskiej, o świcie, pociężkich przejściach kanałami /z bronią i niosąc rannych kolegów/ - na Wawelską, po przejściu kilku barykad, przetransportowane nas do ambasady belgijskiej, gdzie się umyliśmy po tych aknalach i część broni zamieniliśmy na produkty /takie fakty też były/ - na ulicy Wilanowskiej, potem na Książęcą do ówczesnego Domu Parafialnego, gdzie oddział doczekał końca Powstania i kapitulacji. Potem obozy: w Ożarowie, Lancdorfie, Lukenwölde, Zorall. Wyzwolenie przez oddziały radzieckie i kontakt z Armią Radziecką. Nastroje były rozgoryczone - podanie palca, a nie pomoc - "tak blisko, a tak daleko". Nienawiść, która była przeciwko Niemcom skierowała się w drugą stronę. Wszyscy powalkach mieliśmy poczucie bezsilności. Ludność bywilna nie zawsze była ustosunkowana przychylnie, gdy przechodziliśmy przez piwnice

nierzadko padały przykre słowa, zwłaszcza na Starym Mieście, bo Śródmieście to był luksus.

Ostatnie godziny St. Miasta były przykre chyba dla wszystkich. Po tzw. wyzwoleniu - każdy, kto był naiwny, chciał się zgłosić do wojska. Byliśmy izolowani - jako pułk zapasowy. Zafrontem nie było ludności cywilnej - tylko my - w różnych mundurach i ubraniach z darów Czerwonego Krzyża - tylko z numerami malowanymi przez Niemców. /Ja byłem wyzwolony z miejscowości Żary - między NRD a Poznaniem/

Rosjanie zaczęli wybierać spośród nas ludzi starszych, znających jakiś fach: mechaników, hydraulików itp. To nam się nie bardzo podobało chcieliśmy sformować jakiś pułk osobny do walki. Po ok. 10 dniach wezwali nas w nocy, po apelu, do komendantury - "po odbiór listów" - dla ok. 12 osób, z naszej grupy. Było to z 10 na 11 marca 1945 r.

I jak poszedłem po te listy, to przyjechałem dopiero w 54 r., w styczniu. W trakcie tej ewidencji wszystko opowiadaliśmy, nawet to, co robiliśmy w konspiracji. Później było normalne śledztwo, w czasie którego zarzucano nam, że jesteśmy dywersantami, szpiegami itp. Byliśmy już poza obozem - w ziemiankach. Jak front - 1 Pierwszy Białorusi Front - oddział przenosił nas ze sobą. W Lancbergu /cały spalony, z wyjątkiem więzienia/ był sąd wojskowy. Znalazł się tam osobnik, w mundurze zbliżonym do munduru polskiego, z rogatywką polową - podporucznik, który przetłumaczył nam wyrok. Z początku straszono nas karą śmierci, ale potem z łaski Wielkiego Wodza skazano 11 osób na 10 lat ITŁ, a jednego na 15 lat. Był to paragraf 58, p. 6,9,14 /odpowienio: szpiegostwo, dywersja, sabotaż/.

Stamtąd przewieziono nas do Kotbusu - do obozu izolowanego drutem. Tam już spotkaliśmy nie tylko Polaków, ale również eks-żołnierzy ACz. Wszyscy czekaliśmy na transport. Jednej nocy zbudziły nas krzyki i intensywna strzelanina. Nie wiedzieliśmy o co chodzi. Okazało się, że był to koniec wojny. Powiedziano nam o tym na porannym apelu. Wywieziono nas nidlugo potem i w drugi dzień Zielonych Świątek przejeżdża-

liśmy przez Warszawę. Jechaliśmy na wagonach bydłych, z drutem kolczastym dookoła, z okratowanymi oknami. Rosjanie trochę pouchylali okna i nawet na Dw. Zachodnim ludność starała się nam coś podać - jako wyraz sympatii dla każdego, kto jedzie w zakratowanym wagonie. Mogliś zobaczyć fragmenty Warszawy. Zobaczyłem odcinek nad ul. Wolską, tam gdzie byłem na początku Powstania.

Podróż trwała dalej na wschód. W wagonie była rynienka drwniana, prowadząca do dziury w podłodze - jako ubikacja. Były nary - dwupoziomowe. Nie pamiętam, ile było osób w wagonie, bo w tym czasie byłem jeszcze bardzo przestaszony zachowaniem żołnierzy radzieckich i traktowaniem nas. Prawdopodobnie było chyba ok. 60 osób - napchani ajk śledzie. Posiłek był jeden dziennie: suchary, woda, ryba solona. Woda była wtedy, gdy do kogoś dotarła. Przy tej okazji zrozumiałem, skąd się wzięli co tzw. oficerowie ACz - jako więźniowie. Byli to wię kryminaliści, którzy nawet w tej Armii przekroczyli pewne granice i musino ich aresztować. Już w czasie tej podróży narzucali współwięźniom swoje specjalne prawa, które później w obozach też poznałem.] M.in. pierwsze "frycowe" na trasie Kotbus-Brześć /była to nauczka na dłacze lata/ - Rosjanie dostarczali wodę i jedzenie, a dla nas już nie starczało.

IB . Myśmy byli w tym czasie jeszcze nie tak bardzo zmaltretowani i mieliśmy nadzieję, że wkrótce nas /alianci/ uwolnią. Wierzyliśmy, że będzie konflikt między tymi dwoma cywilizacjami. [Już pierwsze zetknięcie nas z ACz. do rowadziło nas do przekonania, że jest ot dzie to dzicz /jedli z misiek do moczenia nóg/. Z tego płynął już wniosek, że jeśli oni są naszymi zwycięzcami, to miie będzie czekać chyby zlizywanie z podłogitego, co im kapnie. Od razu powstawał jakiś bunt wewnętrzny. Większość z nas pochodziła z domów o jakimś wychowaniu, kulturze. Dlatego mieliśmy nadzieję, że tak długo być nie może - miesiąc dwa, pół roku - i normalnie człowiek wróci do normalnego życia - bez głodu, choć okupacja nie była lekka.

Konwojowały nas oddziały NKWD. Na stacjach , na których się

zatrzymywaliśmy, żołnierze dużymi młotakami opukiwali wagon dookoła, zwłaszcza od dołu. Potem dowiedzieliśmy się, że oni sprawdzali, czy ktoś nie przepiłował desek żeby uciec.] Z początku te łomoty były szokiem, zwłaszcza ajk była kolejka do spania - człowiek budził się i nie wiedział, co się dzieje.

Wieźli nas bocznymi toramiż Przejedźaliśmy przez Siedlce. Razem ze mną jechał kolega, z którym znaliśmy się od I-ej klasy szkoły podstawowej. I on powiedział, że ma w siedlcach jakąś rodzinę. Byliśmy już wtedy po małym mordobiciu w wagonie, bo nie dawaliśmy się "oszwabić" żołnierzom rosyjskim. Mieliśmy już dostęp do paraszy i nawet po drugim podejściu mieliśmy dostęp do wody. Dla ugody dostaliśmy od nich nawet ołówek i kawałek kartki. Kolega /Ścibor Karol/ nie żyje/ napisał na kartce: "Wiozą nas z Waldkiem do Rosji - na parę dni albo na parę lat". Napisał adres ciotki i narysował krótką kreskę. Tę kreskę udało nam się wyrzucić z pociągu koło budki dróżnika.

[Dowieźli nas do Brześcia - do więzienia. Był to nowoczesny budynek zbudowany przed wojną. Po przyjeździe do więzienia była "czystka" i znęcanie się nad więźniami, zwłaszcza polskimi. Okazało się, że kalwische byli to partyzanci związani z tamtym terenem i nienawidzili Polaków. Bili nas fachowo.

Na apelu rozparcelowano nas do cel. Na pożegnanie jeszcze dołożyli nam między żebrem a szyją. W celach było ciemno i tak wielu ludzi, że po prostu nie można było wejść. Były to cele 6-osobowe, w których umieszczono ponad 30 osób. Było już lato, duszno i ciężko. Jeśli trafiło się do celi, w której byli Polacy, to można było stworzyć grupę i wywalczyć lepsze warunki. Natomiast jeśli było ~~para~~ Polaków tylko kilku albo miejscowi, którzy nie przyznawali się do polskiego pochodzenia, to żywot był ciężki. I tacy koledzy marzyli, żeby przestać żyć. Ja należałem do tych, którzy nie dają sobie w kaszę dmuchać - dopóki miałem siłę. Nauczyłem się już, żeby nie dać po sobie deptać.] Koledzy moi mieli do mnie ciężki żal, że pierwsze moje słowa, których nauczyłem się po rosyjsku to były przekleństwa - nie zatrzymując się długo, na-

wet przez 3 minuty tak. że ten , który mnie atakował nie wiedział, kim jestem. W dodatku uderzenie miałem "dobre". Nie wiem, skąd mi to przyszło, bo jak oni się później ze mnie śmieli - zachowywałem się tak jakbym dobrze tych ludzi znał i przypadkowo się tam /w więzieniu/ znalazł. Starsi ode mnie mieli nawet żal, że tak klnę po rosyjsku. Ale to było okazanie, że nie dam sobie zrobić krzywdy.

[Z Brześcia - po ok. 3 tygodniach - przewieźli nas do Orszy. Z grupy, którą nas sądzili, znalazło się 5 osób i dopiero w POćmie /jadąc już do Posli/ spotkałem 4 pozostałych. W trakcie szykowania transportu do Orszy była szczegółowa rewizja. Szukało się wtedy "naszych". W wagonie jechaliśmy już z "błatnymi", którym po dotychczasowych doświadczeniach nie daliśmy sobie nic zabrać. "Błatnyje" tworzyli w obozie osobne "państwo", ze swoją hierarchią, które było pewnie zorganizowane na wzór tego, co istniało na wolności. Zasada ich było niepravowanie. Sowietci tolerowali przestępców.] W tym czasie dobrobytu - przed wojną - musieli kraść, żeby przeżyć. ["Dzielenie" się własnością państwa było normą. Potem każdy każdego się bał. W obozie panowała specjalna hierarchia i kanony, które nie pozwalały złodziejom współpracować ze służbą więzienną. "Suka" - to w żargonie złodziejskim był "złodziej z rodowodem", który zaczął współpracować z władzą więzienną, więc zdradził ich kodeks. Ale wszyscy starali się żyć kosztem innych więźniów, którzy musieli pracować i dla wszystkich NKWD-zistów i dla wszystkich "błatnych". Było przysłowie: "Przyjdą biali - i grabią, przyjdą czerwoni - i grabią. Gdzie się ma biedny kolchoźnik podziąć?". To samo było tutaj.]

Ja osobiście wolałem z "błatnym" zgubić się niż z "suką" znaleźć, bo część z tych "hrabiątek" złodziejskich była oczytana, niegłupia. Wytworzyli sobie swój własny świat, dzięki któremu mogli przeżyć w tym ustroju. Była to swoista arystokracja. Ale jeśli ja byłem głodny czy było mi bardzo ciężko - mogłem liczyć na nich /jeśli miałem jakichś przyjaciół/. Jeśli wiedziałem, że robię coś niezgodnego z regulaminem

np. szukuję się do ucieczki czy do jakiegoś przestępstwa /bo przecież wszystko było zakazane/, to jeśli o tym dowiedział się jakiś "suka", wiadomo było, że za 2 godziny będę izolowany w karcerze. A jeśli wiedział to "błatny" - to albo coś poradził albo przestrzegł: "nie rób tego, bo inni na tym wpadki". ["Suki" byli przedłużeniem władzy więziennej, a "błatnyje" żyli kosztem innych, o ile ci sobie na to pozwalali. Nie zabijali tej "kury, co znosi złote jajka".]

Białorusini np. dostawali paczki z domu. Jeśli taki Białorusin był mądry, to dzielił się od razu z najstarszym wśród "błatnych". I tej drugiej połowy nikt mu już nie zabierał, a jeśli nawet ktoś mu ukradł, to po odwołaniu się do "szefa" - zaraz mu oddawano. "Suki" natomiast wszystko zabierali, jeszcze dawali czasem po łbie.

Takie były zwyczaje obozowe i trzeba się było do tego przystosować, jeśli się chciało przeżyć.

W Maryjsku np. z Markiem Marczewskim trafiliśmy do pracy w gorzelni - 2-ej co do wielkości w ZSRR. Zatrudnieni byliśmy jako kulisi. Wojska radzieckie ze Wschodu /z Mandżurii/ transportowały duże ilości ziarna. I my to ziarno z wagonów rozładowywaliśmy i nosiliśmy w workach do elewatora /po 8-10 kilo/. Na początku upadaliśmy pod zarzuconym workiem, ale po pewnym czasie przystosowaliśmy się. Część więźniów pracowała przy węglu w gorzelni i dla nich przenosiło się ziarno do obozu. Jedliśmy to ziarno na surowo. Albo kończyło się to biegunką i koniec żywota albo żołądek się dostosowywał, człowiek przeżywał i nie był taki głodny.

IIA. W czasie pierwszych dni tej ciężkiej pracy przekonaliśmy się że życie polega na tym, żeby przeżyć. Trzeba było zdobyć jakiś kociołek, żeby można było w nim gotować to przynoszone ziarno na kaszę. A przedtem trzeba było mieć jakiś młynek do zmielenia ziarna. Z kolegą /Jurek Królikowski/ z okolic Lidy, zamieniliśmy koszule, które nam jeszcze zostały, na kociołek.]

[W obozie tym było ok. 4 tysiące ludzi i było tam wszystko. Problem polegał tykko na tym, że jedni kociołek sprzedawali, a drudzy zabierali go właścicielowi. I ten kociołek był kilka razy sprzedawany przez tych złodziejasków.]

Gotowaliśmy kaszę w "suszarce", która już działała, bo zaczęła się jesień. Suszarka była w zbudowanej przez nas ziemiance. Był tam piec, przy którym suchyło się odzież i na którym - po daniu porcji kaszy lub ziarna obsługującym - gotowaliśmy kaszę. Zdobyliśmy trochę soli i rano grupa mogła się trochę posilić. [Jednego dnia zaniósłem kaszę do gotowania, na drugi dzień rano idę - kociołka nie ma i kaszy nie ma. Była tam tzw. IX brygada - samych morderców - i wiadomo było, że kociołka należy u nich szukać. Po porozumieniu się z Jurkiem i Markiem poszedłem do tej IX brygady. Wchodzę dō jednego z pomieszczeń i widzę, że nasz kociołek stoi pod narami. I zaczyna się walka. Człowiek nie zastanawiał się wtedy, czy mu zrobią krzywdę, czy nie. Dostał trochę po krzyżu. Na to wstystko wchodzi starczy tych "błatnych" - widzi to całe zamieszanie, trochę krwi mojej i innych, przerywq walkę i pyta się mnie, skąd ja się tu wziąłem, ale mam lat /Polaków wtedy nazywano "Pszekami", i dlaczego tu przyszedłem. Odpowiedziałem z mocno wulgarnymi określeniami, że zabrali mi kociołek i przyszedłem go odebrać. On pyta: "to twój?" - "mój". "A nie bałeś się, że cię tu zawiąją?" Odpowiedziałem, że najwyżej jeden za jeden albo dwóch za dwóch - jeśli tak, to proszę bardzo, ale jak zabrali mi kociołek, to i tak muszę ddechnąć, a on jest mój i muszę go odebrać. On się popatrzył, zapytał skąd jestem. Mówię, że z Warszawy. On na to, że Sienkiewicza czytał. "A ty jesteś młody. Skąd wiedziałeś, że kociołek jest tutaj?". Ja mu na to, że przecież nikt inny by nie zabrał, tylko wy. A ty jesteś sam? Nie, nas jest czterech. A przyszedłeś tu sam? Sam, bo oni się bali. A miałem wtedy 18 lat i stary powiedział, żeby "malczika więcej nie ruszać". "Jak będzie ci się jakaś krzywda działa, to przychodź dō mnie". Potem pomagali mi, a ja im, gdy trzeba było zdobyć kaszę albo coś innego.]

Tak że mimo zasady "oko za oko, ząb za ząb, nóż za nóż" można było z nimi żyć. I między nimi - chociaż byli i mordercy - jakieś wzajemne poszanowanie istniało.

Na jesieni przewieźli nas z Orszy do Maryńska - podróż trwała ok. 2 tygodnie - przez Omsk, Nowosybirsk - do Kiemierowskiej Oblasti do Maryńska. Tam był też duży obóz przejściowy /ok. 20 tys. ludzi/ - mias- to w mieście. Z podobozami. Tam spotkałem paru Polaków, którzy miesz- kali tam od dawna /m.in. komunista od 38 r./. Patrzyliśmy na nich ze zdziwieniem, że jednak żyją od tyłu lat.

W tym obozie dopiero zobaczyliśmy, że białnyje i inni więźniowie normalnie żyją z kobietami - w hangarach trwało normalne życie. Niekt- órzy chodzili bardzo ładnie ubrani - nak na obóz - drudzy umierali z głodu. Trochę to było szokujące. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że każdy nowy transport coś przywozi, coś sprzedawał. Albo no- wych ludzi po prostu się okradało. Było to poza tym zaopatrzenie dla miejscowej ludności, transporty były źródłem utrzymania dla handlarzy. Białnyje natomiast trudnili się rabunkiem i robili domy publiczne.

Myśmy na początku wdrapali się na 3-cie piętro /nar/, we trzech, bo tam było luźniej. Patrzymy na końcówkę nar - a tam luźno, chyby 2, 3 osoby. Zdziwiliśmy się, chyba tam jeszcze nikt nie dotarł - nieświa- domi, że "TO" tak wygląda. Siedzi tam jakiś więzień, popatrzył na nas, coś burknął, inni chcieli nas zrzucić, ale się nie daliśmy i siedzimy dalej skuleni i głodni. Patrzymy: jakaś dziewczyna wdrapuje się na to trzecie piętro, rozmawiają ze sobą. Potem zeszła. "Dziadzip Sasza" /tak nazywał się zawsze głównódowodzący przywódca białnych/ wyciąga słoninkę, chleb, kroi to i je. My oczy otwieramy ze zdumienia - czy tak w tym obozie karmią? - nieświadomi, gdzie weszliśmy. Za chwilę dziweczyna przyprówdziła drugą, wchodzi, goszczą się. Po chwili Dzia- duio Sasza mówi do tej drugiej, żeby się rozbierała. Dziweczyna, spło- szona, nie wie o co chodzi, ale "pieski" Saszy w jednej chwili rozeb- rali ją na "sautè". Protestowała, ale ścierą zatkali jej usta. I Dzia- dzio Sasza swoje instynkty z nią zaspokoił. A jak skończył - zrzucił

ją na podłogę i krzyknął coś do swoich towarzyszy. Położyli ją na środku, na klęczkach, jeden przydeptał jej włosy, a inni zabawiali się z nią po kolei. I kazali jej szczekać. Rozległ się tylko szloch. Zaczęli ją bić, ale ona widocznie nie mogła szczekać. Dziadzio Sasza, stając rozebrany na gorze, krzyknął, żeby oni szczekali. I tak odbywała się zabawa. W końcu tę zmaltratowaną dziewczynę, jak worek, nogą wyrzucili za barak. I dalej nikt się nią nie interesował. Wtedy widocznie można było jeszcze przechodzić z baraku do baraku.

[Po 5 dniach pobytu w tym obozie jest apel i część z nas kierują do "spec-zawodu". My na początku nie wiemy, o co chodzi, niektórzy mówią, żeśmy dobrze trafili, inni znowu, że bardzo źle. Zauważyli nas ok. 200 km od Maryńska do gorzelni. Razem ze mną był Jurek Królikowski i Bronisław Marczewski /Marek/, z którym znałem się ze szkoły w Warszawie. Stanowiliśmy taką trójkę, która mogła się bronić na trzy strony. I tak tak zaczęliśmy życie w tym obozie.] Spotkaliśmy tam dwóch naszych oficerów - jeden z Warszawy, starsi, doświadczeni. Żalowali, że byliśmy w złej kondycji, bo gdybyśmy byli w dobrej, to by nam coś pomogli. I dali nam rady: żebyśmy z sił nie opadali, minimalnie pracowali i /zasada życia/ zachowali godność człowieka - Poalaka, nie grzebali w odpadach, bo i tak się tym nie najemy. Jeden z nich /topograf/ - nie pamiętam nazwiska - miał takie powiedzonko: "jak ty przejdiesz, po tobie może tylko żużel zostać" - wszystko, co jest w twoim zasięgu, bez skrupułów ściągać, wpychać w siebie. Ty jesteś tu Murzynem, niewolnikiem, masz nie pracować i co spotkasz, to jest twoje.

[Jakieś 2-3 dni po tej rozmowie w nocy - ruch, strzelanina. Okazało się, że tych dwóch Polaków i Ukrainiec - przeszli, a raczej przekoczyli przez wartownię - na chłama, na siłę. Była mgła, na którą czekali i ta ucieczka im się udała /było to w 45 r./.] Potem dopiero domyśleliśmy się, o co im chodziło, gdy mówili o naszej złej kondycji - gdybyśmy mieli dobrą, to by nas ze sobą wzięli. [Jeden z nich był na tyle odważny, że przysłał do naczelnika /kuma/ kartkę. Uciekali na południe ZSRR. Normalnie, gdy uciekał ktoś z obozu, NKWD-ziści mieli

taki zwyczaj, że gdzie by nie był - przywozili trupa, kładli go przed obozem i miał on odstracać innych więźniów przed ucieczką. A to była jedyna ucieczka, po której nie przywieźli trupów do obozu. Stąd przypuszczalnie się udała.] Było jeszcze prawo, że jeśli straż obozowa własnymi siłami schwyta uciekinierów, to dawano strażnicy mniejszą karę. A jeśli prosiła o pomoc inne jednostki, to dowódca straży miał z tego tytułu kłopoty. Jak była taka ucieczka, to cały obóz miał święto - nie szedł do pracy, bo straż szukała więźniów - zbiegów.

Uciekinierzy musieli mieć jakąś pomoc z zewnątrz, bo inaczej nie dali by rady, zwłaszcza, że w latach powojennych uciekinier był chodzącą premią: jak się zbliżał do osiedla, to każdy walczył, żeby go złapać. Za to była nagroda w postaci produktów. Taka była mentalność obywateli ZSRR, zwłaszcza, że był on nasycony obozami.

Ta ucieczka dała nam trochę nadziei, że wszystko jest możliwe.

Później w Marynsku pojawiła się kukurydza, którą prażyliśmy na łopacie i mieliśmy dodatkowe pożywienie oprócz tego ziarna.

IIB. [Jesienią 46 r. przyjechał transport z Wileńszczyzny - część chłopców z Kaługi, niektórzy jeszcze w mundurach. Wtedy my już byliśmy elitą obozową, przystosowaną do życia w obozie, umiejacą już dobrze kłać i mówić po rosyjsku. Wprowadzaliśmy ich w życie. Jak wpadli do obozu - to szukaliśmy swoich - czyli AK-owców, chcieliśmy im pomóc, dać jeść. Myśleliśmy już o opłatku... ale i o ucieczce.] Doszliśmy do wniosku, że na wiosnę, po opanowaniu wartowni i wzięciu czegoś ze sobą - powinno nam się udać. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że jako uciekinierzy jesteśmy chodzącą premią. Myśleliśmy, że mając broń i doświadczenie chłopców z Wileńszczyzny, umiejących żyć w lesie, uda się. Te plany dawały nam radość i nadzieję, że wiosną "staniemy dęba" i rozpracowaliśmy ten plan. [Było to naiwne, ale nie mogliśmy uwierzyć, że będziemy gnić w obozie te 10 lat, to było nie do przyjęcia.] Chociaż wiedzieliśmy, że nie dołożą nam więcej, bo byliśmy sądzeni przez wojskowy sąd. W tym wypadku musieli wypuścić więźnia po wyroku chociaż na

24 godziny, a potem znów mogli go posadzić, nawet z a rzucenie zapal-ki na podłogę. Natomiast po "Osoboje sowierszaniye" mogli przedłużać wyroki. Poza tym myśmy nie mieli pozbawienia praw obywatelskich - tych tradycyjnych 5 lat. I to dawało atuty i perspektywę. Ale oczywiście w tych naszych planach ucieczki przeliczyliśmy się, bo Spółdzielnia "Ucho" pracuje wszędzie. I efekt był taki, że wiosną 47 r. kolega Królikowski i ja - w nagrodę na "inne myślenie" - zostaliśmy oddelegowa-ni na Kołymę. Naczelnik powiedział, że wie o naszych planach ucieczki więc wysyła nas tam, skąd już nigdy nie uciekniemy.

Odesłano nas z powrotem do obozu centralnego w Maryńsku, gdzie formowano transport na Kołymę. Przedtem była /za Nowosybirskiem/ łaź-nia, po której zmieniono nam całe ubranie /żeby nikt nie przemycił/. Pojęcie o Kołymie były jeszcze wtedy mgliste, informacje były różne, ale nie pocieszające.

[Na przłomie kwietnia i maja 47 r. ruszyliśmy w normalnych wagonach bydłych - od 40 do 60 ludzi różnej narodowości, o różnych przestęp-stwach i różnych wyrokach. Transport trwał ok. 50 dni. Oms-Świerdłow-sk-Czyta-Chabarowsk - i dalej. Najgorsze w podróży było to opukiwanie wagonów młotami, pragnienie, a jednocześnie rozstroje żołądka.] Wyży-wienie: ogon śledzia, suchary i bałłda /mąka z wodą i szczątki suszo-nych kartofli/. Kuchnia jednak nie nadążała z gotowaniem i wagony dos-tawały rotacyjnie tę zupę, o ile ktoś miał ją w co wziąć: można było i do buta albo poły marynarki, bo naczyn było byrdzo mało. Tak że pos-silek wypadał raz na tydzień.

W trakcie transportu robili dwa razy dziennie prowieskę /przeli-czanie ludzi/ w wadonie i tych, co ledwo oddychali zabierali gdzieś.

Ze mną byli: Jurek Królikowski i Tadzio Majwski z Baranowicz. /Rozstaliśmy się na Kołymie i nie wiemco się z nim dalej stało/. Ra-zen udało się jakoś ten transport przeżyć. Przejeżdżając przez Kraj Chabarowski widzieliśmy wielu Azjatów - prwdopodobnie Japończyków - więźniów.

[Dojechaliśmy do Buchty - Nachodki. Tam obóz był w stadium organizacji, tzn. były 4 baraki administracyjne, kuchnia pod plandekami, a ludzie krążyli pod gołym niebem.] Przy wejściu na teren obozu jeden z więźniów od razu nas pytał, prawie oficjalnie, czy są Żydzi między nami - szukał swoich. W tym obozie przejściowym byliśmy ok. 5 dni. Z wodą też były tam trudności. Posiłek dawali 2 razy dziennie w punkcie żywienia, do którego ustawiała się kolejka - jeśli znowu ktoś miał w co wziąć. Nie było mowy o tym, żeby po raz drugi stanąć w kolejce, bo straż obozowa różnymi argumentami /bicie/ przepędzała dalej. Część więźniów została już też ograbiona z tego, co do tej pory udało im się zachować /ubranie/.

[W końcu lipca załadowano nas na statek "Sowietskaja Lotwija" wewnątrz którego były jeszcze napisy niemieckie świadczące, że był to statek niemieckiej marynatki wojennej. W sumie było tam ok. 10 tys. więźniów. Miałem szczęście, że dostałem się do środkowej ładowni. Była jeszcze dziobowa i tylnia, gdzie było sporo żelastwa. W ładowniach były nary. Przy wchodzeniu na statek dawano każdemu pół bochenka chleba, 2 kostki cukru, rybę - tzw. suchy prowiant. Po załadowaniu odpłynęliśmy z Nachodki po 24 godzinach. Były kłopoty z wodą, stała tylko beczka napełniana szlauchem. W ładowniach było słabe światło. Pod schodami stały parasze. Na pokład nie można było wyjść. Po jakimś czasie - nie dawano posiłków, więc nie wiem, ile minęło godzin - statek zaczął wydawać sygnały alarmowe i nastąpił potężny wstrząs. Z sąsiedniej ładowni rozległ się krzyk, że toniemy. Każdy myślał, jak się ratować. Część ludzi skoczyła na te schody-drabinę chcąc się wydostać do wyjścia, ale z góry polała się woda i posypały się strzały. Cała konstrukcja schodów załamała się, krzyki, ciemno, woda leje się z góry, nie wiadomo, czy już toniemy? Kilka osób było zabitych. Ci, co byli na dolnych narach zachęli się po ciemku wdrapywać na górne. To był przedsmak piekła. Co 15-20 minut rozlegała się syrena statku. Trwało to kilka godzin. W dziobowej ładowni przestała bulgotać woda, czuło się przechył statku, słychać było te syreny. W oczekiwaniu na koniec

świata każdy siedział w swojej "dziupli". W tym odrętwieniu zaczęliśmy drzeć.

IIIA. Po jakimś czasie coś drgnęło, zaczęły pracować silniki, przestały wyć syreny, odsłonięto brezent, który zakrywał luki i przez jeden z nich ktoś z załogi statku poprosił, żeby wszyscy odsunęli się od włazu, bo marynarze chcą opatrzyć rannych i naprawić schody i dać posiłek ludziom. Wyciągnięto na pokład rannych i zabitych, poprawiono schody i zaczęto partiami wypuszczać ludzi na pokład, gdzie dawano gorący posiłek i wodę. W tym czasie była straszna mgła i statek ciągnęły dwa holowniki - z powrotem do Buchty-Nachodki. Tam nie wyładowano ludzi ze środkowej i ostatniej ładowni, tylko dziobową, gdzie było dużo wody. Będąc już w Magadanie nie spotkałem nikogo z tej ładowni - nie wiadomo, czy wszyscy tam zginęli czy tylko część.

W Nachodce staliśmy ok. tygodnia - gały czas wewnątrz statku. Tylko o świcie wypuszczano nas na pokład, gdzie dawano posiłek. Te posiłki dawały nawet poczucie sytości. Potem płynęliśmy 4 dni koło Sachalinu. Posiłki dawano nam już na pokładzie - rotacyjnie. Ciepły posiłek z kawałkiem chleba - takiego jak wata. Tak dobrnęliśmy do portu w Magadanie. Wychodząc ze statku dziwiliśmy się widząc coś białego. A to był śnieg - w drugiej dekadzie sierpnia. W tych naszych letnich obozowych ubraniach było nam naprawdę zimno. Do obozu trafiliśmy dość szybko. Był to normalny oboz przejściowy, z barakami oddzielonymi zasiekami. Stamtąd wysłano nas transportem samochodowym do innych podobozów. Na ciężarówkę typu "Lajland" pierwsza piątka siedziała, następna na jej nogach, następna tak samo, czyli każdy miał na swoich nogach 2 więźniów. Upchani byliśmy jak grzyby w koszyczku. Eskortowali nas NKWD-ziści - 2, poza tymi, którzy byli w szoferce. Była to bardzo uciążliwa jazda. O zmierzchu już było bardzo zimno, zwłaszcza, że z plandeki kapłała na nas skroplona para. Po drodze mijaliśmy różne chaty obozów, przy których nas wyładowywano, a raczej zrzucano. Spędziliśmy tam noc, a o świcie ruszaliśmy dalej. Nóg już się zupełnie nie

czuło - tak zdrętwiały. Najgorzej było ze swoimi potrzebami, bo nie zatrzymywaliśmy się i każdy robił pod siebie, a raczej pod tego, na który na nim siedział. Każdy potem starał się być w ostatniej piątce, bo wtedy na nim już nikt nie siedział, tylko miało się z kolei nogi podkurczone. W ten sposób dojechaliśmy do Susurmanu.] Tam był znowu obóz przejściowy. Selekcja. Straszne rzeczy się tu słychy - starsi mówią jak tu jest. Strach - mimo dotychczasowego doświadczenia. [Z Sasurmanu trafiłem do kopalni odkrywkowej złota /"Komsomolec"/.]

W czasie jazdy na Kołymę nasłuchiwał się człowiek o niej różnych rzeczy. I już na początku pierwsza zapowiedź o tej pięknej planecie się sprawdziła - już w sierpniu był śnieg i mróz. /2 miesiące lata/.

Obóz przy tej kopalni to były 3 baraki - jeden malutki dla nas, drugi, w którym mieszkała nasza "ochrona" plus kuchnia, a trzeci - karczer. Było to w czasie rozbudowy. Był robiony szkielet z drewna, który trzeba było przynieść /śłannik/. Tynkowało się to śniegiem, a w lecie były szpary - bo to nie przeszkadzało. Obóz był otoczony drutem kolczystym z 4 wieżyczkami dookoła. Podzielono nas na brygady. z demobilu dano nam spodnie watowane. Koszuli., którą dostałem w 45 r. nie miałem, bo się zdążyła podrzeć, druga z wymiany jakoś się trzymała, fufajkę albo buszkat/dłuższy/. Gdzie szczęście, jeśli ktoś miał tę koszulę, bo jak miał tylko fufajkę, to gdy się poczylił to miał całe gołe plecy. Na nogi - walonki filcowe z przyszytym zamiast podeszwy kawałkiem parcianego pasa. Mieliśmy iść do pracy. Byliśmy wtedy ciężko przestraszeni, bo z nami byli również więźniowie kryminalni, z których "suki" prześladowały z satysfakcją więźniów politycznych. Mentalność władz była taka, że jeśli ucieknie 100 złodziei, to się ich i tak złapie, bo przecież oni muszą kraść, żeby przeżyć, więc i tak trafią do obozu, ale jak ucieknie polityczny, to już cięższy problem, bo taki się gdzieś zakonspiruje, a szkody zrobi więcej niż 100 złodziei.

Najgorsze było to, że znikąd nie można było zdobyć dodatkowego pożywienia, musiało wystarczyć to, co nam dawali w obozie z "urzędu".]

A chodziło przecież o to, by nie opaść z sił. "Chleboreczka"/?/ i cały urząd był z kolei opanowany przez błatnych lub przez suki. Jeśli góra władz obozowych była utworzona z błatnych, to jakaś część pożywienia trafiała do więźniów. Jeśli była pajka 350 g /3 kaszą graczaną/ - nas-komski pajok, a więcej - to w zależności od normy pracy - to część tej pajki, np. 250 g trafiała do wszystkich. Oni nie pozwalali, żeby nic nie jadać. Natomiast jeśli obóz był opanowany przez tych "skrzy-wionych złodziei" - przez suki - to oni byli bezpardonowi - mogli zabrać wszystko. Dla nich zarządzenie człowieka było jak splunięcie. I to była ta subtelna różnica - w czyich rękach był obóz.

A nic nie można było zdobyć z boku. Jedynym ratunkiem jeszcze to była "sanczast", gdzie można było szukać zbawienia, ewentualnie przes-tawić się na myślenie obozowe na dalekiej północy. [Tak się złożyło, że trafiłem do brygady szurfowej. Technologia w kopalni odkrywkowej ^{po 1945 r.} na tym, że w zimie więźniowie musieli drążyć jakby studnie w wiecznej zmarzlinie. Dostawało się tam z 2 stron. W zależności od tego, gdzie się znajdował pokład złota - czy do 7 m czy niżej /poniżej 7 m były sztolnie/ - kopało się w krzyżowo-szachowym porządku w odstępie 3 m dół taki, żeby można było położyć dynamit. Potem wojsko robiło jeden wspólny wybuch. Te dołki wybijały się albo w skałę albo w zamarznięty żwirze. Na 20-25 cm wybijało się dziurkę o średnicy 10-12 cm i potem należało ją poszerzyć do 70 cm . To był najgorszy etap, bo jak stał człowiek na wierzchu, to go wszyscy widzieli, a poza tym było strasznie zimno /temperatura dochodziła do -30°C - nam się to wydawało zimno, ale jeszcze wtedy to było ciepło, chociaż wiał silny wiatr/. Na-leżało się wtedy ruszać, żeby nie zamarznąć. Jak się wykopało takie dwa dołki to przychodzili brygadierzy, którzy sprawdzali /byli to więźniowe-kryminaliści/ czy to głębokość do 25 cm jest dostateczna. Jak określił, że jest dobrze - a za głęboko też byś nie mogło, bo tam wkładano łaskę dynamitu, odpowiednią do danego gruntu i głębokości to robiono wybuch, który kruszył wierzchnią warstwę skały.] W czasie

12-godzinnej pracy należało zrobić dwa odpały. Odpałach był elektryczny, odgazowywany albo nie.

III B. [Potem wracało się i należało wykopać studnię wyrzucając urobek na bok.] Nie było powiedziane, jaką szerokość ma mieć szurf, trzeba było robić to tak, by móc się zmieścić w środku i kopać do głębokości 4-7 m. [Po skruszeniu skały trzeba ją było łopatą wyrzucić, aby dojść do warstwy kamieni /żwiru/, bo złoto znajdowało się właśnie wśród tych kamieni /natarasach dawnych rzek zbudowanych ze żwiru lub głazów/. Poniżej tych kamieni była warstwa złotonosna - złoto samotne w osadach złożonych i przemytych przez rzeki. Ten szurf należało poszerzyć o boczne komory, w które kładło się ładunki dynamitu. Potem cały szurf był zasypywany urobkiem przedtem przez nas wykopanym. Nas odrowadzano do obozu, a NKWD-ziści łączyli wszystkie przewody i następował jeden masowy wybuch. Na tym kończyła się funkcja więźniów pracujących przy szurfach.] W kopalniach, gdzie była mechanizacja, czyli pracowała koparka /z darów amerykańskich/, to urobek /skała/ był przez nią wykopywany "łyżką" i wyrzucany na bok. Tam, gdzie koparki nie było rozkruszoną skałę wybierało się "na pych" - na nosilkach lub taczkach wynosiło się poza wyznaczony prostokątny obszar. Wielkość tego prostokąta lub kwadratu wyznaczały możliwości czasu pracy w ziemi. Przed okresem letnim płaszczyzna ta powinna była być oczyszczona ze skruszonej skały. Słońce wtedy dokonywało reszty - roztapiając powierzchnię zmarzniętej ziemi. W jednym z rogów tego prostokąta wyrąbywano duży dół, w który był wstawiony bunkier z taśmociągiem. Po rozmarznięciu ziemi przychodził buldożer i spychał tę ziemię do bunkra na taśmociąg. Taśmociąg był napędzany agregatem elektrycznym. Przez taśmociąg przepływała woda ustawiona pod ciśnieniem odpowiednim do wielkości ziarna warstwy złotonosnej. /Wodę do tej płuczki pompowano z bagenu wykopanym w rogu prostokąta a wypełnionym wodą spływającą z gór. Na końcu taśmociągu było sito - duży walec obracający się, z otworami różnej średnicy. Pod walcem znajdowało

się koryto, do którego wpadała skała wynoszona na bok. W zależności od przewidywanej granulacji złota i na nią była szybkość przepływu wody, która w tym korycie przepłukiwała pozostałą część urobku. Na dnie koryta ułożone były worki płócienne /po dynamicie/ a na nich drabinki. Złoto jako cięższe opadało na dno koryta i zatrzymywało się na tych drabinkach, resztę skały woda wynosiła dalej. Długość koryta też zależała od granulacji złota - im większe ziarna, tym wcześniej opadały i koryto mogło być krótsze. Długość jego regulowało się drabinką. Wpisane prace odbywały się oczywiście w lecie.

[W zimie, po powrocie z pracy przed wejściem do obozu wyliczali jaką kto normę wykonał - od tego zależało wyżywienie. Maksymalnie wynosiło 1,1 kg chleba, tzw. "narkomski" - wynosił 35dkg, a w karcerze - 30dkg. Przez te 12 godzin pracy nic nie dostawaliśmy do jedzenia. W zimie zdarzało się, że jak nic już nie było do roboty przy szurfach, to kazali więźniom kopać urobek pozostawiony na poboczu przez buldożer, rozmrażać go nad ogniskiem, a potem płukać na specjalnej deseczce z wyżłobionym rowkiem. Można sobie wyobrazić jak wyglądały ręce ludzi, którzy to płukali na tym mrozie. Norma wypłukania czystego złota wynosiła 11 g.] W czasie tej pracy przywozili posiłek /teren był oświetlony/ - zupę i kawałek chleba. Wieczorem była w obozie kolacja, ale jak kto normy nie wykonał, to jedzenia nie dostawał. /"kto nie pracuje, to sobie może pozwolić"/. Jeżeli do obiadu nie wydobyło się 6 g złota, to obiadku nie było. - dostawało się tylko cienką zupkę, a drugie danie w postaci gęściejszej zupy i chleba zostawało przy konwoju. Ci, co wymyli te 6g - ~~xxxx~~ to jedli, inni nie. To nie było straszne, takie były warunki. Przy końcu dnia pracy, ci "uparci", którzy normy nie zrobili zostawali dopóki jej nie wykonali. Wracali do obozu często o 5-ej rano, kiedy była pobudka. Byli mokrzy, zmarznięci, głodni i niewyspani, ale musieli - bez odpoczynku - iść z powrotem do pracy - do momentu aż się padło.] I tam właśnie powszechne były samookaleczenia: przy wykopywaniu urobku zdarzało się spotkać spłonkę, która nie wybuchła. Nie oddanie jej było karalne, ale był to kapitał przetargowy dla tych kandydatów, którzy chcieli się

okaleczyć po to, żeby z tych warunków /jak z piekła/ wyrwać się gdzie indziej.

[Tak zaczął się mój pierwszy rok na Kołymie. Przepowiednie starych łagierników mówiły, że jeżeli przeżyjesz pierwszą zimę, to przeżyjesz i drugą. W tym pierwszym roku człowiek żył więc w wielkim strachu - czy mu się uda?] Taka ciężka praca przy szurfach była na 101 odcinku w kopalni /pryisku/ "Komsomolec". Po jakimś czasie zaczęliśmy opadać z sił, choć już po samej podróży do Magadanu byliśmy prawie "dochodzącymi". Coraz częściej zaczynała mi świtać myśl - jak się stąd wyrwać - znaleźć spółkę i może poświęcić tę lewą rękę? W tym czasie inwalidów jeszcze odsyłano na "matierik". Umysł zaczął pracować analitycznie - co zrobić żeby znaleźć jakąś dodatkową porcję jedzenia pracując jednocześnie jak najmniej. Przy kopaniu szurfu należało go na tyle go pogłębić, żeby człowiek mógł się skryć od wiatru - wynosiło to ok. 1 metra. A potem to już człowiek mógł robić "marsz na Moskwę" - to znaczy dreptał w miejscu nie pracując. Nic mu wtedy nie mogli zrobić, bo przecież musiał się ruszać w miejscu, a nie widać było co robi. Temperatura była wtedy ok. - 40°. Ale ciekawe: w Maryńsku zawsze miałem odmrożoną twarz, policzki i nos, natomiast tu nie odmrażałem się - mróz był "suchy".

Na początku pracy na "101 odcinku" dostaliśmy buty z Magadanu i kamizaszki "kierzowe" z onucami, potem wyfasowano nam z demobilu zimowe ubrania: watowane spodnie, waciaczek i buty podszyte parczanym pasem.

W obozie panowało niepisane prawo, że za ukrócenie pajki chleba, onuc i rękawic można było tego złodzieja udusić bez żadnej odpowiedzialności. Ale niepisane prawo jest jedno, a złapanie kogoś - to drugie.

[Tak się złożyło, że wychodząc z pracy, człowiek zaczął kombinować, jakby tu nie pracować. Na "m. zwod" trzeba było wychodzić 5-tkami, trzymanie rąk za chłatek 5-tki przed sobą lub pod rękę - bo było już ciemno - i kolumna ruszała. Prowadzą nas z psami. Posuwanie się w tej kolumnie, jak był śnieg, było bardzo trudne. Pozwalali wtedy nie trzymać tej 5-tki przed sobą, ale trzymanie się pod rączki było obowiązkowe. Naczelnik tego obozu miał za zadanie wyrzucić ludzi za palisadę - ogrodzenie, za którym

przejmował nas konwój. Jeśli ktoś nie mógł iść czy nie chciał, położył się, to albo szczułu psem lub używali broni palnej. Raniono lub zabijano przeważnie więźniów politycznych. Te przypadki zaczęły się, gdy cywilny konwój zamieniono na żołnierzy NKWD. Wtedy padł na nas blady strach, zwłaszcza że nie znaliśmy powodu, dla którego zastrzelano tego czy innego, tylko wiadomo było, że są to więźniowie z § 58. Żołnierze wysyłali więźnia np. po drzewo do ognia, ten wychodził poza konwój i strzelano do niego - przeważnie zabijając. Plotka głosiła, że każdego zabitego NKWD-zistą dostawał dodatkowy urlop - "bo zliwidował ucieczkę". Nie wiem, czy to była prawda, ale znam 3 czy 4 wypadki, gdy wysyłali więźnia po jakąś usługę i strzelano do niego potem bez pardonu. Innej przyczyny poza tym urlopem nie widzieliśmy.)

Ja miałem osobiście teki przypadek, kiedy chcieli mnie wysłać po drzewo. Powiedziałem, że nie pójdę. Przyszedł następny żołnierz i usiłował mnie wypchnąć. Potem kazano mi się rozebrać, zrzuciono ze mnie fufajkę i zostałem do pasa nagi, czapkę zrzucili, rękawice też. Ręce mi marzły, więc usiłowałem włożyć za pas. Wtedy urwało mi guzik od spodni - był jeden tak, że spodnie osunęły mi się w dół.

IV A. Najbardziej marzły uszy i palec. Prawdopodobnie straciłem przytomność i upadłem. Podobno zaczęli nacierać mnie śniegiem i ubierać. Do końca tego dnia pracy leżałem i ledwo dyszałem. Była to dla mnie przestroga, że nie mogę już wychodzić do roboty, bo się znajduję na "łonie Abrahama". Zacząłem kombinować, jak nie wychodzić z obozu.

Solidarność wśród więźniów była różna, najczęściej jej nie było. Jeśli się doszło do wniosku, że ten to jest człowiek, to należało mu pomagać do granic możliwości. Uważam, że na każdy wiatr jest przeciwwiatr. Na początku w obozie byli w obozie sami kryminaliści, a w tym utopieni byli polityczni. I wielu naszych towarzyszy - w racji wykształcenia, stanowiska - nie mogło się zniżyć do nawiązywania kontaktu z tym motłochem. To ich oddzielało od ~~naszych~~ reszty więźniów, ale to była śmierć. Oni nie umieli posługiwać językiem i sposobem myślenia

kryminalnych. Nie mówię o tym, żeby rabować i kraść, ale nie pozwolili się zastraszyć. Nie wolno było opaść z sił i dać się zastraszyć. Czasem w walce o to trzeba było i oddać życie - takie są reguły gry. I jeśli to się wiedziało, to z tymi kryminalistami można było przeżyć. Gorzej z sukami, którzy nie mieli "etyki zawodowej". I w więzieniu, i w obozie trzeba było poddać się obowiązującym prawom, ale jednocześnie dać opór wtedy, gdy żądają więcej niż ja mam chęć dać. I to było cała sztuka. Ale ludzie młodzi, jak ja, inaczej się przystosowywali do tych warunków, niż starsi, którzy już sobą coś reprezentowali zawodowo czy intelektualnie. Oni nie uważali za śluzne z takim "śmieciem" wchodzić w jakiegokolwiek układy i kontakty. I to była klęska dla tych ludzi, którzy ginęli jak muchy. Nie tracąc poczucia godności, nie tracąc poczucia narodowości, należało tak lawirować, żeby przeżyć i żeby nikt na tym nie stracił. Ale nie wszystkim się udawało, niestety, tego nauczyć. Mnie nauczyli tego mł. ci dwaj AK-owcy, którzy ucieli z Maryńska.

[W obozie - na 101-ym, w styczniu 48 r. zaczął być kłopot, bo zasypane są drogi, nie ma dojazdu, nie ma chleba, jest śledzik, jest kapusta zamrożona w beczkach, które zazywaliśmy "łapsza", czyli makaron. Był taki żart, że jeśli ktoś umie z kapusty zrobić makaron, to może być kucharzem. I to tylko jedliśmy.]

Z częliśmy się zastanawiać, robić rachunek, czy iść do pracy o zupce i kawałku śledzia /bez chleba/ czy iść do karceru, który był nie opalany, ale za to dostawało się tam 300 g chleba co drugi dzień i kapiatok, a więc czy lepiej nie pracować, ale bronić się przed zimnem i zjeść 300 g chleba, czy iść do pracy i nie dostać nic. Ale do karceru można było iść, jak się zebrało minimum trzech ludzi / w karcerze podłoga była z mchu zalanego wodą - taka polewa zamrożona, przyczą długa, zrobiona z okrągłych, nierównej długości drewn - 3-5 cm, specjalnie, żeby "było wygodnie" pod plecami, był piec opalany od zewnątrz - musiał dymić, żeby było humanitarnie - z daleka było widać, że się dymi, a w środku puszczano tylko dym z palącego się mchu.

Lekarz i naczelnik mieli czyste sumienie, że się pali w karcerze/. Dlatego, żeby przeżyć, musiało być co najmniej trzech ludzi, bo wtey dwóch grzało środkowego /potem była rotacja/. Gdyby poszedł jeden, to by zmarzył.

[Raz nie udało mi się schować przed konwojem - w czasie wymarszu do pracy. Wyrzucono mnie za bramę, a nie byłem przystosowany do pójścia do pracy - byłem bez onuc, bez owiniętych nóg. Rzucili mi tylko kawałek worka po dynamicie do owinięcia się, jakieś porwane rękawice i musiałem iść do pracy, bo inaczej by mnie zastrzelili. W czasie marszu do terenu pracy - ok. 12 km - nie czułem nóg. Jak wróciłem do obozu, to miałem przemarznięte ręce i nogi tak, że paznokcie mi zeszły.] Jak szedłem do saneczki, to pomyślałem, że już nie muszę szukać spłonki, bo opatrność pozwoliła mi ręce odmrozić. Był tam lekarz, Gruzin który stosował najnowsze osiągnięcia medycyny - czyli amputację. Konczyny odmrożone długo się nie goją, a jak palec czy nawet kilka - to po 7 dniach można więźnia. [W saneczce w moim obozie był felczer o europejskim wyglądzie /nie bandyty/. Zrobili mi opatrunek, pojawiła się już ropa na dłoni. Zacząłem trochę śmierdzić, do pracy nie chodziłem, więc przenieśli mnie do jakiejś "ziemlanki".] W tym ambulatorium nie było leżenia, tylko punkt opatrunkowy i dawali zwolnienie od pracy. Po 4 dniach wzywa mnie dniewalny/?, żebym poszedł do ambulatorium, bo przyjechał lekarz - Gruzin. Felczer kazał mi się rozebrać, opukał nogi, ali mi jakąś białą koszulę dał, wszystkie swoje rzeczy trzeba było na kupkę położyć. [Felczer odezwał się do mnie po polsku z kresowym akcentem: "będziesz miał amputację palców" /lub nóg, nie pamiętam/. Ja prawdopodobnie zmieniałem się na twarzy i pytam, co robić. A on: "Uciakać." Więc ja na nie nie czekając, złapałem swój majdan z ubraniem i w samej koszulinie uciekłem do baraku. Schowałem się na czymś w rodzaju poddasza i tam przeczekałem aż do wieczornej prowierki Dniewalny wiedział, gdzie ja jestem, ale mnie nie zradził. Potem ten chirurg wyjechał i w ten sposób moje palce zachowały się u mnie.]

Oczywiście groziła mi gangrena, ale była szansa. Dowód taki, że palec mam. Ryzyko podjąłem dziejełi temu, że felczer odezwał się do mnie po polsku - pojawiła się nadzieja, że u niego mogę szukać ratunku.

Przy rozwodzie ten felczer musiał stać i jeśli ktoś zgłaszał chorobę, to on rzekomo to sprawdzał, chociaż w rzeczywistości nie mógł tego sprawdzić - i zwolnienia nie dawał. Ja do tej pory nie miałem o nim najlepszego nniemania, bo to był taki sam "pirat" jak inni, co stałi przy bramie - czyli co reszta władzy. [Po tym incydencie nie wiedziałem, co robić, bo zwolnienia od pracy już nie miałem, do karceru iść nie chciałem, do ambulatorium mnie mogłem się dostać, bo tam były godziny przyjęć. Nie miałem onuc, wspomogli mnie więźniowie drąc jakieś koszulena rodzaj bandaż. Spotkałem się wtedy z domowym, ale skutecznym sposobem - moczenia tych sznatek w nadmanganianie potasu i to mi koledzy przykładali do palców u nóg. Na ręce nie było sposobu. Na drugi dzień, jak zjawiłem się na rozwodzie, to ten felczerkazał mi wystąpić i powiedział, że jestem chory. Wtedy spłynęło na mnie trochę światła i szczęście, że on mnie będzie leczył - za jakąś tam pracę przy ambulatorium. Okazało się, że ten człowiek pochodził ze Lwowa, a był Ukraińcem - pan Dega. Mówił dobrze po polsku, ale prosił mnie o dyskrecję, żebym go nie wydał, że zna polski język. W ambulatorium pracowałem przynosząc z pobliskiej góry skłonnik do pieca. Z początku bałem się, że mnie zastrzelą, ale on powiedział, że jak on mnie wyprowadzi, to mi nic nie zrobią.]

IV B. Z późniejszej rozmowy z nim wywnioskowałem, że on miał coś wspólnego z wojskiem tuż przed wojną, a potem starał się na medycynę, czy też już zaczął studiować. Rozmowy prowadzili my ukradkiem, gdy byliśmy sami. Ja go o nic nie pytałem, bo prosił o dyskrecję. Ponieważ to był gest z jego strony w stosunku do mnie, że starał się mnie uchronić. Później zresztą się dowiedziałem, że ten opatrunek i nadmanganian został przekazany dla mnie od niego. Później w tych ranach po odci
mrożeniach wyrosło martwe mięso, które mi na żywcę wyrównano

które mi na żywca wycinano i przykładano kompresami z nieczystego tranu /z mors-zwiera/.

Po jakimś czasie dotarli do nas transport - ale nie chleba, tylko maki owsianej. Ponieważ piekarnia była za mała, nie można było piec dużo chleba. Dawali więc tylko mąkę owsianą, z której robiono tzw. na małygę - gęstą masę podobną do kisielu, do której dodawano małe rybki. I tego dawano wszystkim po równo. Po paru dniach była oczywiście biegunka, bo wszyscy się nawcinali tej papy. I w ten sposób rozliczyli się z nami z norm żywnościowych. Z transportem maki przyszedł również płaty fok, z których fabrykowano tłuszcz, rodzaj tranu leczniczego do jedzenia.

Ponieważ pojawiła się u ludzi tzw. kurza ślepotą i cynga, więc zaczęto nam dawać wywar z kosodrzewiny. Każdy musiał na śniadanie wypijać czyszkę tego wywaru. Nie było to przyjemne, ale był to jedyny ratunek.

[W kwietniu 48 r., kiedy zaczęły się roztopy, część z nas z tego obozu zabrano do obozu centralnego "Komsomolec".. Było tam ponad 6 tys. więźniów. Oprócz baraków było całe zaplecze gospodarcze ze stolarnią, murarzami, ślusarzami, magazynami itp. Były tam brygady pracujące w sztolniach i szurfach, takie, które prowadziły badania geologiczne - - całe przedsiębiorstwa różnych gałęzi. Wszystko wokół złota i budowy nowego miasta. Budowano z drewna przywożonego statkami do Magadanu. Był to duży kombinat, w którym były również suki, więc nie można było nic na boku wykombinować i nie było z kim rozmawiać - jak to się mówi.

Tam spotkałem rodaka z Warszawy, Żyda. On był brygadierem grupy budowlanej. Sam przyszedł do mnie, bo się dowiedział, że jestem Polakiem. Okazało się, że mieszkał na Chłodnej, gdzie rodzina jego miała pracownię fotograficzną. Uciekł z Warszawy w 39 r., wypytывał mnie o wszystko, ale do swojej brygdy nie mógł wziąć. Pracowałem cały czas przy kopaniu szurfów. Jednak - nie mówiąc mi nic - zaprotegował mnie gdzieś, bo pewnego dnia wezwał mnie naczelnik i skierował do pracy w rozwiędce - w grupie geologa Simonowa, już wolnego, geologa-pasjonata

On mieszkał tam z całą swoją rodziną. Powiedział mi: "Będziesz miał ciężkie warunki, będziesz spał na mchu, ale będziesz sobą". [Nas było 6-ciu: Białorusin, Polak, 2 Rosjan i 2 Łotyszy z małymi wyrokami z paragrafu za kradzież. Cidwaj mieli nas pilnować, zamiast konwoju. Odpowiedzialność za więźniów brał na siebie brygadier - geolog. Jego żona też była geologiem i pracowała z nami. Kiedyś przechodziliśmy obok budującego się miasta i z jednego z baraków wyszła ta kobieta niosąc garnek mleka. Na ten widok oczy zrobiły mi się jak 20-złotówki. Dla mi się napić - było to pierwsze mleko od 4 lat. Wydoiłem prawie cały garnek, aż się sam przeraziłem.

Do naszej wyprawy trzeba było przygotować odpowiedni sprzęt, dwukójkę z koniem. Wyszliśmy od obozu ok. 15 km - na szlak. Był to czerwiec - z gór śnieg już znikł, a na stokach południowo-wschodnich było pełno borówek, które przetrwały zimę - wyglądało to jak czerwony śnieg. Po pierwszym dniu pracy zdecydowaliśmy, że nie będziemy wracać do obozu, tylko przenocujemy na miejscu - na mchu. Prawdopodobnie rozeznanie geologiczne było już zrobione wcześniej, a przedsiębiorstwo chciało znać szczegółowe dane dotyczące opłacalności złoża złota - czy warto przygotowywać teren do eksploatacji. Przy tej pracy istniały zawsze zasady przeżycia. Koń musiał być najedzony zawsze, nie wolno było podkraść "jego" owsa /musiał nas przecież przywieźć, odwieźć, wziąć chorych/, myśmy natomiast mieli swoje produkty - jeśli je zjemy od razu albo nam je ukradną - to nie będziemy nic jedli. Musiała powstać jakaś solidarność.

Sprzęt to były młotki geologiczne, rarytas - amerykańskie łopaty, mocne, nie łamiące się przy kopaniu, z rączką dobrze wymodelowaną, pasującą do ręki. Praca zaczynała się od zdjęcie mchu, na wiecznej zmarzlinie stawiało się namiot uczczelniając podłogę i boki mchem i to było nasze mieszkanie. W wiecznej zmarzlinie kopało się szurf - przeważnie na głębokość 2-3 m, tam gdzie znajdowała się warstwa złotonośna. Od tego stropu kopało się poniżej 1,5 m i z każdej warstewki brało się

próbkę 20 cm grubości kładąc ją do specjalnej skrzyni - dopóki nie doczło się do pokładu grubych żwirów /kamień/. Potem nakładało się należało zbadać te próbki - ile zawierają złota. Problem polegał na tym, że nie było wody ani śniegu. Do jedzenia dla nas Łotysze przynosili śnieg z północnego zbocza. Natomiast do wyłukiwania złota - wody nie było. Czekano się do pierwszych opadów. Przywożono tzw. koleby do płukania złota. Po zbadaniu tych próbek wyznaczano teren i warstwę do eksploatacji.

Po powrocie do macierzystego obozu na przełomie 48/49 r. skierowano mnie do brygady, która całą zimę wmywała złoto z resztek mchu, na poligranach. Oczywiście była to praca pod gołym niebem.]

V A. W czasie szukania i płukania złota była norma - 6 g do obiadu i 11 na dzień. Był też czas, że jeśli trafił się samorodek do 50 g to zaliczano go do normy, ale nie na zapas, tylko miał człowiek jedzenie za normę, ale musiał pracować dalej. Natomiast jeśli był samorodek powyżej 50 g, to go nie zaliczano do niczego, po prostu nie uznawano, bo to "stworzyła natura", a takie drobne trzeba szukać i ty musisz popracować. Dlaczego masz dostać dodatkową porcję chleba za to, co stworzyła natura? Więc oczywiście takie duże samorodki wyrzucaliśmy. Jak nie było śniegu, to się takie złoto składało na kupkę i czasem nabierało się tego ze 3 kg.

[W 49 r. pojawiła się w "Komsomolcu", w centralnym obozie, pewna ilość ludzi wolnych, którzy się tu najmowali do pracy. Powstała więc możliwość jakiegoś handlu - "z rąk do rąk". Chociaż w obozie - jeśli podczas rewizji znaleziono u kogoś gram złota to od razu dawali rok więzienia, a ponad 5 g - to 10 lat. W tym obozie centralnym przywożono posiłek do kopalni i od tego czy była norma czy nie - dostawało się chleb i gęściejszą zupkę /kaszę/ - lub nie. Powstała więc zasada - jeśli ja mam 3 g a ty 5 g - to mi daj część, podziel się ze mną. Lepiej było zjeść 150 g chleba niż nic. Trzeba to było tak robić, żeby bry-

gadier tego nie widział. A chleba nie można było dzielić, bo to wyrażniej widać. Była to obrona więźniów, szansa przeżycia. Nawet przy stałym przemieszczaniu się więźniów tworzyła się jakaś spójnia, więź. Trzeba było doświadczenia, żeby wiedzieć, z kim w taką spółkę można się wdać. Np. był taki Uzbek, który pierwszy raz przyszedł do brygady i od razu wiedział, z kim można było rozmawiać, kto jest człowiekiem. Jeśli się o kims powiedziało "eto czelowiek" - to bez względu na kolor skóry, narodowość, przekonania - wiadomo było, że z tym człowiekiem można było wspólnie przeżyć ten dzień, można mu było zaufać. To było najważniejsze, to była ta mądrość obozowa. On kogoś ratował i jego się potem ratowało w ten sposób.]

W bozie tym spotkałem różnych ludzi. Były suki, przed którymi trzeba się było bronić. Kiedyś była krwawa rzeź. Przywieźli ok. 50 tzw. worów, którzy zaczęli się bić z sukami. NKWD napuszczało jednych na drugich. Tochę poróżnili, przyszli nowi bragadirrzy, nowi więźniowie. Ale w tym wszystkim trwało życie obozowe, wiadomo było, że można coś "zachachnąć", coś można komuś sprzedać i za to pół paczki machorki na pewno do ciebie dotrze. Najważniejsze jednak było to, że więź między więźniami widać było spoza obozu, że poza tym ciężkim życiem coś zza drutów przychodzi. Tym ja się z kims podzielę albo ktoś się ze mną podzieli. Nie mogę schować tego ukradkiem i sam wyplić papierosa albo czegoś zjeść. Zresztą papierosa nie można było wypalić, żeby pół obozu tego nie czuło, zwłaszcza dniewalnyj, który był najczęściej prawą ręką naczelnika. To była namiastka wolności - możliwość wykiwania konwojenta czy straży. Trzeba było umieć znaleźć złoto, ale i umieć go nie oddać. Zresztą nie tylko o złoto chodziło. Wtedy cenniejsza była kromka chleba niż goła panienka. Tych panienek co prawda nie było, ale chodzi o porównanie. To były sukcesy życia 2 i 3-go roku na Kołymie: człowiek przeżył pierwszy rok i miał już doświadczenie, wiedział jak przeżyć. Co prawda do dzisiaj nie mam czucia w pałcach, ale są całe, mogę chodzić, biegać. Poza tym ja starałem się cały czas pamię-

tać to, co mi mówił ten oficer polski w Maryńsku: że ja nie zdradziłem ojczyzny, nikogo nie zabiłem, więc nie mam za co pokutować. Ja muszę wrócić. Niektórzy, gdy się dowiadywali, że jestem z Posli, mówili że nigdy tam nie wrócę. A ja odpowiadałem zawsze: "wrócę".

Ten okres wspominam nawet bardzo przyjemnie, bo chociaż praca była ciężka, to jednak tam się odżywiłem. I traktowano mnie tam jak człowieka. I mimo, że byłem upośledzony /więzień/, to byłem hardy i oni to szanowali. Ta myśl, że muszę wrócić dawała mi chęć życia. Psychicznie nie mogli mnie złamać.

[Niezależnie od koloru skóry czy narodowości wyrobił się u więźniów instynkt samozachowawczy, który mówił, że lepiej zjeść trochę niż w ogóle, tzn. grupki 2-3-osobowe oddawały urobek wspólny - podzielony tak, że każdy dostawał jakąś rację żywnościową.]

Rozeszła się między więźniami wieść, że za złoto można było dostać papierosy lub kawałek machorki, tylko nie wiadomo, kto komu sprzedaje. Trzeba się było dowiedzieć, gdzie jest to źródło, co było trudne. Wywoławczą wartością na "wolnym rynku" był 1 kg złota, który kształtował się w cenie: 1 kg herbaty, 1 l spirytusu. Pojawili się wtedy wolni ludzie - na wolnej zsyłce, na zasiedleniu, deportowani na teren Kołymy. Pojawiły się też kobiety, które przykuwały wzrok więźniów mimo, że byli głodni. Widzieliśmy je idących do pracy.

Ich pojawienie się niosło błogosławieństwo, bo zaczął się nielegalny handel - nielegalny-wymienny. Ci wolni pracowali jako poszukiwacze złota, ale starali się w jakiś sposób odkupić od więźniów złoto - te duże samorodki i te znalezione ponad normę. Wymieniali je na papierosy. Za papieros można było dostać w obozie wszystko - jak na całym świecie. O chlebie w ogóle nie było mowy, bo go na całej Kołymie brakowało.. Natomiast w obozie za machorkę lub papierosy można było dostać chleb, lepsze rękawice lub w 1-ej kolejności mieć osuszone buty.

Była zima z 49 na 50 r. Początkowo nie było dużych mrozów. Ja przeżyłem -56°C. W lutym był okres wiatrów, kiedy mróz był do -25°C,

ale wiarty były bardzo silne, które szlifowały śnieg na górach tak, że wyglądały, ajkby były z lustra. Był to okres bardzo ciężki dla tych, którzy pracowali na powietrzu, bo wiatr i odblask słońca oślepiał oczy. W tym czasie w obozie przestali rządzić suki, którzy potrafili zabrać złoto, które się znalazło w ramach normy - i nie można było się nikomu poskarżyć, bo pracowali również dla władz obozowych. Było więc nieco łatwiej. Wymiany nie można było dokonywać na terenie pracy. Należało więc gdzieś schować złoto. Do obozu właściwie nie można było przynieść, bo przy rewizji za znalezione złoto groziło więzienie. /Ja miałem "szpulkę" czyli 10 lat, niektórzy po 28 lat, czyli tzw. "katuszkę". Jeśli ktoś tak jak ja odsiedział 2-3 lata, to mu dokładano do 25/. Jednak jakoś przemycano złoto do obozu, tam gdzieś się je ukrywało. W obozie były osoby, które miały kontakt: dowożono chleb do obozu z zewnątrz. Chlebarz, z którym się miało kontakt też musiał mieć pośrednika, więc to szło od człowieka do człowieka. Dopiero na końcu było wiadomo do kogo co można dostać, ale nie wiadomo, przez kogo. Cała sztuka polegała na tym, żeby wyeliminować tych pośredników, aby za ten samoredek dostać jak najwięcej, nie tracić po drodze. Niektórzy wpadali, zwłaszcza przy rewizji, a ta była zawsze. Ale z kolei trudno było wyszukać gram czy 5 g złota w tak obszernym, wafowanym ubraniu. Czasem gdy kogoś "nadali", to straż potrafiła znaleźć.

Ja również tak wymieniałem złoto. Nie przeżyłbym tego obozu, gdybym był uczciwy wobec władz sowieckich. Min. wymieniałem złoto poprzez wspomnianego już lekarza obozowego, który miał kontakt z wolnymi. On był zmuszony do takiego szwindelku, bo zależało mu bardzo na tej pracy i jemu się to musiało opłacać. Inny byłby niepotrzebny na tym miejscu. Taka była gra w obozie. To było państwo w państwie i należało się przystosować w miarę uczciwie w stosunku do towarzyszy, żeby samemu przeżyć i jeszcze komuś pomóc. Mogły być konsekwencje bardzo przykre, ale nie myślało się o tym, co się stanie, bo była to I-sza połowa wyroku, więc jeszcze czasem człowiek nie wierzył, że przeżyje, chociaż ja cały

czas tę wiarę miałem.

[Pod koniec 49 r. zaczęto w obozie wprowadzać tzw. zachęty - proponują, że za wykonanie pracy ponad normę będą wydawać wynagrodzenie pieniężne. W tym obozie byli jeszcze polityczni z kryminalnymi i numerów jeszcze nie mieliśmy. Ale też w tym czasie za różne przestępstwa ekonomiczne, kradzież itp. wciskano ludziom § 58 p. 14 - czyli wyroki polityczne - ponad 10 lat.

Obiecano również, że otworzą sklep, w którym za równowartość tych pieniędzy będzie można kupić rękawice, onuce, machorkę i starą gazetę. Ale to wynagrodzenie było tylko zapisane, a na rękę dostawało się jakiś procent - 10 czy 20%. Na początku 50 r. dostaliśmy też bieliznę i sienniki na nary, wypchane wiórami i sianem. Przedtem spaliśmy na gołych deskach przykryci kufajką. To był komfort. Wszyscy się dziwili, dlaczego tak jest dobrze, czy wojna jakaś się szykuje czy co, dlatego więźniów starają się załagodzić. Wg uzysczanych informacji okazało się, że od 50 r. wstrzymano transporty więźniów na Kółymę i zabroniono wysyłać inwalidów do centralnej Rosji. Nie było więc szansy, żeby przy samookaleczeniu przyjechać z Kółymy. Inwalidzi musieli pracować przy ciężkiej robocie, do jakiej byli zdolni. To były powody, dla których stworzono względnie dobre warunki. Powstała też w obozie łaźnia, w której można było częściej niż przedtem umyć się i uprać bieliznę.]

W tym czasie skończył się okres szukania złota, przeszedłem znów do kopania szurfów. Ale byłem już tzw. "bogatitiel", tzn. doświadczony - wiem, gdzie co jest, gdzie się szuka. [Fewnego dnia przy "rozwoździe", w trakcie przekazywania więźniów konwojowi przez straż obozową kazali mi wystąpić na bok, wypchnęli za zonę. Oprócz mnie było jeszcze ok. 60 osób. Nie mówią tylko pędzą do łaźni, co dla doświadczonych łagierników oznacza zmianę obozu. Ale zaskoczenie było duże zwłaszcza, że każdy z nas coś przy swoim legowisku zostawił: jakieś notatki, listy, machorkę itp. W łaźni była jeszcze jakaś możliwość zamiany z kimś - zamiast Pomaskin mogłem stać się Ściborem czy Majewskim, bo na gołasa nikt by mnie nie rozpoznał zwłaszcza, że brygadzisci, którzy nas znali

odeszli. Przyjmował nas nieznajomy konwój. Przy tej rewizji sprawdzali nazwiska, badania lekarskie, parę przysiadów /poszukiwania w odbytnicy/, inne ubrania, posiłek i na samochody z plandeką. Siadaliśmy wg znanego schematu: na nogi pierwszej piątki siadała następna itp. Ruszyliśmy w drogę. Po drodze nocowaliśmy w jakimś obozie, gdzie wydobywano uran. Nazwy nie pamiętam. Dowieziono nas następnego dnia do "bielrągu" /wątpliwość - M.G./ - do kopalni i fabryki im. Matusowa.]

V B. Ja trafiłem do obozu, który zabezpieczał obsługę fabryki złota. 7 km od naszego obozu był obóz centralny, który zabezpieczał urobek kopalniany.

[Tam dopiero dostaliśmy numery /E2-946/. Od tego momentu nie mam nie mam nazwiska, tylko na tzw. apelu /prowierce/ po wywołaniu numeru E2-946 muszę odpowiedzieć swoim i ojca imieniem - nazwiska już nie ma. Było to dla nas przeżycie - nowe miejsce pracy, nowy obóz, nowe kontakty i znowu to pytanie: jak mam tu żyć, co mam robić, żeby nie nie robić, a przeżyć. Samo noszenie numeru nie było takim przeżyciem, bo ja już raz numer nosiłem - w obozie niemieckim. Na Kołymie nosiło się numery namalowane na czapce, na plecach i na kołanie. Jak się nie miało widocznego numeru - to była kara karceru. Jak przyjechaliśmy, to już w naszych aktach był wpisany odpowiedni numer. I ja swój dostałem przy wejściu do obozu - po kąpieli.

W baraku było ok. 100 osób podzielonych na 3-4 brygady do różnych prac. Najgorsze było to, że po wieczornej prowierce zamykano barak. Okna były zadrutowane.] W poprzednich obozach w oknach była jakaś szmata czy pergamin, ale można było przez nie wyjść. Za swoją potrzebą wychodziło się albo za barak, gdzie przy wyjściu robiono w śniegu pisuar albo na korytarzu w baraku - do paraszy. Ponieważ obuwie oddawano na noc do suchenia, więc przy drzwiach stały zapasowe kalosze. Ale ponieważ każdy był podziębiony, więc w nocy przed ten barak wychodziły dziesiątki ludzi. Człowiek spał i szedł się załatwić. Boso. I nogi przy

przymarzały do drogi. A cała droga do pisuaru była z zamarzniętego mrozu, bo jak człowiek wychodził z baraku, to podświadomie już lał z siebie - z zimna. Więc w czasie przechodzenia trzeba było prawie tak tańczyć, żeby nogi nie przymarzały. Jak trafił się jakiś sadysta z ochrony i zobaczył, że ktoś się złatwia nie tam gdzie jest ten pisuar to kazał mu dojść do pisuaru i stać tam. Po minucie już człowiek przymarzał i tracił stopy.

W tym obozie, w baraku stała beczka, do której się złatwiano. Ale z kolei tej beczki nie można było przelać. Z baraku nie wolno było również wyjść. To były nowe perfidne metody w "bierłagu". W barakach, w których ludzie odbywali jakąś karę, okna zabijano "bindrami" /?/, żeby nie można było komunikować się z nikim z zewnątrz.

Początkowo czułem się mocno przestraszony - nikogo nie znałem, nie było żadnego Polaka. Byłem sam. Z poprzedniego obozu było kilku Rosjan, Ukraińców i innych, ale to nie byli ci ludzie, z którymi ja poprzedniomogłem się porozumieć i kombinować.

[Na drugi dzień przydzielono mnie do brygady pracującej przy "stolach", w których wyrabiano koncentraty. Do pracy prowadzono nas normalnie piątkami, z psami, bardzo rygorystycznie. Dano nam nowe trzewiki, w których było byrdzo zimno i zacząłem się obawiać, że moje przemarzniete palce znowu stracę. W baraku dowiedziałem się, że praca w tej fabryce jest pod dachem, jest ciepło, więc wydawało się, że może być jednak lepiej jak było.]

W fabryce był następujący proces technologiczny. Z kopalni sztolniowej na kolejce linowej przychodzi ruda, którą się rozładowuje. W bunkrach przechodzi przez proces miżdżenia, potem spływa taśmociągami do bunkrów, w których jest rozdzielana do młynów. Są trzy rodzaje młynów, takie jak do mielenia kamieni: na 3 wysokościach - do różnej wielkości kamieni. Tam ta ruda jest zasypywana, dodaje się wody, to się kręci i następuje miżdżenie do pewnej wielkości ziarna. Powstaje taka rozwodniona pulpa. Pulpa leci do płuczki od dołu. Siła strumienia wody jest tak wyregulowana, że mała cząsteczka skały - bez złota, jako

jako lżejsza - jest wynywana. A grudki ze złotem wpadają do specjalnej szyji, z której trzeba rudę co jakiś czas wyłować. Jatrąfilem właśnie do tego wyciągania skały. Robota była nieprzyjemna, bo ręce cały czas były w wodzie. Ten koncentrat szedł następnie do kolejnych młynów, które już rozdrabniają rudę. Z ostatniego młyna rozrobiona ruda - pulpa - trafiła do tzw. "stołu koncentratu". [Był to duży stół /jak z listewkami, z końcem odciętym pod kątem kreślarskim/, pochylony pod kąt $10-20^{\circ}$ / w zależności od zawartości złota w pulpie kąt się zmienia/. Stół jest w ruchu wibracyjnym i przelatuje przez niego woda, która przemywa wodę: ziarna ze złotem zatrzymują się przy listewce, a reszta skały bez złota jeszcze jest wysuwana poza stół. To złoto się przesuwuwa - spada na najniższą listwkę, skąd gromadzi się w zbiorniczku.] Stamtąd koncentrat złota przechodzi do beczek ze stalowej blachy z lukiem, przez który wsypuje się do 3-10 wiader. Beczka obraca się, w środku są kule ze specjalnego stopu i tam wprowadza się wapno, sodę kaustyczną. Po 2-godzinnym kręcaniu wlewa się do tego rtęć. Rtęć wyłapuje same ziarenka złota, a inne minerały - jako lżejsze - nie łączą się z rtęcią i pływają na wierzchu. Koncentrat z tej beczki wypuszcza się korytem na "grzybek wodny". Czy złapie się złoto, czy nie - decyduje o tym regulacja ciśnienia wody: rtęć ze złotem powinna polecieć na dół a reszta musi spłynąć na boki. Wyłowony z beczek amalgamat złota i rtęci przemywa się na przemian gorącą i zimną wodą z resztek innych minerałów i zanieczyszczeń. Na końcu przepłukuje się gorącą wodą i wlewa się w lniane woreczki, specjalnie tkane rzadko. Następnie woreczki prasuje się pod prasą i wtedy rtęć przechodzi przez pory woreczka, a złoto zostaje w środku. Co dalej się z tym działo, to jest już tajemnicą bo zabierały to wojska NKWD. Wszystkie urządzenia i technologia były amerykańskie.

Fulpa oczyszczona z większych ziarn złota była jeszcze raz przemywana i puszczana na specjalne stoły wyłożone blachą miedzianą naciera-
ne rtęcią. Była to ostatnia kontrola złota z tych odpadów, które mają być odprowadzone poza teren kopalni.

W fabryce pracowali wolni - po 3 x 8 godzin, ale więźniowie przychodzili na 12 godzin - w fabryce 3 godzin i 4 godziny roboty na rzecz fabryki. Kierownikiem naszej zmiany była kobieta, Zabłockaja. Nie przyznawała się do polskości, ale po polsku świetnie rozumiała.

Każdy zmiana musiała sobie przygotować wszystko na następny dzień. Dochodziło do tego dojście do obozu - ok. 4 km piechotą z konwojem.

Przy pracy przy tych skałach amalgamacyjnych moje ręce były w opłakanym stanie. Skóra moczona przez cały dzień w wodzie była poraniona, rozmoczona, bez czucia.

[Po 2-3 miesiącach pracy przy tych skałach /pracowałem przy stole za 1-ym młynem/ był remont - kolejno wszystkich młynów i stołów. Musiałem przerwać pracę na tym odcinku.] W tym czasie udało mi się nawiązać kontakt ze spawaczem w fabryce, który mnie trochę nauczył spawania i przy którym zacząłem pracować jako jego pomocnik. Była to praca uważana za dużo lepszą i lżejszą niż przy stołach. Należało tylko chronić się przed zapaleniem spojówek /nosząc przydymione szkiełka/ i umieć ewentualnie się z nich wyleczyć. Była to jednak prosta sprawa: pakowano pod powieki szare mydło - był to piekielny ból, ale potem można było normalnie patrzeć. Szkiełka często łobilo się samemu, łącząc dwa okopcone szkiełka - kopciem od środka - i sklejając je gumą.

W okresie remontu udało mi się coś samemu zaspawać i miałem nadzieję, że już nie wrócę do tej mokrej roboty. W mojej brygadzie było dużo Ukraińców, kilku Białorusinów, a w obozie: Węgrów, Niemców, Koreańczyków, Japończyków, Łotyszów, Estończyków, Hiszpanów /od 36 r./. Polaków też było kilku, ale trzeba było ich poszukać.

[Poremoncie trafiłem niestety nie do spawania, ale do beczek, czyli na ten ostatni etap przeróbki złota - tworzenia amalgamatu.] Do ostatniego etapu - wyciskania rtęci z woreczka - przychodził wolny. Z zewnątrz, więc była możliwość bliskiego kontaktu.

[Przy beczkach była też ciężka praca, bo wiadro koncentratu ważyło ok. 30 kg, ale jak się beczki załadowało, to właściwie nie było co robić. Była to jedyna okazja, żeby z kimś porozmawiać, nawiązać kontakty.]

Konwój nie wchodził na teren fabryki. Tam byli tylko wolni i więźniowie pracujący rotacyjnie przy różnych etapach produkcji złota.

Ci wolni byli tak samo więźniami jak my, tyle że mieli wolny przydział jedzenia, mieszkania. Nie mieli wyroków, ale wyjechać z Kołymy nie mogli, bo to było "państwo w państwie". Od tych wolnych zesłańców dowiedzieliśmy się m.in., że przywieziono z Ukrainy cały transport ludzi wolnych z rodzinami, którzy budowali jakąś fabrykę zbrojeniową, którą zatopiono. I ludzi, którzy coś na ten temat wiezieli, przywieziono tu.

Naszym zadaniem było m.in. utrzymywanie trasy dojazdów dla samochodów ciężarowych wożących rudę z kopalni do fabryki - w czasie, gdy kolejka linowa była w remoncie. Kierowcami samochodów byli wolni i można się było kontaktować.

Listy rzadko ktoś dostawał - tylko z terenu ZSRR. Ja sam nie pisałem, bo rodzice byli w Warszawie, i nie oczekiwałem żadnych wiadomości. Miałem swoją teorię, że jak przeżyję i wrócę to wszystko opowiem. A w liście trudno by mi było wszystko opisać i nie chciałem im przysparzać kłopotów.

Jeśli chodzi o paczki, to ludzie, którzy je dostawali tracili często przez nie zdrowie, a nawet o życie. Bo prawa obozowe były twarde i należało się wszystkim dzielić. A rodzina często sama głodowała, więc było bardzo ciężko wszystko oddać i był to tragiczny moment. Najgorzej, jak ktoś chciał po cichu zjeść - to była jego zguba. To nie było opłacenie się, to było coś innego. Trzeba było zrobić ten gest i podzielić się z innymi. ^{Wła} Będąc człowiekiem możesz żądać od ludzi pomocy, ale ty ją również musisz dać. Była to samoobrona. I te zasady właśnie, wyrosłe z nędzy i trudności, okazują się słuszne. Człowiek powinien odrzucić to, co mu nie pasuje, a przyjąć i ewentualnie rozwinać to, co jest słusne i pożyteczne. Atmosfera w domu napewno miała na to wpływ. Nie mówiono u mnie: jak ci potrzebny ołówek, to ci przyniosę z pracy. Był czas, że jak człowiek słyszał Hymn Narodowy, to się z łóżka srywał. Może to było śmieszne, ale w harcerstwie tak by-

liśmy wychowani, a później w konspiracji wpojono nam pewne zasady: solidarność i bezgraniczne zaufanie do kolegi, z którym razem się wykonuje zadanie. Jeśli on nie wróci, to i ja nie wrócę, a jeśli wrócimy, to znaczy, że zadanie zostało wypełnione. To nas już zahartowało. Poza tym widziałem, jak rodzice /zwłaszcza mama/ przeżyli śmierć brata, i uważałem, że nie mam co pisać, skoro i tak nie mogę im pomóc. Wiedzieli, że nie zginąłem w Powstaniu i że do 10 marca 45 r. PCK wiedziało o mnie. A matka i tak napewno wierzyła, że żyję i że może mam dobre. W swojej pracy zawodowej /jestem inspektorem nadzoru - starszym projektantem/ podobnie postępuję: pierwszą zaliczkę daję w ciemno. Ale tylko raz. A jeśli nie spełni zobowiązań - to zwalniam i nie odbieram złe wykonanej pracy. Jestem bezwzględny.

U mnie była bardzo rozbudowana wartość przyjaźni i dotrzymywania danego słowa, przyjęcia zobowiązań. Jeśli w onozie zaięzała się przyjaźń, to ja człowieka, któremu np. pomogłem w ucieczce, nie mam prawa wydać, nawet jeśli mi coś za to grozi. Naotmiast smykałka do kradzieży, oszukiwania władzy lub innych istniała również. To była ta dwutorowość - rozdwojenie osobowości.

Moja pierwsza nauka w obozie to były przekleństwa po rosyjsku - żeby uzyskać przewagę. Poza tym - samodyscyplina: imyć się t. zeba, jak ubranie porwane - to należy je zszyć. Może być 77 atak, ale każda musi być przyszyta. I wszyscy w grupie - niezależnie od narobowości - musieli tego przestrzegać: każdy musiał się myć i przyszyć łatę czy zelówkę. Mógł ukraść, ale musiał to zrobić. To było tak: schodzę do piekła albo do ziemi. Diś się nie mył, bo było zimno, a woda była w suchym prowiancie - to był śnieg. Ale muszę twarz umyć, bo to moja twarz, bo jeśli tego nie zrobię, będę brudny. Ludzie, którzy przedtem coś znaczyli, pochodzący z jakichś rodów - to tu nic nie znaczyli, bo wpadali w abnegację - nie potrafili /czy nie chcieli/ nawet przyszyć sobie guzika, wyprać koszuli /nawet piaskiem/, paznokcie można było obciąć sobie szkiełkiem itp. I to była sprawa wewnętrznej, duchowej potrzeby, dyscypliny. Jak to było zachowane, to ten człowiek nie po-

szedł na wysypisko śmieci szukać odpadków jedzenia, nie poszedł wyli-
zywać talerzy - bo to jest już degradacja do ziemi - drabina do zakoń-
czenia życia na wysypisku. Głód jest rzeczą, która może zmusić do
wszystkiego, ale jednocześnie trzeba było wiedzieć, że jeśli się nie
najem, to wolę umieść na stojąco niż na kolanach. To była mądrość
wypływająca z doświadczeń. W obozie wołałem komuś zabrać, jeśli miał
więcej, niż iść na śmietnik. Lepiej było iść do zapasionej kucharki
i zmusić go, żeby mnie zapamiętał i w okienku podawał mi dużo i gę-
sto. Konsekwencje tego mogły być różne, ale ja tak wołałem. W obozie -
jak w każdym społeczeństwie - nie było równości. Tam gdzie można, to
trzeba wymusić. I tak robiłem. Chętnie nosiłem wodę w nocy - w fabry-
ce złota. Nawiązałem kontakt z Lotyszem i Estończykiem, którzy w nocy
pracowali w kuchni. W dzień spali, więc ja musiałem kombinować
żeby oni dostawali swoje jedzenie - i to mi się udawało.

[Jest rok 50 - w obozie przy kopalni jestem już pół roku. W ostat-
niej fazie pracy wylądowałem przy amalgamacie - bardzo ciężkiej pracy.
przy kręceniu bębnow u rtęcią. Często trzeba było zostawać dłużej, że-
by wyrobić normę. Od czasu do czasu dostajemy wynagrodzenia, które są
gdzieś na karteczkach zapisywane i dostajemy machorkę albo cukierki.
Wprowadzono już też "zaczioty" - za pracę ponad normę /zależało to do
ilości złota otrzymanego przez całą brygadę, a przede wszystkim od za-
wartości złota otrzymanego z kopalni/. W skali miesiąca obliczało się,
ile dana brygada otrzymała złota. Przerabiano się lepszą albo gorszą
rudę - zaczioty były różne. Była to zachęta, żeby ludzie dali z siebie
wszystko - od tego zależało, czy się człowiek wcześniej zwolni. Myśmy
już byli wkręceny w tryb całej maszyny - byliśmy jej częścią, tu już
nie można było się wykręcić, bo traciła nie tylko brygada, ale cały
zespół pracowników fabryki. Ludzie, którzy mieli tylko rok do odsie-
dzenia, chcieli mieć tych zacziotów jak najwięcej.

VI B. Pracując w brygadzie już nie można było myśleć tylko o so-
bie. [Pracując przy beczkach - w ostatnim procesie rozdrabniania pulpy

ze złotem należało tę beczkę zakręcić pokrywą tak, żeby rtęć nie wylażywała. Często było to ciężkie, bo pokrywa nie dawała się szczelnie zakręcić i rtęć wylażywała. Nikt na to nie chciał pozwolić, bo marnowało się pracę. W beczce były kule o różnych średnicach - od 3 do 6 cm. W tę beczkę wsypywało się od 6 do 12 wiader piasku kwarcowego ze złotem. Potem nalewano się wodę w ilości proporcjonalnej do tego "koncentratu" i miarkę sody kaustycznej i wapno gaszone, żeby wodę zmiękczyć. W zależności od ilości i grubości ziarna - beczka się kręciła, żeby te kule jeszcze bardziej rozdrabniały piasek i odzierały go od złota. Po 2-3 godzinach beczkę się zatrzymywało i wlewało się treść - żeby połączyła się ze złotem. Potem właśnie trzeba było tę beczkę dokładnie zakręcić i puścić w ruch, bo przy obrotach rtęć łączyła się ze złotem. [Zmora było to zamykanie beczek. Zakręcając beczkę trzeba było opierać się o nią kolanami, żeby dobrze przytrzymać i mieć opór do klucza. Po pewnym czasie moja prawa noga spuchła jak bania, odgniotłem sobie kolano, w którym pojawiła się woda. Nie bolało mnie, ale przeszkadzało w chodzeniu. Poszedłem do saneczarni, gdzie mi powiedzieli, że tko jest cynga. Trafiliem do ambulatorium, powiedziałem, że noga mnie boli. Ciociaż nie bolała, i zacząłem udawać, że kuleję. Położyli mnie i ściągali wodę razem z krwią /był tam felczer - Koreańczyk z Mandżurii, mieszaniec/. Po 6 dniach leżenia dostałem nawet czyste prześcieradło. Ten felczer był bardzo wykształcony, delikatny, ale z reji swoich "przestępstw" mógł być tylko felczerem. Bardzo pomagał chorym.] Podszedł do mnie, pięknie mówił po rosyjsku, wypytał mnie, kim jestem, za co siedzę, dobrze był zorganizowany co to jest Polska i o co chodzi i zapytał wprost, co mi jest - czy przypadkiem nie symuluje - i jak mnie leczyć. Zorientował się, że nie jest to cynga, ale muszę mu powiedzieć, jak to się stało. [Ja jeszcze miałem bóle w boku - po urazie z czasów Powstania - a teraz ten ból zaczął mi się odzywać. On stwierdził, że w tym boku też mam wodę. Powiedziałem mu prawdę, że to mnie nie boli, ale sam sobie tego nie zrobiłem. Potem zresztą dostawałem też temperatury i zaczął mnie leczyć chirurg.] I tranem /którym leczy-

no kurzą ślepotę/ i wywarem ze słonnika. Powiedział, że może mnie zwolnić do baraku, ale jeszcze przez jakiś czas muszę przychodzić do ambulatorium po tran i sponnik. Przez ten czas byłem na zwolnieniu. Po 12 dniach wodę w kolanie usunięto, ale w boku jeszcze była. Po 2 tygodniach chcieli mnie już zabrać do pracy.

Koreańczyk prosił mnie, żebyżm mu prynieść wapno z fabryki do odnowienia ambulatorium. Wapno było przywożone z centralnej Rosji tylko do produkcji złota i nie nikogo nie ochodziło jakieś ambulatorium - oficjalnie lekarz nie mógł go dostać. Felczer chciał się utrzymać w ambulatorium i musiał się jakoś zaskłużyć, a innymi sposobami nie mógł. To rusku jest takie przysłowie: "Wypieprz, a powiedz, że znalazłeś".

Zgodziłem się pod warunkiem, że mi zorganizuje kalesony, żebym mógł w nogawkach spodni wynieść wapno. Kalesony dostałem, poszedłem do pracy i zacząłem kombinować, jak ukraść to wapno. Znaczyło to bowiem wrzucenie mniejszej jego ilości do beczki, a tym samym - otrzymanie mniejszej ilości złota, czyli mniejszą normę. Doszliśmy do wniosku, że wapno można ukraść z magazynu, ale magazyn jest wewnątrz zamknięty. Udało się nam po miesiącu zorganizować pierwszy transport wapna do obozu. Technika przynoszenia wapna do obozu między spodniami a kalesonami też była specjalna - żeby w razie rewizji nie wynacali. Za jednym razem przenosiliśmy 1,5-2 kg wapna hydratyzowanego, mielonego. Do włamania do magazynu i do wynoszenia wapna wyciągnąłem Lotysza i Estończyka. W tym czasie chodziłem do ambulatorium po swoją porcję tranu i jednocześnie pomagałem rozdawać go innym, znajomym dawałem więcej. Do tranu trzeba było przyzwyczajać żołądek, żeby nie dostało się biegunki. Po pewnym czasie wszyscy mieli porządną zastrzyk witamin. Potem zorganizowałem żarówkę dla ambulatorium itd. więc kontakty były dobre i nawet, jak człowiek był bardzo zmęczony, udawało się załatwić zwolnienie.

W tym czasie dowiedziałem się, że w obozie jest Polak - inżynier chemik z Łodzi - Fedler /nie wrócił ze mną/. Przez niego poznałem

Hiszpanów, którzy po wojnie z Franco przyjechali do ZSRR i znaleźli się na Kółymie. Fedler był pasjonatem opej i w wolnym czasie /raz w miesiącu/ starał się rozmawiać o różnych sprawach, żeby umysły ludzi nie były zajęte tylko obozem. Poznałem też innych Polaków - Poredę /krótco był w fabryce/. Innych nie pamiętam.

W grupach łączyli się ludzie różnych narodowości - po prostu ludzi którzy razem spali, pracowali i umieli się dogadać. Na mojej zmianie w fabryce byli Ukraińcy, Łotysze, 3 Rosjan, Estńczycy... Z Polakami rzadko się spotykałem. Z Ukraińcami nie było wielkiej sympatii - jak ich było 2-3, to przyznawali się do znajomości polskiego i Polski, ale jak ich było więcej - to już byli tylko Ukraińcami i już po polsku nie rozumieli. Z nimi nie robiło się żadnych szwindli, nie było zaufania, tylko wzajemna tolerancja. Przez Ukraińca przecież zostałem wysłany na kopalnię "Matusowa".

VII A. Położenie: 3 duże góry, obóz, kopalnia i fabryka były w kotlinie - w dawnym korycie rzeki. Fabryka była od kopalni o 7 km na górę. Ruda była transportowana kolejką linową. Obóz był w kotlinie i budujące się osiedla dla straży oficerów z rodzinami /NKWD/, było ono przede wszystkim dla młodych, jeśli dostali mieszkanie.

Ruda z kolejki była wysypywana do specjalnego bunkra i tam następował proces zagniatania, mielenia rudy. Tam też pobierano próbki złota - jaki procent - i tam następował rozdział zgniecionej skały do innych bunkrów, o różnych zawartościach złota, apotem do fabryki. Wszystko było w gestii NKWD, o Dalstroju nie słyszałem. Szefem produkcji u nas była pani Zabłocka /nie przyznająca się do znajomości polskiego/ i 2-3 wolnych ludzi.

Kopalnia była otoczona drutem i strażnikami. Ludzie wolni mieszkali w osiedlu o 2-3 km od fabryki. Osiedle było w pobliżu obozu, ale mniejsze niż obóz. W obozie było ok. 3 tys. osób, w osiedlu dużo mniej. Wszystkie materiały były przewożone tylko transportem kołowym. Lotnis-

ka tam nie było. Fabrykę i montaż produkcyjny budowali podobno Amerykanie oraz porządniejsze baraki w osiedlu. Osiedle rozrastało się przy drodze między fabryką a obozem. W 51 r. przywieźli wielu wolnych ludzi po technikach geologicznych, z nakazami pracy. Pojawiało się też trochę kobiet. Na naszej zmianie były też młode dziewczyny z Leningradu.

Barak w obozie dzielił się na dwie części, w każdej sali mieszkało po 100 osób. Półśrodku była tzw. suszarnia, bo często wracaliśmy w mokrych ubraniach - i to była jedna z największych plag. Od 50 r. mieliśmy już materace i zaczęto dbać o ludzi. Dostawaliśmy koszulelniane, czasem kałasony, buszłaty, fufajki. Jak ubranie było mokre, to spało się w mokrym i suszyło się sobą. Dniwalny musiał wszystkich rzeczy pilnować, żeby nic z rzeczy osobistych - tzn. onuce, rękawice, czy nawet kawałek chleba - nikomu nie zginęło. Wytwarzala się taka więź między ludźmi, że musieli przestrzegać tych reguł: za kradzież którejś z tych rzeczy można było człowieka udusić. Takie było prawo obozowe. Obcy nie mogli buszować po sali.

Nasz obóz był najbliżej Indygirki /Ust'Nery/. W czasie pracy w fabryce spotkałem w ambulatorium, w czasie Wigilii 50 r., Polaka, znajomego z ul. Chłodnej. Staraliśmy się tę Wigilię obchodzić - na przekór losowi. Kromka chleby jako opłatek. Te tradycje trzymały przy życiu. Trwało to pół godziny lub godzinę, bo jednak "gumowe uszy" istniały. Robiliśmy to czysem nawet w stolówce - ustawialiśmy się w kolejce po bułkę czy po supę tak, aby być wśród swoich. Byli tam i Ukraińcy, i Białorusini - z naszych ziem - prawosławni i greko-katolicy. "tegi wszelkie właśnie zanikały. W obozie przy kopalni "Matusowa" trudno było to zorganizować w baraku, wczoraj, bo byliśmy bardzo inwigilowani. Ten mój kolega z Warszawy - Żyd, rybą karmiony, siedział za głupie sprawy. W 39 r. uciekł z Warszawy z rodziną. Dotarli na teren ZSRR i przyjęli obywatelstwo radzieckie. I w 41 r. był w Kazachstanie, stworzył grupę walczącą z pluskwami - jako wolni. Jak był nabór do armii Andersa, to przypomniał sobie, że jest Polakiem i napisał podanie. wezwali go do wojskowego biura werbunkowego i wręczyli mu § 58,

p. 1 - zdrada ojczyzny - i dostał 10 lat. W 52 r. sąd cywilny dołożył mu jeszcze 5 lat /widocznie poprzednio za mało dostał/. W obozie prowadził brygadę ciesli - budowali pomieszczenia dla obozu.

Z przedłużeniem wyroku zetknąłem się już w Orszy - w obozie przejściowym. Tam spotkałem Polaka z Białorusi, który w 37 r. za kolizję z prawem w Polsce uciekł do ZSRR /prawdopodobnie był komunistą/. I tam dostał 8 lat. Dla osób, które były sądzone przez cywilne sądy były 2 rodzaje zatrzymania: osoboje siewierszanie i 3-osobowy sąd. Z minimum 5-letnim wyrokiem lub nie daje wyroku i te akta wędrują do O.S. Naszym szczęściem w nieszczęściu było to, że nas sądził trybunał wojskowy, po którym nie mogli nam przedłużać wyroku. Musieli nas wypuścić chociaż na 24 godziny i dopiero wtedy znowu aresztować, np. za kradzież zapalek.

Największym przekleństwem wśród niewierzących i strażników było zniesławienie Trójcy Świętej /nam ją w "głębokim poważaniu"/. To się mówiło, że "zniewalam twoją książkę ubezpieczaku" - bo w tej książce jest cała twoja rodzina - myślowy skrót.

VII B. Najwięcej klął konwój /ubliżając religii, Bogu/, kryminalni - nie związane z religią. Z prawosławnych mniej się wyśmiewano nie prześladowano też muzułmanów, najwięcej - ze Świadków Jehowy. Może to związane było z tym, że im nie wolno było walczyć - nie służyli w wojsku. Dlatego też żołnierze najwięcej im dokuczali. Była też zazdrość wobec nas, że na Święta potrafiliśmy się zebrać razem i jakoś je spędzić. Nawet umieliśmy wyliczyć, kiedy była Wielkanoc. To było nam potrzebne. Im więcej człowiek cierpi, tym więcej się modli i czeka na zbawienie. Wtedy jest walka rozsądku z wiarą, buntuje się człowiek przeciwko głodowi i zmęczeniu. W chwilach załamania u mnie decydował raczej upór - że ja muszę to przejść. Jak człowiek przekroczył jakąś granicę, to na pewno podziękował Temu, który cudem pomógł przeżyć. Po ciężkich przeżyciach często ludzie odchodzą jednak od wiary, ale coś zawsze zostaje: "jak trwoga to do Boga". Myśli człowieka nikt nie mógł

ukraść, więc wychowanie i tradycje zostawały i to było ważne. Jeśli chcemy się nazywać ludźmi, to mamy pamiętać o tym, że kryteria dla człowieka wymyślili ludzie. W obozie głód oznaczał strach. Głód był naszym silniejszym orężem w walce z nami. Pierwsze moje słowa po powrocie do domu /mama zawsze wierzyła, że ja żyję/, to było podziękowanie, że mnie karmiła piersią. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, pewnie słyszałem, że dzieci karmione piersią były silniejsze i zdrowsze. Chciałem coś powiedzieć matce, a trudno było - wata w gardle - ale coś musiałem bliskiego powiedzieć. Tylko to mi przyszło do głowy! podziękowanie.

Współżycie z różnymi więźniami o różnych narodowościach układało się raz dobrze raz źle. Byli waśnie. Ludzie trzymali się razem, ale "kum" nie dopuszczał do tego, aby brygada była złożona z ludzi o jednej narodowości - bali się porozumienia i więzi między ludzką. Pogardliwym było określenie "chochoł" - co oznaczało Ukraińca, bez względu na to, z której Ukrainy pochodził. Ta narodowość nie cieszyła się życzliwością. M.In. wiadomo było, że jeśli ktoś zakapował, to był to prawdopodobnie chochoł.

W 51 r. przyszedł okres remontu kolejki linowej do fabryki i dostawy rudy odbywały się transportem samochodowym - żeby utrzymać plan wydobywania. Kierowcy byli na wolnej zsyłce /byli jeńcy z Niemiec, nie wsadzano ich do obozu, ale byli zsyłani - w tym czasie już nie sądzono/. Tych na zsyłce sami musieli dbać o swoje warunki życia: mieszkanie, jedzenie, ubranie itp. I w tym sensie mieli gorzej niż my. Był to jednak dla nas kontakt w wolnymi, z którymi można było handlować - machorkę czy sól, tłuszcz np. za wapno, gwoździe, które myśmy wynosili z magazynu /gdzie im nie wolno było wchodzić/. W umówionym miejscu kładło się to, co im było potrzebne, a oni zostawiali to, co myśmy chcieli. Handel wymienny kwitł, tu ginie żarówka, tam gdzieś wapno... Po pewnym czasie wzywa mnie "kum" i mówi, że wie, że organizowałem kradzież z magazynu. /Pilnowana była strefa fabryki, a magazyn stał

wewnątrz zamknięty na kłódkę i zaplombowany. Udawało nam się podrabiać klucze i plomby/. Doniósł o tym brygadzysta, typując - zresztą trafnie - mnie. Rewizję zrobili w moim posłaniu, ale oczywiście nic nie znaleźli. Powiedziałem, że nic nie wiem, że to pomyłka. Ostrzegli mnie, że udowodnią mi to i zaczną od zera wyroku. Najwięcej im chodziło o to - komu ja to dam. Po 3-4 dniach takiego śledztwa po pracy i siedzenia w karcerze - wywołałem u siebie temperaturę - sódę - i poszedłem do ambulatorium. Chińczyk - felczer - wiedział już wtedy, że mnie stamtąd wywiozą i dał mi gryps do obozu kopalnianego - do kolegi z ambulatorium /Rosjanina chirurga/. Miałem iść do niego, gdyby było mi bardzo ciężko. Gdyby mnie mieli przebrać i sztaciłnym gryps - miałem ustnie powołać się na Chińczyka.

[Pewnego dnia wyprowadzają mnie i innych do pracy, jestem już za pierwszą zoną, wywołują mnie - już nie mampowotu do baraku, nic swojego nie mogę już zabrać. Piechotę każą mi iść do kopalni - ok. 7 km - był to kwiecień-maj 51 r. Zamknęli mnie do karceru - ze śniegiem. " tym czasie byłem sam, ale na szczęście niedługo, jedej dzień, bo jak jeden siedzi w karcerze, to jest śmierć - z przemarznięcia.]

VIII A. Naczelnik tego obozu powiedział, że przyszło za mną polecenie, że mam być na ciężkich robotach, ale on może mi dać lżejszą pracę, jeśli odpowiem mu na to, o co mnie pytali w poprzednim obozie. Powiedziałem mu, że to była pomyłka, że brygadzysta nislusznie mnie oskarżył. "twierdził, że jest przekonany, że mówię nieprawdę i od jutra mam się zgłosić do brygady górników i przez 2 tygodnie będę pracował jako pomocnik górnika obsługującego młot pneumatyczny. Potem będę musiał sam borować dziury. Je li normy nie wyrobię - to będę nocował w karcerze. W obozie tym baraki zamykano później, nie po apelu, ale 2 godziny później. Fama poszła po obozie, że przywieźli kogoś z innego obozu - więc jest to "wtyczka" albo coś innego "śmierdzącego". Przenocowałem w baraku na gołych narach - bo jeszcze nic nie dostałem. Rano przydzielili mnie brygadzie takiego chochoła z Kijowa. Była zasada, że

górnika, który boruje, jak po 6 miesiącach wychowa sobie następcę, to odchodzi, bo przy obsłudze młota po 6 miesiącach występuje pylica.

Siedzę na narach i myślę, co robić - czy iść już do ambulatorium z tym grypsem czy jeszcze poczekać. Przychodzi do mnie jakiś facet i po polsku pyta - ile siedzę, kiedy wychodzę itp. Okazało się, że siedzi już od 44 r. i pracuje jako geodeta i ma szansę niedługo wyjść, bo już mu się kończy wyrok /miał 6 czy 7 lat/. Radził mi, żebym na kopalni nie dostał się do "borowania" bo nie wytrzymam. Był to p. Tadeusz Siczek /pilot/, mieszka teraz w Gdańsku.

Kilka uwag o pracy w fabryce i dzielaniu się złotem w brygadzie - żeby wyrobić normę miesiąca. Kilo złota, kilo herbaty i litr spirytusu to była jedna cena. A od normy był zależny deputat - kartki na wszystko - również dla wolnych. Zbliżał się koniec wyroku, trzeba było myśleć, jak się będzie dalej żyło. I to było może straszniejsze, niż na początku wyroku. "Tedy miałem przed sobą 10 lat, wiedziałem, muszę starać się przeżyć jak najmniej pracując i zdobywać więcej jedzenia - i pozostać człowiekiem. Nauczyłem się trochę spawać. Przecinało się dużą rurę i w zespawane 2 rury wlewaliśmy rtęć ze złotem. Dużą rurę zespawano się z powrotem, a to co było w tym odcinku zespawanej rury zostawało i czasem część złota udawało nam się uzyskać i schować do woreczka. Byliśmy w dobrych stosunkach z kierownikiem zmiany /wolnym/ i on chcąc wyrobić normę proponował nam nawet część swojego przydziału alkoholu czy papierosów. Od tej normy zależało uzyskanie mieszkania awans itp.

Ci kontraktowi trzymali się tej Kołomy, bo tam jednak można było zarobić i jakoś się urządzać, a tam, skąd przyjeżdżali, panowała nędza. Była taka anegdota, jak któryś z więźniów napisał do matki na "matiernik" - że jest zdrow, ale nie chciał pisać, że jest więźniem, więc napisał, że "urządził się na 350 g chleba". Matka mu odpisała, że się cieszy i czy nie mógłby "urządzić" młodszego brata na 125 g??

Na początku nie było możliwości robienia zapasów - ani potrzeby.

Już po 5 latach człowiek był doświadczony, nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Zaczęto naliczać zacioty, więc zaczynało liczyć do końca wyroku. A w kopalni trudno było wykombinować jedzenie, poza tym - co dalej będzie po zwolnieniu. I co dalej? Co się będzie robiło - gdzie, z kim? Powoli się coś zbierało: czapkę, onuce, rękawice itp. A z onucy można było stworzyć wszystko: szalik, spodnie itp. Za ukradzenie onucy groziła śmierć - bez odpowiedzialności, tak ajk za chleb czy rękawice.

[W kopalni jakiś czas pracowałem w grupie wiertaczy. Wierciło się w bazaltach, w ogromnym pyłe. Praca była w szotlniach - w poziomych chodnikach. Po 2 tygodniach powiedziałem, że wiercić nie będę i zabrali mnie do karceru. Potem udałem się do ambulatorium z grypsem od lekarza Chmńczyka. Tutejszy lekarz powiedział, że nic na razie nie może mi pomóc, muszę iść na :rozwód" i krzyczeć, że jestem chory. I tak się stało! Lekarz sprowadził mnie do ambulatorium i okazało się, że mam żółtaczkę. Leżałem 6 tygodni. "opijałem tran, zrobiłem się bardzo "mordziasty" i nikt nie wierzył, że jestem ciężko chory. Po wyjściu dostałem jednak zaświadczenie, że nie mogę pracować jako wiertacz, bo mam wątrobę ciężko uszkodzoną i mogę pracować tylko na powierzchni.]

Wysłali mnie na tzw. kratę - po odpaleniu ładunku w kyle ze złotem wywożono kawałki skały wagonikami. Krata to był bunkier, do którego wysypywano urobek do kolejki linowej. Przed tą kratą należało rozbijać skałę na drobniejsze kawałki, żeby przeszły przez kratę w bunkrze i nie rozbiły taśmociągu. W kopalni pracowałem w 52 r. - w zimie.

[VIII B. Boże Narodzenie w 52 spędzałem w ambulatorium. Zostało do końca wyrbku 2 lata minus zacioty, więc w sumie jeden rok w tej sytuacji. Taki człowiek jak ja musiał mieć w obozie respekt, bo jak się komuś udało przeżyć tyle lat, to człowiek nie musiał ciężko pracować, chociaż naczelnik tego chciał, a ochrona dziwiła się, że on jeszcze żyje i myślała, ajk go zniszczyć.] Trzeba było to wyperswadować i z tego powodu były różne konflikty. Np. jak ktoś kazał mi ciężko pracować,

to mówiłem, żeby mi pokazał, jak to się robi. Jak pokazał, to ja - żeby tak dalej robił, skoro umie, bo ja tak nie będę. Jeśli mnie zmuszał to albo musiałem go zabić albo ciężko uszkodzić. Tam innych warunków nie było. Tłumaczyć mogłem swojemu rodakowi, ale jak się trafiło na takichs Uzbeków czy Kirgizów, którzy mieli po 28 lat i czasem się nawet chwaliли, ilu Polaków zabili, to musiałem reagować inaczej /oni walczyli we Włoszech - w SS/. Taką różnicę zdań trzeba było wyjaśnić, że ja nie będę pracował. Całe szczęście, że młotek przeleciał za moją głowę, tylko dostałem trzonkiem. Ja musiałem lepiej celować, bo inaczej na drugi raz by mnie uderzył. /Uzbek kazał mi w ciężki mroź pracować/. Wystarczyło, żeby dwóch ludzi przy tej kracie pracowało na zmianę, reszta musiała się trochę grzać przy ogniu. W fabryce pracowało się nawet przy bardzo dużych mrozach, bo sztolnie były zakryte, za wyjątkiem naszej grupy przy kracie, która pracowała na powierzchni.

Po tej walce mieliśmy trochę pokieraszowane głowy. Ja poszedłem do kopalni - żeby się schować i znaleźć swoich do obrony, bo tamci mogli mnie przez kratę puścić na taśmociąg. Chłopcy mi pomogli. Okazało się, że w sztolni dozorem technicznym szyn zajmują się Polacy - m.in. Siczek. /był w kadrze technicznej/. Inni Polacy byli ze Lwowa. Chłopcy odprowadzili mnie do obozu - ok. 2 km. Tam czeka już "kum", tego swojego Uzbeka nie widzę - i jest przesłuchanie. Pytają, co się stało w kopalni. Widzi moją głowę, mówię, że upadłem. "Kum" wątpił, ale nie przyznał się do żadnej bijatyki ani do niczego. On mówił, że nie wie, że była bójka. Ja dalej się nie przyznaję i udaję, że dobrze nie rozumiem po rosyjsku. Odszukali Uzbeka, ale ten się nie przyznał do żadnego zatargu ze mną. Efekt był taki, że po kolacji obozowej, Uzbek brygadziasta i ja dostaliśmy dodatkową kolację - po terminie. Po tym, jak dochodziliśmy do mojego baraku, brygadziasta powiedział do mnie "Młódziec". Całą noc nie spałem, bo mnie głowa bolała, ale do pracy się stawiałem i dopiero przy kracie brygadziasta do mnie podszedł i zaczął tłumaczyć, że nie wiedzieli kom jestem, ile siedzę i za to, że wazys-

tko jest w porządku i że mogę wcale nie pracować. Jak będzie ci się działa krzywda, to masz w nas przyjaciół. I tak się zaczęły poprawne stosunki moje w tej grupie. Później ci Uzbecy okazywali też respekt wobec innych Polaków. Co prawda pracowałem trochę, ale wtedy, kiedy mi miałem chęć i żeby nie zamarznąć.

Normę w fabryce obliczała moja pani Zabłocka, która mi zalażała za skórę. Ona była wolna i chyba pracowała w NKWD. Dzięki niej i temu brygadziście przeniesiono mnie do kopalni, chociaż byłem dobrym specjalistą. Zabłocka była w fabryce chyba już od 8 lat, ale do końca nie wiedziała, jak to złoto kradniemy.

Przy kracie pracowałem od 53 r. w zimie /po ambulatorium/ do końca czyli do 54 r.

- IX A -

Przesyłanie rudy z kopalni do fabryki i wykonanie normy przez fabrykę było zależnione od ilości i jakości rudy przysyłanej z kopalni. Fabryka wysyłała telefonicznie zapotrzebowanie jakiejś rudy /o jakim procencie złota/ i taką rudę kopalnia wysyłała. Mszcząc się trochę na tej pani Zabłockiej i innych wypuszczałem skałę bez złota. Nie zawsze się to udawało, bo w fabryce też było laboratorium i często interweniowali. I wtedy ładowało się dobrą rudę, ale jednak kilkanaście ton tej skały "płonej" poleciało i z tego mieli mniejszy procent.

Po incydencie z Uzbekami pracowałem już spokojnie przy kracie. Udało mi się nawet kupić parę onus, z których uszyłem koszulkę, czapkę. Miałem walizeczkę z dykty, więźniowie pomagali mi przygotować się do "wolności". Jednak niepokój trwał, bo zaczynało się już myśleć o domu, załączeniu rodziny itp. - o pracy, mieszkaniu. Nie było kogo się poradzić, bo nie było kontaktu z tymi, którzy już wyszli.

[W marcu 53 r. zaczęły wycie sybony, apel - wiadomość o śmierci Stalina - Wielkiego Ojca. Zafalowało, zaczęły się przekleństwa, nie było na to żadnej reakcji ze strony NKWD-zistów. Nie zapędzano już do baraków, można było czekać aż do "rozvodu". Żadnego żalu nie było, to przecież byli ludzie właściwie skazani na śmierć.]

Jeszcze przed śmiercią Stalina pojawiły się głosniki w salach,

przez które podawano muzykę. I przez te głośniki usłyszeliśmy też o zglądzeniu Berii - to była wielka radość. Pierwszą polską piosenkę usłyszeliśmy w baraku - śpiewała Kostrzewska na koncercie teatru polskiego w Moskwie dla Stalina - arię z "Rosemarie". Nie mogłem tego zrozumieć.

IX B. Po śmierci Stalina trochę zelżało. Konwój przestał pokrzykiwać na więźniów i psy trzymali z daleka - nie puszczali ich dla draki żetę, któryś za rękę złapał. Ci NKWD-ziści byli zaburzeni, zaczęli szukać kontaktu z więźniami.

[W czerwcu 53 r. miałem już zezwolenie na niestrzyżenie włosów na tyśną pałę - to znaczyło, że jestem już kandydatem do wyjścia. Pewnego dnia jest jakieś zamieszanie i mówią., że przyjechał jakiś prokurator. Kiedy szycowaliśmy się do wyjścia do kopalni, podpułkownik z białymi naramiennakami wyczytuje listę - i pada moje nazwisko. Mam wystąpić, ale nie wiemy, po co, co się dzieje. Wyprzedzili nas za drugą zonę, tzn. że nie możemy już wrócić do obozu. Między nami było kilku Japonczyków, Holender, 2-3 Polaków, paru Hiszpanów, Węgrzy, Rumuni /w sumie w tym obozie było ok. 10 tys. więźniów/. Przychodzi pan pułkownik i mówi, że ponieważ słyszeliśmy o śmierci Berii /szpiega/ i Stalina a Beria chciał narody skłócić i wsadzał winnych i niewinnych - a my jesteśmy grupą niewinnych, więc będziemy odesłani do Moskwy. Już nie wrócimy do obozu. Zaprowadzili nas do łaźni, zabryli stare ubrania i dostaliśmy nie swoje /"nowe"/ - dreluchy, buty, onice i koszulę. Zaprowadzili nas do świetlicy i tam przenocowaliśmy. Rano przyszedł nowy konwój. Już nie mieliśmy numerów. Dano nam produkty na drogę - po pół bochenka chleba. Wsadzono nas do 3 samochodów.] Gdybyśmy jechali na lewo, to by znaczyło, że jedziemy nad Indygirkę i że pułkownik kłamał. Ale stwierdziliśmy, że jedziemy na prawo - czyli w kierunku Magadanu - więc chyba mówił prawdę. [Ten pułkownik transportował nas aż do Połny. Po godzinie jazdy - wypuścili nas, a droga była ciężka, bo trzęsko. Chleba się zjadło, a pić się chciało, a już zaczęło być ciepło. Ja z chlebem

"na stble" w obozie nigdy się nie spotkałem. Po drodze zatrzymaliśmy się na noc w jakimś obozie. Dali nam nawet gęstą bakandę z olejem. I tam się dowiedziałem, że tam była kopalnia /było też paru "olaków/. Ale oni nawet nie wiedzieli, co to było - jakaś była z "fioletowym mulem" /potem dopiero zorientowaliśmy się, że to był uran/. Ale warunki w tym obozie, a przynajmniej jedzenie, były lepsze niż w "Matrosowie". Opowiadali, że była inna eksploatacja i technika, jak w kopalniach kopalniach złota czy kaszterytu. Największe straty w ludziach były w czasie eksploatacji tej były, bo oni szli za nią w wąskich długich tunelach - nie odpalało się tam dużej ilości skały, jak u nas.

Jak jeszcze byliśmy w fabryce, to dowiedzieliśmy się od wolnych kierowców, że niedaleko nas jest obóz ludzi wolnych, którzy budowali fabrykę, która potem została zatopiona. I po to, żeby nikt o tym nie dowiedział się, to ich wywieźli aż do naszej okolicy. Zastanawialiśmy się, po co wybudowaną fabrykę zatopiono.

Na drugi dzień nas nakarmiono i przyjechaliśmy do Magadanu. Przeliczono - po nazwisku, z imieniem ojca. Zaprowadzono nas do obozu przybytkowego. Zaczęliśmy szukać naszych. Było tam trochę chłopców ze Lwowa i z Wileńszczyzny, ale z Warszawy - nie. W obozie było ok. 300 osób /z kopalni przyjechało ok. 50 osób/. Trzymano nas tam 2 tygodnie. Po pewnym czasie spotkałem Majewskiego, który miał wytatutowane "II". Pochodził z Warszawy i mówił, że brał udział w Powstaniu. Wytatutował sobie "AL", żeby po powrocie być bohaterem. Poprzez druty zobaczyłem dziewczyny i poznałem Krysię Zajęczkowską. Udało nam się dostać do zony, w której one pracowały i skontaktowałem się z nią. Spotkanie było dziwne, bo 10 lat nie trzymałem dziewczyny za rękę. Ale wychowanie zrobiło swoje - i pocałowałem ją w rękę.

X A. Strażnik, który zobaczył, że ja pocałowałem w rękę, spytał, czy to moja siostra, mówię, że kuzynka. Przywitałem się też z Botyszką - towarzyszką Krysi. Dowiedziałem się, że Krysia pochodzi z Wileńszczyzny i spytała, czy przypadkiem nie spotkałem jej brata. Ona otrzy

otrzymywała listy z domu i wiedziała, że jej brat jest gdzieś na Kołymie. Podała mi adres siostry i matki, które mieszkają w Gdańsku-Wrzeszczu. Krysia miała długie włosy, polska dziewczyna itd. Czekala na koniec wyroku. Prosiła, żebyśmy dali znać jej rodzinie, jeśli będziemy wcześniej w Polsce i żeby o bracie nie wspominać, bo matka wierzy, że on żyje. Po 2-3 dniach Krysia wezwala mnie przez druty i prosiła, że chce przekazać matce przeze mnie pukiel włosów /bardzo ładne, blond/ i krzyżyk zrobiony z kawałka szczoteczki do zębów. Starala się przekazać mi informacje o Łotyszcze, ale nie pamiętam jej danych, bo wiedziałem, że na Łotwie nie będę.

W tym obozie odsegregowali od nas wszystkich Azjatów, Japończyków, Koreńczyków, Chińczyków. [Statek był gotowy. Najwięcej w naszej grupie było Rumunów, trochę Węgrów. Wypłynęliśmy na przełomie czerwca i lipca 53 r.. Płynęliśmy statkiem pasażerskim /nazwy nie pamiętam/. Przedtem mieliśmy kwarantannę, wszystkich strzyżono do gołej skóry, a ja nie dałem sobie włosów obciąć - miałem już sporego "jeżyka". Tłumacząc temu pułkownikowi, że byłem w bardzo ciężkim obozie i tam pozwolono mi przed wyjściem zostawić te włosy - i dlaczego tu chcą mi je obciąć. Pułkownik zagroził, że mnie tu zostawi. Ja na to, że może mnie uostawić, ale ja sobie włosów nie dam ściąć. Usiłowało mnie złamać, ale ja nie pozwoliłem się ogokić. Wiedziałem, że jak ma moje dokumenty, to musi mnie matrwego lub żywego dostarczyć na mniejsze - do Moskwy. Ja już poznałem ten system. W końcu machnął ręką, ale powiedział że choć trochę muszę włosy podstrzyc. Zrozumiałem, że on musi być górą, bo jest dowódcą konwoju i zgodziłem się - ale tylko trochę.

[Wpuszczono nas do dwuosobowych kajut - z pościelą. Istny raj. W tym transporcie byli tylko mężczyźni. I uwierzyliśmy, że wolność jest przed nami. Na korytarzu była warta, jedzenie było dobre.] Byłem pierwszy w czwórce, która poszła po posiłek do kuchni. Przed nami i za nami idzie konwój. Sierżant, pan pułkownik/prokurator/ - też. W kuchni od razu nas spytali, skąd jesteście. A człowiek tylko patrzył, co można zjeść, oni powiedzieli - biecicie, ale wam potrzeba i jedzcie. Bali

się tylko, czy się nie rozchorujemy. Wmiędzyczasie przyszedł jakiś marynarz i też pyta, skąd jesteście. Ja mu zaczęłam opowiadać, że mam kuzyna w Gdyni też marynarza /oczywiście - bujda/ i w efekcie dostaliśmy od nich dodatkowy pojemnik kabaczków nadziewanych z mięsem. Tylko dla nas. I 2 butelki wódki. Ja o tej wódce nie wiedziałem. oprócz 2 Polaków w tej grupce był Węgier i Rumun. Dzielimy jedzenie w kajutach, zaprosiliśmy kolegów, patrzymy - są butelki z wódką. Jedna nasza, druga wasza, pojemnik odnieśliśmy - pusty - do kuchni. Prawdopodobnie ktoś doniósł i dowiedział się o tym pan prokurator. Wódkę wypiliśmy, zjedliśmy kabaczki, tylko nie wiedzieliśmy co zrobić z butelką. Na 2/3 godziny przed obiadem przychodzi po mnie sierżant i zabiera do kajuty prokuratora. Był tam sierżant i żołnierz z konwoju, który był z nami w kuchni. Prokurator pyta: "Kto wam wódkę dał?" - "Jaką wódkę?" - "Chuchaj." - chuchnąłem. "Od ciebie wódka śmierdzi." - "To ode mnie głód śmierdzi, ja głodny". Chcieli mnie wsadzić do karceru, było ostre starcie. Mój kolega też się nie przyznaje, każą nam po desce chodzić. A myśmy nic nie wiódzili, że tamci się spili, a ja byłem posadzony. Zrobili rewizję w kajucie. Butelki nie było. A tamci pijani powiedzieli, że to ja z kuchni wódkę przyniosłem. Wypartłem się i posadzili mnie do karceru. Obiadu nie dawali, tylko kolację. Przyszedł sierżant który był przy moim przesłuchaniu, do naszej kajuty i położył paczkę papierów - "młodziak, Polaku" powiedział do mnie. Idziemy na kolację, ale nas już nie puszczają do kuchni, tylko dali innych. A szef kuchni pyta, gdzie są ci, co rano byli? Bo tamci to byli badani, a tych to lekarz musi zbadać, czy mogą do kuchni przychodzić. Ale więcej już do kuchni nie chodziliśmy. [Od czasu do czasu jakiś marynarz nam coś przynosił i w świetnych humorach dopłynęliśmy do Władystoku.] Tam wyładowano nas do obozu. Tego dnia było słońce, więc czekając na wagony rozebraliśmy się i opalaliśmy. Wieczorem można było z nas skórę ściągać. Poparzeni byliśmy okropnie. [Załadowano nas do wagonów bydlęcych /po tych luksusach na statku/, w każdym wagonie jechało po 2 konwojentów

wyznaczuono po 2 służbowych i o dziwo pan prokurator wyznaczył i mnie. A była to ciężka praca: przynoszenie jedzenia, po kilka kubłów wody i tp. W czasie tej podróży największe zdziwienie budziliśmy u kolejarzy gdyż był to transport z więźniami, ale bez zakratowanych okien i bez specjalnych platform z konwojem na zewnątrz. Na stacjach etapowych 2 razy dziennie dawali posiłek: balandę i porcję chleba /1/4 bochenka/, rybę i wodę, której zawsze było brak. W wagonie były prycze i materace, których co prawda nie starczało dla wszystkich, ale były. I oczywiście - parasza. Na jednej stacji w pobliżu Uralu - proponowali zaprowadzenie nas do odwszalni, ale o dziwo - wszy nie było, poza tym była komisja lekarska i opatrzone rany po oparzeniach słonecznych.

Gdzieś tam udawało się coś sprzedać /koc, miskę, łyżkę, kubek/ - na machorkę lub chleb - z kolejarzami. Te handlowe sprawy załatwiali właśnie dyżurni. Patrzono na to przez palce.

[Do Połny jechaliśmy ok. 2 tygodni]

K B. Nie zatrzymywaliśmy się w dużych miastach. W Połnie na początku nikt z nas nie wiedział, co to jest za obóz i po co nas tu przywieźli. Wiedzieliśmy tylko, że przyjechaliśmy na stację Połna. Prowadzili nas ok. 3 km zwartym szeregiem. W nastrojach nic się nie zmieniło, bo marzenia o wagonach pulmanowskich, którymi przyjechaliśmy do Polski - już się rozwiały. [Znowu jest obóz - druty kolczaste, wieżyczki itd. - czy wrywać się stąd, czy poczekać? Wchodzimy do obozu, nie sprawdzają nam dokumentów, tylko liczą grupę, dopiero w 2-jej zone sprawdzają personalia i robią rewizję. Podzielili nas na narodowości: Polacy, Rumuni, Niemcy, Węgrzy /Japończyków gdzieś oddzielili we Władywostoku/. Weszło nas ok. 30 Polaków - wędziny szpaler naszych, którzy nie pracują i nie mają numerów. Ja spotkałem kolegów, z którymi zetknęłem się w Brześciu lub w Maryńsku. Było sporo Polaków, którzy z Maryńska trafili na Worskutę, do Koryłsko, Tajszetu, Karagandy. Spotkałem tam kolegę Marczewskiego z Łodzi, który był w Tajszecie. [Była radość, że wielu z nas przeżyło, że się znowu zobaczyliśmy. Z Warszawy było

nas aż dziewięciu - grupa uderzeniowa.] Niektórzy byli w tym czasie obozie od maja, niektórzy od czerwca, a obecnie był koniec sierpnia. Czekamy na etap do Polski. W obozie był sklepik, w którym można było kupić cukierki, machorkę i chleb. Niektórzy mieli trochę pieniędzy z obozu.

Po 2-3 dniach wezwano mnie do komendantury obozu i powiedziano, że wraz ze mną z Kołyny przekazano do obozu ok. 1000 rubli. Ja z tych pieniędzy mogłem korzystać, musiałem tylko powiedzieć, co chcę kupić. Do ręki natomiast pieniędzy nie dostałem. Kupiłem 4 skrzynki cukierków machorkę - od razu poszło 400 rubli. Myśmcy od razu rodzinną grupą dołączyli do innych. Antos Egermajer, Wyłomirski i inni. Chleb był wtedy w dowolnej ilości, bo mogłem kupić za własne konto.

W obozie było ponad 1,5 tys. ludzi - Rumunów, którzy opanowali całą administrację: kuchnię, łaźnię, pralnię. Oni przyjechali pierwsi do obozu. Z początku nikt na to nie zwracał uwagi, ponieważ liczyliśmy, że za jakiś czas pojedziemy do kraju. Ale zaczęła się zima - listopad 53 r. . Pieniążki się skończyły, zupka robi się rzadsza i zaczyna się znowu głód. Na robotę nie wychodzimy, nie ma możliwości uzyskania czegoś poza obozowym jedzeniem.

/Polaków - mężczyzn i kobiet oraz potem dzieci tych kobiet - było w obozie ok. 350 osób. Dzieci były w wieku 3, 7, 8 lat - widać urodzone w obozie. I to była trochę taka rozpacz, bo nie wszystkie były chciane. Dzieci przyjechały z domu dziecka, matki oczywiście nie mogły ich poznać, tylko po nazwisku. Matka z dzieckiem oczywiście nie miała kontaktu. Były chyba 22 przypadki, że matka zerwała się dziecka - nie chciała go. Były na ten temat różne opinie, przeważnie oburzenie/.

Zaczęliśmy się przyglądać kuchni opanowanej przez Rumunów i stwierdziliśmy, że nam niedają tyle, ile nam się należy. Dawali tylko kapustę i chleb. Był taki zwyczaj, że jeśli ktoś robił głodówkę i utrzymywał się ona dłużej niż 24 godziny, to nawet z najodleglejszych obozów trzeba było zawiadomić Moskwę. Postanowiliśmy urządzić głodówkę. Jeśli rozpoczniemy ją o zmierzchu, tzn. nie weźmiemy balandy na kolację, to

to kuchnia będzie miała zablokowane kotły i nie będą mogli przyrządzić obiadu i kolacji na następny dzień - więc głodówka utrzyma się 24 godziny. I zażądamy przyjazdu komisji. Komitet organizacyjny był oczywiście ściśle zakonspirowany. Węgrzy odmówili się do nas z sympatią, ale nie bardzo chcieli się przyłączyć. Rumuni nas nie poparli. Pikiety były jednak rozstawione i kto chciał wziąć jedzenie - to dostawał pałą. Nikt nie miał prawa wziąć tego posiłku ze stołówki - wystarczyłoby, że 2-3 osoby wezmą posiłek i głodówka byłaby zewana. Trzymamy się rano, w czasie obiadu i zostało jeszcze parę godzin do wieczora. Naczelnym major prosił, obiecywał, ale my się trzymamy. Przed kolacją zwarta grupa Rumunów wychodzi, przygotowana do walki /ok. 100 osób/. Znoszą te pikiety, dorwali się do stołówki i biorą kolację. Wtedy zaczęło się "pospolite ruszenie". Kto miał czyn - to walił. Zaczęliśmy się bić. Węgrzy już razem z nami - przeciwko Rumunom. Walka prawie na śmierć i życie. Biliśmy się chyba przez 2 godziny. Przed wieczorem zaczęły się salwy z wieżyczek, najpierw w powietrze, potem do ludzi. Do obozu weszło kilkunastu NKWD-zistów z autowatami i jakiś wyższy oficer. Rozdzielili nas i poprosili, żeby komitet strajkowy wystąpił i porozmawiał z nimi. Oczywiście nikt się nie zgłosił. Żołnierze wybudowali zaraz parian dzielący obóz na 2 części. Zapytali Węgrów, czy chcą być z Polakami czy z Rumunami. Po dyskusjach Węgrzy stwierdzili, że będą wracać do kraju z Rumunami, więc przyłączają się do nich. Żołnierze zrobili zasieki z drutu kolczastego i tak zostaliśmy wydzieleni jako grupa polska - i kobiety, i mężczyźni. Następnego dnia przyszedł major wyraził żal, powiedział, że przyjdzie do nas nowy komendant i będziemy mieli sto razy gorzej. Trochę trzeba było opatrzyć rannych - kobiety pomogły. Następnego dnia wyłoniliśmy spośród siebie komendanta obozu, kucharza i całą służbę i zaczęliśmy się sami rządzić. Pierwsze posiłki okazały się wręcz obfite. Ale przyszedł listopad, zimno, więc proponują, czy byśmy nie poszli popracować do kolchozu przy kopaniu kartofli. Zgodziliśmy się nato, pod warunkiem, że będziemy mogli przy-

nieść do obozu trochę kartofli - "tyle, żeby ich nie było widać". Przenosiliśmy je w spodniach. Było nas 150 osób - przy dość słabym konwoju. Pracowaliśmy nawet z ochotą. W czasie pracy nawet nam przywieźli na obiad ugotowane ziemniaki z solą. Do obozu przenieśliśmy ok. 6 ton ziemniaków. Jeden niósł w spodniach, a 2 musiało go z obu stron trzymać, żeby mógł iść. Wszystko poszło do kuchni, a następnego dnia poszło do pracy tylko 30 osób. To trwało do Bożego Narodzenia - chodzili tylko chętni. Nowy naczelnik obozowy /starego gdzieś przenieśli/, nie robił nam żadnych przykrości. Pytamy, kiedy wyjeżdżamy, odpowiedział że za 2 tygodnie. Przed przygotowaniem transportu na pewno nam powie, ale na Boże Narodzenie na pewno nie! Robimy więc przygotowania do wspólnej Wigilii. Mieliśmy ziemniaki, trochę maki, więc chcieliśmy upiec jakieś placuszki, a może jakiś bimberek zrobić?...

XI A. Ogłaszamy, że jak będzie apel, to mamy przy komendancie podnieść krzyk, że są pluskwy i żeby nam przywieźli aparat do tępienia pluskw. Był to metalowy balon z grzałką u dołu, zegar, od góry wlewało się wodę, która pod wpływem ogrzewania zamieniała się w parę i pod ciśnieniem przez rurkę para wylatywała i parzyła pluskwy we wszystkich szparach. Przywieźli aparat, była pokazowa lekcja i po kolci w barakach tępiliśmy te insekty. Nie robiliśmy tego szybko, bo zależało nam na tym, żeby aparat został do Bożego Narodzenia. Ponieważ zdobyliśmy też drożdże, więc mieliśmy zamiar - za pomocą tego aparatu - zrobić taką małą bimbrownię. Zrobiliśmy zacząć, udało się wykonać chłodnicę i to wszystko robiliśmy na zapleczu kuchni. Kuchnia była przedzielona /zgodnie z przepisami/, ten, co palił pod kotłami był oddzielony od kucharza. Próby pędzenia bimbru były w części palacza. Udało nam się uzyskać coś śmierdzącego i okropnego, ale z jakimś procentem alkoholu.

Wręczystości pluskw w obozie nie było, ale ludziom kazaliśmy wolno w barakach tę parę puszczać - nie bardzo wiedzieli, dlaczego, ale powiedzieliśmy, że tak mają robić. "Wtajemniczony" był w to cały nasz sztab - 12-14 ludzi. Robiliśmy to w nocy. Powiedzieliśmy naczeln-

nikowi, że chcielibyśmy na Święta dostać trochę śledzi i czy pozwoli nam w Wigilię jeść kolację razem. Normalnie jadło się posiłki w 2-4 grupach. Naczelnik na początku nie bardzo się chciał zgodzić, bo bał się skupienia takiej dużej ilości ludzi, ale myśmy wytłumaczyli, że to nasze Święta, że mieliśmy je spędzić w Polsce itd. Pozwolił nam też wyciąć w lesie choinkę - olbrzymią. Przybraliśmy ją kolorowymi lampkami i ktoś powiesił gwiazdę betlejemską z czerwonej płachty. Jak naczelnik to zobaczył, to był bardzo zadowolony, bo uznał, że jest to "czerwona gwiazda" - sowiecka.

Przychodzi Wigilia, upielkliśmy racuchy, były śledzie, każdy miał w ręku swój kubek, a w dzbankach była ta 10-15 procentowa okowita. Naczelnika zaprosiliśmy i poczęstowaliśmy. Jak tego spróbował, to zrobił się taki purpurowy, ~~ajk~~ ta gwiazdeczka - ~~ajk~~ jego, starego NKWD-zistę, można było tak w konia zrobić. Po pewnym czasie chyba domyslił się, że ten bimber zrobiliśmy i powiedział: "Jeśli macie honor, to żaden z was nie będzie rozrabiał po wypiciu, bo jeśli się któremuś zachce np. złobywać wieżyczkę, to ja nie żyję". Musieliśmy mu obiecać, że po tej kolacji będzie w obozie spokój. Na wieżyczkach co prawda stało po 2 żołnierzy, ale było w porządku. Po spróbowaniu napoju naczelnik wycofał się ze stołówki, bo dusza czerlisty nie pozwoliła mu oficjalnie spróbować tego, co się działo.

Na drugi dzień naczelnik przyszedł do kuchni i zaczął szukać aparatu do pluskiew. A myśmy go już wyplukali, rozmontowali i nie było śladu. Dopytywał się, jak myśmy to zrobili, ale nie powiedzieliśmy.

Wieczorami pajawiały się karty do gry, szachy - z chleba lub drzewa gry salonowe i już był większy luz. Zaczęły się sympatie - kobiety zaczęły nas odwiedzać. Czasem robiło się kawały. Raz - Wiesio Wyłomirski /z Międzyrzecza/- wywieziony w 45 r. na Warkutę/ chciał, żeby mu powróżyć. Wróżyłem ja! Dowiedzieliśmy się o nim sporo, min. o jego koleżance Zosi. Zacząłem mu wróżyć, z kart wychodzi, że niedługo wrócimy, na Trzech Króli, ale pech - bo twoja narzeczona wyjdzie za mąż na Boże

Narodzenie. Chłopaki się śmieją, Wiesio się zdenerwował /nie przypuszczał, że ja wiem o tej jego Zosi/. I to jest jedyny człowiek, z którym się nie widziałem po powrocie. Myślny co prawda nie przyjechali do domu na Trzech Króli, ale przejechaliśmy polską granicę /z 6/7 stycznia 54 r./, a Zosia wyszła za mąż na Boże Narodzenie. Ja tak drugi raz wywróżyłem. Pierwszy los powstania. Piątego dnia Powstania byłem u rodziców, była rozmowa, kiedy to się skończy i ja powiedziałem, że Powstanie się skończy, kiedy będzie kupa gruzów, a pośrodku będzie Wisła płynęła. Żegnam się, mama pyta, kiedy wrócę. "Za jakieś 10 lat, ale się nie ożenię".

W Święta nastroje były różne - przeważnie kiepskie i wrzące. Drugiego czy trzeciego dnia Świąt zabrali od nas Niemców i wywieźli do Niemiec. [Naczelnik przyszedł, uspokajał nas, że już niedługo będziemy jechać i kazał nam zrobić listy, kto chce z kim jechać w wagonie. Myśmy dwa takie wagony ułożyli, a reszta na żywioł. I rzeczywiście zgodnie z tą listą załadowali nas do wagonów i z 6 na 7 stycznia 54 r. przyjechaliśmy do Brześcia - przekroczyliśmy granicę.] W sumie było 6 wagonów /z kobietami łącznie/ obywateli polskich. W Brześciu nas wyładowano - 4 oficerów polskich nas witało /2 rybą karmionych/, przeliczono nas, nazwiska itp. - przechodziliśmy na stacji z wagonów sowieckich do polskich. Wagony zamknięto, pociąg ruszył. Uzgodniliśmy między sobą, że jak usłyszymy dudnienie pociągu, to znaczy, że przekraczamy Bug. Odkręciliśmy wtedy śruby od drzwi wagonów, otworzyliśmy drzwi i zaczęliśmy śpiewać "Rotę". Pod Terespołem pociąg zwalnia, zatrzymuje się i widzimy, że na śniegu poruszają się jakieś figurki. Ci czterej oficerowie i jacyś cywile wchodzi do nas i pytają, kto wagon otworzył. Mówimy, że drzwi się same otworzyły. Porucznik Pieniążek kazał nam wysiadać. Trochę się zdziwiliśmy, bo oprócz wojskowych byli cywile z biało-czerwonymi opaskami z napisem Komitet Repatriacyjny. Dziwiliśmy się, że nie ma kobiet, bo w instytucji charytatywnej powinny być. Od razu się nastroczyliśmy, bo zacywilami stał kordon żołnierzy z automatami. Cywile przy wypuszczaniu nas z wagonów każdemu wręczali pacz-

paczkę z jedzeniem i papierosami. [Przy rampie kolejowej stały autobusy i od razu kazali nam do nich wsiadać.] W każdym autobusie było 2 żołnierzy z tyłu. Początkowo każdy z nas zajął się tą paczką, zapalił papierosa, ale zaczynamy myśleć, co dzieje się. Jak załadowali autobus wsiadło dwóch następnych żołnierzy, autobus odjeżdżał kawałek i czekał na następnych.

IX B. Następny wagon był z kobietami. One nie chciały wsiąść do autobusu same, tylko chciały dołączyć grupkami do autobusów, w których byli mężczyźni. Wszyscy byli zmarnięci, było zamieszanie. W naszym autobusie był ten porucznik Pieniążek, który pozwolił wsiąść kilku kobietom i dwójce dzieciom. Z autobusu nie można było wysiąść - nawet za "potrzebą". Zaczynały się niezadowolenia i podejrzenia. Wsiadło też paru cywilów - dopytują się skąd jesteście itp. Spróbowałem wyjaśnić Pieniążkowi, że tu są sami ludzie z wyrokami, którzy niejedno widzieli i mają takie doświadczenie, że tych czterech żołnierzy mogą w oka mgnienia rozbroić i może być tragedia - i żeby zmienili formę i wypuścili nas. Porucznik wyszedł, porozmawiał ze swoimi, zabrali z autobusu tych żołnierzy i pozwolili wyjść - ale tylko w pobliżu autobusu, pod okiem żołnierzy. Trwało to do świtu zanim ruszyliśmy tym konwojem autobusów, z zasuniętymi firankami. [Powiedzieli, że jedziemy do Terespolu do szkoły. Ale mijamy Terespol i jedziemy dalej.] Zaczęli kręcić, że szkoła jest zamknięta, bo są ferie itp. Za Terespołem pozwolili nam odsłonić firanki - miejscowi wspominają swoje strony. Widzimy zniszczone krzyże. Po drodze zatrzymaliśmy się na herbatkę i na "załatwienie" się, ale tylko na wydzielonym placu otoczonym przez wojsko. [W końcu porucznik powiedział nam, że musimy jechać aż do Tomaszowa Lubelskiego, do strażnicy i prosił o zachowanie spokoju. Przyjechaliśmy do tej strażnicy WOP-u pod wieczór. Była opuszczona. Wewnątrz była wyposażona w sprzęt wojskowy - materace i łóżka. Nas było 360 osób. Było to za Tomaszowem, blisko granicy. Tam dostaliśmy posiłek i zaczęły nas wypytywać - kim jesteście, skąd... Taby gówniarze nas wypytywali chyby przez

2 dni.] Por. Pieniążek do nas przychodził- w ramach obowiązków służbowych i pytał, co nam potrzeba. Mówiliśmy, że szczoteczki do zębów, mydło, a przede wszystkim, żeby wyrzucił tych cysilów-gówniarzy z obozu bo to może doprowadzić do nieszczęścia, bo oni więcej fermentu wprowadzają niż trzeba. Oni zniknęli. Był fryzjer, palach, filmy wyświetlali i wszyscy nas wypytywali. [Po tygodniu przyjechali fachowcy i zaczęli wzywać na śledztwo - czyli na wyjaśnienia. Mówił: nie mam o panu paru wiadomości. Nie wiem, jak się pan naprawdę nazywa, proszę o podanie takich danych, które będę mógł sprawdzić w Polsce. Jeśli sprawdzą i się to potwierdzi, to pan wyjdzie i pojedzie do domu.] Niech pan powie, co pan uważa za słuszne, abym tylko mógł sprawdzić. [To przynajmniej było jakieś uczciwe postawienie sprawy. Sowietci nic nie przekazali, za wyjątkiem listy i człowieka. W Polsce nie było żadnych dokumentów świadczących o tym, że byliśmy w Rosji i za co.

Ja zostałem "zweryfikowany" 19 stycznia i mogłem jechać do Warszawy.] Pytałem, czy mogę poczekać na mojego kolegę, ale pozwolili tylko na jeden dzień i wysłali do Warszawy.

Była nas grupa, która znała się jeszcze z czasów konspiracji /Stasio Grossman i .../. Umówiliśmy się, że ten, który pierwszy przyjedzie do Warszawy, ma czekać na Dworcu Wschodnim na następnego - przychodzić codziennie, żeby go odebrać i pomóc załadować się. Z tego obowiązku mógł być zwolniony dopiero do czasu przyjazdu tego następnego. Poza tym musiał dowiedzieć się, kto żyje z rodzin pozostałych kolegów. Ja miałem czekać na Stasia Grossmana, a na mnie inny kolega. Ja co prawda nie wiedziałem, gdzie jest moja rodzina, bo żadnego kontaktu z rodzicami przez cały czas nie miałem. Do rodziców trafiła kartka z transportu w 47 r. Nie chciałem pisać i niepotrzebnie ich niepokoić, bo nie wiedziałem, co się działo po śmierci brata w 42 r. Mnie żadnej pomocy z ich strony nie była potrzebna, zresztą nie mogłem jej dostać. Nawet z Tomaszowa Lubelskiego nie wysłałem żadnej wiadomości. Mogłem tylko napisać, że żyję i co dalej? Mama cały czas wierzyła, że żyję. Wszyscy uważali, że ma świra po stracie 2 synów.

21 stycznia musiarem wyjechać do Warszawy /chyba 6 osób/. Wiedziałem, że matki brat ukrywał się w czasie okupacji w Aninie. Postanowiłem tam wysiąść. Miałem wątpliwości, czy kolega, z którym byłem umówiony na Dworcu Wschodnim, będzie na mnie czekał. Czułem się niepewnie, prawie tak, jak przed wyjściem z obozu na wolność. W pociągu też na nas dziwnie patrzyli, wiedzieli, że jadą Polacy "stamtąd", bali się zagadać, niektórzy pytali, czy dużo nas tam jeszcze siedzi. I gdyby pociąg zatrzymywał się w Aninie, to bym chyba wysiadł, bo mino wiary w przyjaźń miałem pewne zwątpienia. [Dojeżdżamy do W-wy Wschodniej i coś mi mignęło, jakaś znajoma postać. Ktoś się do mnie śmieje, patrzę, że twarz - znajoma - skazańca, ale cały czas inaczej wygląda. Był to Kazio Ścibor /już nie żyje, pseudonim "Gasparone"/. Powiedział, że matka żyje, ojciec też ale nie ma ich w Warszawie, mieszkają w Opolu.] Ciotka i wujek mieszkają w Warszawie. Pozostała rodzina żyje. Nogę miękko, łzy w oczach... [Pojechaliśmy taksówką do mieszkania jego matki na Żelaznej. W drodze rozmawialiśmy między sobą, ma miejscu chcemy płacić, a taksówkarz nie chciał wziąć ani grosza.] Wchodzimy do mieszkania a jego mama znała mnie wcześniej, i w pierwszym momencie Kazio dostał w twarz - ze złości i radości, że jej nie powiedział o moim przyjeździe. [Potem poszedłem do wujka - ubrany jeszcze w fufajkę i czapkę z daszkiem - w obozowe ubranie.] Pukamy - nikt nie otwiera. A żona wuja, który wtedy pracował na poczcie, zobaczyła nas przez okno i myślała, że to jakieś podejrzane typy i nie chciała otworzyć. Po pewnym czasie otworzyła i pyta: "Panowie do kogo?". Mówię: "Jak to do kogo? Do was". Wtedy nas poznała i woła: "Janek wyjechał". A wuj wychodzi z szafy. [Po rozmowie wuj nadał błyskawicznie telegram do rodziców - nie mówiąc mi o tym.] Potem poszliśmy do mojej ciotki, która jeszcze miała sklep. Ciocia od razu mnie poznała, sklep zamknęła i poszliśmy do domu. W tym czasie żyła jeszcze babcia - matka mojej mamy i ciotki, więc był problem, jak powiedzieć to tej starszej pani. Nam dali zdjęcia - do zameldowania się się w ciągu 48 godzin /kart repatriacyjnych już nie wydawali/ i postanowiliśmy pokazać babci najpierw moje zdjęcie. Ciotka weszła do miesz-

kania, powiedziała babci, że ma informacje o Wlku /że jadę do Polski w jakimś transporcie/ i pokazała zdjęcie. A babcia na to: "Ile musiałas dać za tę informację?". Myśmy wtedy nie wytrzymali i weszliśmy wszyscy do pokoju. W pierwszym momencie babcia mnie nie poznała, ale potem było powitanie.

XII A. Następnego dnia przyszedł telegram od ojca, że wiedzą już o moim powrocie do Warszawy, ale nie mogą przyjechać, bo mama miała szok nerwowy. Dopiero wtedy wujek Janek przyznał się, że wysłał telegram i narobił tego całego zamieszania. Wujek poszedł na pocztę i odelegrał, że my przyjedziemy do Opola. Tylko podał - na wszelki wypadek - późniejszy termin.

Ze mną był jeszcze problem - z ubraniem. Jeszcze chodziłem w obozowym i z walizką. A jednocześnie wiedziałem, że od następnego dnia mam dyżur na Dworcu Wschodnim, więc jak tu do Opola jechać? Umówiłem się z Kaskiem, że pierwszy dyżur zastąpi mnie na Dworcu, a ja za dobę wrócę. [Pojechaliśmy z ciotką do Opola, po drodze jeszcze opowiadałem. Przyjechaliśmy rano, jedziemy taksówką, patrzymy - w oknach pali się światło, już nie śpią. Wchodzimy - mama jakaś mała, zaczynamy się całować, tańczyć...] Na śniadanie mama robiła jajecznicę, ale widzę, że soli ją raz, potem drugi, za trzecim zaprotestowałem, ale pochwili zapytała: "Czy ja to posoliłam?". To już było dużo śmiechu. Powiedziałem, że muszę następnego dnia wyjechać - nie mówiłem, po co. Poszliśmy do sklepów, kupiliśmy ubranie. Stare spalili, chociaż ja chciałem je zachować. Wieczorem wyjechałem do Warszawy, na te dyżury na dworcu. Ostatni z grupy przyjechał Egermajer Antoś /nie żyje/ - dopiero w marcu. Prócz tego Pestka, Ziselman, Markowski, Radzimirszczak, Borek. Przez mieszkanie ciotki i wujka przewinęli się wszyscy - to była jakby baza przesyłowa. Myśmy już wiedzieli, gdzie są ich rodziny. Bardzo nam pomogły panie z PCK - wszystkie informacje miały w kartotekach. Z kolei myśmy im też udzielali wiadomości - kto jeszcze tam został itp.

[I tak się zaczął żywot.]

Jak przyjechaliśmy do Polski, to dawali nam zaświadczenia, że zostaliśmy zwolnieni z więzienia. Warunkiem wypuszczenia z Tomaszowa Lubelskiego - z tej tzw. kwarantanny - było napisanie oświadczenia, że pod karą 5 lat więzienia nie będzie się mówiło, że było się w ZSRR.

Dla mnie w Tomaszowie nie był to normalny obóz, bo dawano mi jeść do syta, było nam ciepło. Wolny nie byłem, ale ten biedak, który stał z karabinem i nie wiedział, kogo pilnuje, a potem mi płakał przez druty, że musi Polaków pilnować, a nie wiedział o tym wcześniej, że jest mu zimno - to było gorsze. Na pewno psychicznie byliśmy trochę zgnębieni, ale nie mogliśmy tego pokazać i dopuścić, żeby nasz na końcu mogli wykończyć. To im się nie udało.

[Już po powrocie do domu skończyłem technikum 2-letnie. W 57 r. zdałem na Politechnikę i nie zostałem przyjęty, a wiem, że zdałem. Dopytywałem się, dlaczego mnie nie przyjęli. Powiedziano, że życiorys nie taki, że 10 lat brakuje w życiorysie. Zapisalem się na Koszykową /naczelnik MSW/ w życiowej sprawie osoboistej. Przyjęli mnie na 3 piętrze siedzi taki jakiś Żydzi pyta, co mnie do niego sprowadza. Opowiadałem mu o wszystkim. Pytał, czy był głód, a ja na to, że nie, bo można było coś załatwić. On patrzy i mówi: "Wiepan, nie przypuszczałem, że po 10 latach obozu można mieć jeszcze tyle energii". A u mnie zapaliło się takie czerwone światełko, że na pewno teraz będzie chciał skazywać na 25 lat. Powiedziałem, że chcę wrócić do społeczeństwa, ale ~~nie mogę~~ ponieważ nie mam kapitału, więc mogę tylko z głową wrócić. Chciałem skończyć Politechnikę, ale mnie nie przyjęli. Poradził, żebym napisał ogólnie podanie, że przez te 10 lat byłem w ZSRR i że nie mogę ujawnić szczegółów, gdzie nie byłem. W 58 r. zdaję drugi raz i piszę podanie: "Od marca 45 r. do stycznia 54 r. byłem na terenie ZSRR. Zgodnie z instrukcją MSW nie mogę podać szczegółów". Zostałem przyjęty na Wydział Budownictwa Przemysłowego.]

Uważałem, że nie mogę wychowwać dziecka w nienawiści do kogokolwiek. Ja swój los wybrałem sam i konsekwencje tego ponosiłem ja sam.

Jeśli mam pretensję, to nie do nich, do Rosjan, tylko do naszych władz, które w ogóle się o nas nie upominały, np. z PPR mówili, że Polaków w Rosji nie ma. A Rosjanie wymordowali więcej swoich niż nas. Nasi sprzedali nas - i są podwójnymi zbrodniarzami, bo tamci męczyli mnie jako swego wroga. A nasi wiedzieli, jak sprawa wyglądała.

Synowi niewiele przekazałem, bo nie chciałem go zatruć. Jeśli pytali - to mówiłem i wyjaśniałem, np. na temat Powstania Warszawskiego Młodzież sama zaczęła myśleć, ale ja sam nigdy nie starałem się narzucać swoich poglądów. Nigdy ojciec nie może być wzorem cierpienia.

Po powrocie do Polski byłem tylko 24 godziny w Opolu, potem pojechałem do Warszawy. Spotkałem tam polonistę, p. Dziubasa/?, który mnie namawiał na pisanie pamiętnika, a potem, żebym mówił, a on będzie pisał. Ja się nie zgodziłem, bo wątpiłem w to, czy on mi uwierzy. Bo w mentalności naszego społeczeństwa z 55 r. nie mieściło się to, co człowiek przeżył. Od razu padało pytanie tego typu; "A jak ty przeżyłeś? Jak to się stało? Skoro tylu ludzi zginęło?" Poza tym nie dochodził do głowy fakt, że komuniści zabijali swoich ludzi. Nawet mój własny ojciec nie bardzo chciał w to wierzyć. On znał Sowietów, jak lyse konie, ale do 31 r. i jeszcze wierzył w to, że człowiek jest człowiekiem. To byli jeszcze bolszewicy z okresu przedrewolucyjnego, a nie znał już tych etatowych morderców.

spisane przez H. Głaziewską
czerwiec 1991 r.

zasady - 41, 42, 43, 50 - 1000 - 500
Walczy - 36
Walczy - 40
62

Waldemar POMASKI

IA. Urodziłem się 18 września 1927 r. w Warszawie. Rodzice moi oraz wcześniejsze pokolenia, związani byli z Warszawą. Ojciec był zaangażowany w wojsku do 26 r., potem zajmował się leśnictwem - jako urzędnik. Później też chyba był związany z wojskiem. Ja natomiast - z harcerstwem i konspiracją w oddziałach liniowych - III Obwodu Warszawskiego na Woli - od 1942 roku. Tam ukończyłem konspiracyjną Szkołę Młodszych Dowódców. Wszystkie moje dokumenty były wystawione na 1925 rok. W 1942 r. brat zginął w akcji - 20.09.1942 - Plac Bankowy i to zapewne ukształtowało moją osobowość, zachowanie i działanie. W domu panował taki zwyczaj, że wszyscy o sobie wszystko wiedzieli, ale nikt nic nie mówił.

Po ukończeniu szkoły zostałem skierowany do Kedywu - III Obwód Warszawa Wola i do Powstania Warszawskiego. Miałem przydział organizacyjny do oddziału "OB-16" /patrz: Strzembosz - Oddziały walczącej Warszawy/. Pseudonim "Klawy" wziął się z lektury książki żydowsko-kryminalno-złodziejskiej "Urke - Nahalik". Tam występował bohater "Klawy", który wszystko potrafił i stąd wziąłem ten pseudonim.

Udział w Powstaniu zaczął się od Woli, poprzez Młynarską, Żytnią, Spokojną - przejście na Stare Miasto, powrót na Murańów. Ewakuacja lub skrócenie frontu do Wytwórni Papierów Wartościowych - z powrotem na Starówkę. Ze Starówki ewakuowałem się w składzie patrolu osłonowego o świcie 2 września. Po ciężkich przejściach kanałami /z bronią i niosąc rannych kolegów/ - dotarliśmy na ul. Warecką. Po małym zabiegu higienicznym i gorącej kawie dotarliśmy na teren Ambasady Belgijskiej gdzie mieliśmy możliwość umycia i uprania odzieży z pozostałości pokarmowych.

Po krótkim odpoczynku na terenie Ambasady zaczęły się wypadki na miasto. Podziwianie całych domów z szybami w oknach oraz handel wymienny - broń za produkty /takie były fakty/. Po trzech dniach odpoczynku, przemarsz na ul. Wilanowską, potem na Książęcą do ówczesnego Domu Parafialnego, gdzie oddział Wolski, pod dowództwem kpt. "Stefana" walczył do końca Powstania i kapitulacji. Nastroje były fatalne, pomoc sojuszników tak blisko, a jednak tak daleko. Potem były obozy: w Ożarowie, Lancdorfie, Lukenwalde, Zorall. Wyzwolenie przez oddziały radzieckie i kontakt z Armią Radziecką. Nienawiść, która była przeciwko Niemcom, skierowała się w drugą stronę. Wszyscy po kapitulacji mieliśmy poczucie bezsilności. Ludność cywilna nie zawsze była ustosunkowana przychylnie, gdy przechodziliśmy przez piwnice nierzadko padały przykre słowa, zwłaszcza na Starym Mieście, bo Śródmieście to był luksus.

Ostatnie goziny St. Miasta były przykre chyba dla wszystkich. Po tzw. wyzwoleniu - każdy, kto był naiwny, chciał się zgłosić do wojska. Byliśmy izolowani - jako pułk zapasowy. Za frontem nie było ludności cywilnej, tylko my - w różnych mundurach i ubraniach z darów Czerwonego Krzyża - z numerami malowanymi przez Niemców. /Ja byłem wyzwolony w okolicach miejscowości Żary/.

Rosjanie zaczęli wybierać spośród nas ludzi starszych, znających jakiś fach: mechaników, hydraulików itp. To nam się nie bardzo podobało. Chcieliśmy sformować jakiś pułk osobny do walki. Po ok. 10 dniach wezwali nas w nocy, po apelu, do komendatury - "po odbiór listów" dla ok. 12 osób z naszej grupy. Było to z 10 na 11 marca 1945 r.

Jak poszedłem po te listy, to przyjechałem dopiero w 1954 r., w styczniu. W trakcie tej "prezentacji" pytano o wszystko, na-

wet o to, co robiliśmy w konspiracji. Później nastąpiło normalne śledztwo, w czasie którego zarzucano nam, że jesteśmy dywersantami, szpiegami itp. Byliśmy już poza obozem - w ziemiankach. W zależności od przesuwania się I Białoruskiego Frontu zmienialiśmy miejsce "postoju". W Lancbergu /cały spalony, z wyjątkiem więzienia/ był sąd wojskowy. Znalazł się tam osobnik, w mundurze zbliżonym do munduru polskiego, z rogatywką polową - podporucznik, który przetłumaczył nam wyrok. Z początku straszono nas karą śmierci, ale potem z łaski Wielkiego Wodza skazano 11 osób na 10 lat ITŁ, a jednego na 15 lat. Był to paragraf 58, p. 6, 9, 14 /odpowiednio: szpiegostwo, dywersja, sabotaż/.

Stamtąd przewieziono nas do Kotbusu - do obozu odizolowanego drutem. Tam już spotkaliśmy nie tylko Polaków, ale również eks-żołnierzy A.Cz. Wszyscy czekaliśmy na transport. Jednej nocy zbudziły nas krzyki i intensywna strzelanina. Nie wiedzieliśmy o co chodzi. Okazało się, że był to koniec wojny. Powiedziano nam o tym na porannym apelu. Wywieziono nas w niedługim czasie i w drugi dzień Zielonych Świątek przejeżdżaliśmy przez Warszawę. Jechaliśmy w wagonach bydłowych, z drutem kolczastym dookoła, z okratowanymi oknami. Rosjanie trochę pouchylali okna i nawet na Dworcu Zachodnim ludność starała się nam coś podać, jako wyraz sympatii dla każdego, kto jedzie w zakratowanym wagonie. Mogliśmy zobaczyć fragmenty Warszawy. Zobaczyłem odcinek nad ul. Wolską, tam gdzie byłem na początku Powstania.

Podróż trwała dalej na wschód. W wagonie była drewniana ry-nienka prowadząca do dziury w podłodze - jako ubikacja. Były nary - dwupoziomowe. Nie pamiętam, ile było osób w wagonie, bo w tym czasie byłem jeszcze bardzo przestraszony zachowaniem żołnierzy radzieckich i traktowaniem nas. Prawdopodobnie było nas

ok. 60 osób, napchani jak śledzie. Posiłek był jeden dziennie: suchary, woda, ryba solona. Woda była wtedy, gdy do kogoś dotarła. Przy tej okazji zrozumiałem, skąd się wzięli tzw. oficerowie ACz - jako więźniowie. Byli to kryminaliści, którzy nawet w tej armii przekroczyli pewne granice i musiano ich aresztować. Już w czasie tej podróży narzucali współwięźniom swoje specjalne prawa, które później w obozach też poznałem. M.in. pierwsze "frycowe" na trasie Kotbus - Brześć /była to nauczka na dalsze lata/. Rosjanie dostawali wodę i jedzenie, a dla nas już nie starczało.

IB. Byliśmy w tym czasie jeszcze nie tak bardzo zmaltretowani i mieliśmy nadzieję, że wkrótce nas /alianci/ uwolnią. Wierzyliśmy, że będzie konflikt między tymi dwoma cywilizacjami. Już pierwsze nasze zetknięcie z ACz doprowadziło nas do przekonania, że jest to dzicz /jedli z misek do moczenia nóg/. Z tego płynął wniosek, że jeśli oni są naszymi zwycięzcami, to dla nas nie ma miejsca na ziemi. Od razu powstawał jakiś bunt wewnętrzny. Większość z nas pochodziła z domów o jakimś wychowaniu, kulturze. Dlatego mieliśmy nadzieję, że tak długo być nie może - miesiąc, dwa, pół roku i normalnie człowiek wróci do normalnego życia bez głodu, choć okupacja nie była lekka.

Konwojowały nas oddziały NKWD. Na stacjach, na których się zatrzymywaliśmy, żołnierze dużymi młotkami opukiwali wagon dookoła, zwłaszcza od dołu. Dowiedzieliśmy się później, że oni sprawdzali, czy ktoś nie przepiłkował desek w celu ucieczki. Z początku te łomoty były szokiem, zwłaszcza jak była kolejka do spania, człowiek budził się i nie wiedział, co się dzieje.

Wieźli nas bocznymi torami. Przejeżdżaliśmy przez Siedlce. Razem ze mną jechał kolega, z którym znaliśmy się od I klasy

szkoły podstawowej. I on powiedział, że ma w Siedlcach jakąś rodzinę. Byliśmy już wtedy po małym "mordobicu" w wagonie, bo nie dawaliśmy się "oszwabić" żołnierzom rosyjskim. Mieliliśmy już dostęp do paraszy i nawet po drugim podejściu mieliśmy dostęp do wody. Dla ugody dostaliśmy od nich nawet ołówki i kawałek kartki. Kolega /Ścibor Kazimierz - nie żyje/ napisał na kartce: "Wiozą nas z Waldkiem do Rosji - na parę dni, albo na parę lat". Napisał adres ciotki i narysował kratkę. Tę kartkę udało nam się wyrzucić z pociągukoło budki dróżnika.

Dowieźli nas do Brześcia - do więzienia. Był to nowoczesny budynek zbudowany przed wojną. Po przyjeździe do więzienia była "czystka" i znęcanie się nad więźniami, zwłaszcza polskimi. Okazało się, że kławisze to byli partyzanci związani z tamtym terenem i nienawidzili Polaków. Bili nas fachowo.

Na apelu rozparcelowano nas do cel. Na pożegnanie jeszcze dołożyli każdemu między żebrem a szyją. W celach było ciemno i tak wielu ludzi, że po prostu nie można było wejść. Cele były 6-osobowe, w których umieszczono ponad 30 osób. Było już lato, duszno i ciężko. Jeśli trafiło się do celi, w której byli Polacy, to można było stworzyć grupę i wywalczyć lepsze warunki. Dużo naszych rodaków załamywało się psychicznie i marzyli o śmierci, zwłaszcza miejscowi. Ja należałem do tych, którzy nie dają sobie w kaszę dmuchać - dopóki miałem siłę. Nauczyłem się już, żeby nie dać po sobie deptać. Koledzy moi mieli do mnie ciężki żal, że pierwsze moje słowa, których nauczyłem się po rosyjsku, to były przekleństwa. Konieczne to było w przypadku zaczepki, ten który mnie atakował nie wiedział, kim jestem. W dodatku uderzenie miałem "dobre". Nie wiem, skąd mi to przyszło. Starsi ode mnie mieli nawet żal, że tak klnę po rosyjsku,

ale to było okazanie /może ze strachu/, że nie dam sobie zrobić krzywdy.

Z Brześcia - po ok. 3 tygodniach - przewieźli nas do Orszy. Z grupy, którą nas sądzili, znalazło się 5 osób i dopiero w Poćmie /jadąc już do Polski/ spotkałem 4 pozostałych. W trakcie szykowania transportu do Orszy była szczegółowa rewizja. Szukało się wtedy "naszych". W wagonie jechaliśmy już z "błatnymi", którym po dotychczasowych doświadczeniach nie daliśmy sobie nic zabrać. "Błatnyje" tworzyli w obozie osobne "państwo", ze swoją hierarchią, które było pewnie zorganizowane na wzór tego, co istniało na wolności. Zasada ich było niepracowanie. Sowieci tolerowali przestępców. W okresie "dobrobytu" - przed wojną - musieli kraść, żeby przeżyć. "Dzielenie" się własnością państwa było normą. Potem każdy każdego się bał. W obozie panowała specjalna hierarchia i kanony, które nie pozwalały złodziejom współpracować ze służbą więzienną. "Suka" - to w żargonie złodziejskim był "złodziej z rodowodem", który zaczął współpracować z władzą więzienną, więc zdardził ich kodeks. Ale wszyscy starali się żyć kosztem innych więźniów, którzy musieli pracować i dla NKWD-zistów i dla wszystkich "błatnych". Było przysłowie: "przyjdą biali - grabią, przyjdą czerwoni - grabią, gdzie się ma biedny kołchoźnik podziąć?". To samo było tutaj.

Ja osobiście wolałem z "błatnym" zgubić się niż z "suką" znaleźć, bo część z tych "hrabiątek" złodziejskich była czytana, niegłupia. Wytworzyli sobie swój własny świat, dzięki któremu mogli przeżyć w tym ustroju. Była to swoista arystokracja. Ale jeśli ja byłem głodny czy było mi bardzo ciężko - mogłem liczyć na nich /jeśli miałem jakichś przyjaciół/. Jeśli wiedziałem, że robię coś niezgodnego z regulaminem np. szykuje się do

ucieczki czy do jakiegoś przestępstwa /bo przecież wszystko było zakazane/, to jeśli o tym dowiedział się jakiś "suka", wiadomo było, że za 2 godziny będę izolowany w karcerze. A jeśli widział to "błatny" - to albo coś poradził albo przestrzegł: "nie rób tego, bo inni na tym wpadli". "Suki" byli przedłużeniem władzy więziennej, a "błatnyje" żyli kosztem innych, o ile ci sobie na to pozwalali.

Białorusini np. dostawali paczki z domu. Jeśli taki Białorusin był mądry, to dzielił się od razu z najstarszym wśród "błatnych". I tej drugiej połowy nikt mu już nie zabierał, a jeśli nawet ktoś mu ukradł to po odwołaniu się do "szefa" - zaraz mu oddawano. "Suki" natomiast wszystko zabierali, jeszcze dawali czasem po łbie.

Takie były zwyczaje obozowe i trzeba się było do tego przystosować, jeśli się chciało przeżyć.

Na jesieni przewieźli nas z Orszy do Maryńska - podróż trwała ok. 2 tygodnie - przez Omsk, Nowosybirsk do Kiemierowskiej Obłasti do Maryńska. Tam był też duży obóz przejściowy /ok. 20 tys. ludzi/ - miasto w mieście. Z podobozami. Tam spotkałem paru Polaków, którzy mieszkali tam od dawna /m.in. komunista od 38 r./. Patrzyliśmy na nich ze zdziwieniem, że jednak żyją od tylu lat.

W tym obozie dopiero zobaczyliśmy, że błatnyje i inni więźniowie normalnie żyją z kobietami - w hangarach trwało normalne życie. Niektórzy chodzili bardzo ładnie ubrani, inni umierali z głodu. Trochę to było szokujące. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że każdy nowy transport więźniów jest zaopatrzeniem dla obozu w nowe rzeczy. Zawsze ktoś coś sprzedawał. Albo nowych ludzi po prostu się okradało. Było to, poza tym, zaopatrzenie dla miejscowej ludności. Transporty były źródłem utrzy-

mania dla handlarzy obozowych, rekrutujących się z najemnej straży obozowej. Błatnyje natomiast trudnili się rabunkiem; dla przyjemności i pokazania swojej władzy w obozie, zmuszali kobiety, więźniarki z transportu, do publicznych usług seksualnych.

Myśmy na początku wdrapali się na 3-cie piętro /nar/, we trzech, bo tam było luźniej. Patrzymy na końcówkę nar - a tam luźno, chyba 2 lub 3 osoby. Zdziwiliśmy się, chyba tam jeszcze nikt nie dotarł, nieświadomi, że "TO" tak wygląda. Siedzi tam jakiś więzień, popatrzył na nas, coś burknął, inni chcieli nas zrzucić, ale się nie daliśmy i siedzimy dalej skuleni i głodni. Patrzymy: jakaś dziewczyna wdrapuje się na to trzecie piętro, rozmawiają ze sobą. Potem zeszła. "Dziad Sasza" /tak nazywał się zawsze głównodowodzący przywódca błatnych/ wyciąga słoninkę, chleb, kroi to i je. My oczy otwieramy ze zdumienia - czy tak w tym obozie karmią? - nieświadomi, gdzie weszliśmy. Za chwilę dziewczyna przyprowadziła drugą; wchodzi, goszczą się. Po chwili Dziadzio Sasza mówi do tej drugiej, żeby się rozbierała. Dziewczyna spłoszona, nie wie o co chodzi, ale "pieski" Saszy w jednej chwili rozebrali ją na "saute". Protestowała, ale ścierrą zatkali jej usta. I Dziadzio Sasza instynkty swoje zaspokoił z nią. A jak skończył - zrzucił ją na podłogę i krzyknął coś do swoich towarzyszy. Położyli ją na środku, na klęczkach, jeden przydeptał jej włosy, a inni zabawiali się z nią po kolei. I kazali jej szczekać. Rozległ się tylko szloch. Zaczęli ją bić, ale ona widocznie nie mogła szczekać. Dziadzio Sasza, stając rozebrany na górze, krzyknął, żeby oni szczekali. I tak odbywała się zabawa. W końcu tę zmaltretowaną dziewczynę, jak worek, wyrzucili za barak. I dalej nikt się nią nie interesował. Wtedy widocznie można było jeszcze przechodzić z baraku do baraku.

Po 5 dniach pobytu w tym obozie jest apel i część z nas kierują do "spec-zawodu". My na początku nie wiemy, o co chodzi, niektórzy mówią, że dobrze trafiliśmy, inni znowu, że bardzo źle. Zawieźli nas ok. 200 km od Maryńska do gorzelni. Razem ze mną był Jurek Królikowski i Bronisław Marczewski /Marek/, z którym znałem się ze szkoły /szkolenie dywersyjne w konspiracji/ w Warszawie. Stanowiliśmy taką trójkę, która mogła się bronić na trzy strony. I tak zaczęliśmy życie w tym obozie. Spotkaliśmy tam dwóch naszych oficerów /jeden z Warszawy/, starsi, doświadczeni. Żalowali, że byliśmy w złej kondycji, bo gdybyśmy byli w dobrej, to by nam coś pomogli. I dali nam radę: żebyśmy z sił nie opadali, minimalnie pracowali i /zasada życia/ zachowali godność człowieka-Polaka, nie grzebiąc w odpadach, bo i tak się tym nie najemy. Jeden z nich /topograf/ - nie pamiętam nazwiska - miał takie powiedzonko: "jak ty przejdiesz, po tobie może tylko żużel zostać". Wszystko co jest w twoim zasięgu, bez skrupułów ściągaj, wpychaj w siebie. Ty jesteś tu Murzynem, niewolnikiem, masz nie pracować, a co spotkasz, to jest twoje.

Jakieś 2 - 3 dni po tej rozmowie w nocy - ruch, strzelanina. Okazało się, że tych dwóch Polaków i Ukrainiec przeszli, a raczej przeskoczyli przez wartownię na chłama, na siłę. Była mgła, na którą czekali i ta ucieczka im się udała /było to w 1945 r./. Potem dopiero domyśliliśmy się, o co im chodziło, gdy mówili o naszej złej kondycji. Gdybyśmy mieli dobrą, to by nas ze sobą wzięli. Jeden z nich był na tyle odważny, że przysłał do naczelnika /kuma/ kartkę. Uciekali na południe ZSRR. Normalnie, gdy uciekał ktoś z obozu, NKWD-ziści mieli taki zwyczaj, że gdy dopadli zbiega, gdzie by on nie był - przywozili trupa. Kładli go przed obozem: miał on odstraszać innych więźniów przed ucieczką. A to była jedyna ucieczka, po której nie przywieźli

trupów do obozu. Stąd przypuszczenie, że się udała. Było jeszcze prawo, że jeśli straż obozowa własnymi siłami schwyta uciekinierów, nagana lub kara dla straży obozowej była mniejsza. A jeśli prosiła o pomoc inne jednostki, to dowódca straży miał z tego tytułu kłopoty. Jak była ta ucieczka, cały obóz miał święto, nie szedł do pracy, bo straż szukała więźniów - zbiegów.

Uciekinierzy musieli mieć jakąś pomoc z zewnątrz, bo inaczej nie daliby rady, zwłaszcza, że w latach powojennych, uciekinier był chodzącą premią: jak się zbliżał do osiedla, to każdy walczył, żeby go złapać. Za to była nagroda w postaci produktów. Taka była mentalność obywateli ZSRR, zwłaszcza, że był on nasycony obozami pracy. Ucieczka rodaków dała nam trochę nadziei, że wszystko jest możliwe.

W Maryńsku np. z Markiem Marczewskim trafiliśmy do pracy w gorzelni - drugiej co do wielkości w ZSRR. Zatrudnieni byliśmy jako kulisi. Wojska radzieckie ze Wschodu /z Mandżurii/ transportowały duże ilości ziarna. I my to ziarno z wagonów rozładowywaliśmy i nosiliśmy w workach do elewatora /po 8 - 10 kilogramów/. Na początku upadaliśmy pod zarzuconym ^{na plecy/}workiem, ale po pewnym czasie przystosowaliśmy się. Część więźniów pracowała przy węglu w gorzelni i dla nich przenosiło się ziarno do obozu. Jedliśmy to ziarno na surowo. Czasami kończyło się to biegunką i koniec życia lub żołądek się dostosowywał.

Później w Maryńsku pojawiła się kukurydza, którą prażyliśmy na żopacie i mieliśmy dodatkowe pożywienie oprócz tego ziarna.

II A. W czasie pierwszych dni tej ciężkiej pracy przekonaliśmy się, że więzień miał szanse przeżycia w tym obozie. Co trzeba mieć, aby przeżyć? Należy zdobyć jakiś kociołek, żeby można było w nim gotować. Aby mieć kaszę, potrzebny jest młynek.

Z kolegą /Jurek Królikowski/ z okolic Lidy, zamieniliśmy koszu-
le, które nam jeszcze zostały, na kociołek.

W obozie tym było ok. 4 tysięcy ludzi i było tam wszystko.
Problem polegał tylko na tym, że jedni kociołek sprzedawali, a
drudzy zabierali go nowemu właścicielowi. I w ten sposób, ko-
ciołek był kilka razy sprzedawany przez tych samych złodziejasz-
ków.

Gotowaliśmy kaszę w "suszarce", która już działała, bo za-
częła się jesień. Suszarka była w zbudowanej przez nas ziemian-
ce. Był tam piec, przy którym suszyło się odzież i na którym -
po daniu porcji kaszy lub ziarna obsługującym - gotowaliśmy ka-
szę. Zdobyliśmy trochę soli i rano nasza grupa mogła się trochę
posilić. Jednego dnia zaniósłem kaszę do gotowania, na drugi
dzień rano idę - kociołka i kaszy nie ma. Była tam tzw. IX bry-
gada - samych morderców - i wiadomo było, że kociołka należy u
nich szukać. Po porozumieniu się z Jurkiem i Markiem poszedłem
do tej IX brygady. Wchodzę do jednego z pomieszczeń i widzę, że
nasz kociołek stoi pod narami. Widząc swoją własność, a z nią
możliwość pokonania głodu, człowiek nie zastanawiał się wtedy,
czy mu zrobią krzywdę czy nie. Zaczęła się walka o życie. Dosta-
łem trochę po krzyżu. Na to wszystko wchodzi starszy tych "błat-
nych" - widzi to całe zamieszanie, trochę krwi mojej i innych.
Przerywa walkę i pyta się mnie, skąd ja się tu wziąłem, ile mam
lat /Polaków wtedy nazywano "Pszekami"/ i dlaczego tu przysze-
dłem. Odpowiedziałem z mocno wulgarnymi określeniami, że zabra-
li mi kociołek i przyszedłem go odebrać. On pyta: "To twój?" -
"mój". "A nie bałeś się, że cię tu zabiją?". Odpowiedziałem, że
najwyżej jeden za jeden, albo dwóch za dwóch. Jeśli tak, to pro-
szę bardzo, ale jak zabrali mi kociołek, to i tak muszę zdech-
nąć, a on jest mój i muszę go odebrać. On się popatrzył, zapytał

skąd jestem. Mówię, że z Warszawy. On na to, że Sienkiewicza czytał. "A ty jesteś młodziec. Skąd wiedziałeś, że kociołek jest tutaj?". Ja mu na to, że przecież nikt inny by nie zabrał, tylko wy. A ty jesteś sam? Nie, nas jest czterech. A przyszedłeś tu sam? Sam, bo oni się bali. A miałem wtedy 18 lat i "stary" powiedział, żeby "malczika więcej nie ruszać". "Jak będzie ci się jakaś krzywda działa, to przychodź do mnie". Potem pomagali mi, a ja im, jak trzeba było zdobyć kaszę albo coś innego. Tak, że mimo zasady "oko za oko, ząb za ząb, nóż za nóż" można było z nimi żyć. I między nimi - chociaż byli i mordercy - jakieś wzajemne poszanowanie istniało.

IIB. Jesienią 1946 r. przyjechał transport z Wileńszczyzny, część chłopców z Kaługi, niektórzy jeszcze w mundurach. Wtedy my już byliśmy elitą obozową, przystosowaną do życia w obozie, umiejacą już dobrze kląć i mówić po rosyjsku. Wprowadzaliśmy ich w życie. Jak "wpadli" do obozu, to szukaliśmy swoich - czyli AK-owców. Chcieliśmy im pomóc, dać jeść. Myśleliśmy już o opłatku... ale i o ucieczce. Doszliśmy do wniosku, że na wiosnę, po opanowaniu wartowni i wzięciu czegoś ze sobą - powinno nam się udać. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że jako uciekinierzy jesteśmy chodzącą premią. Myśleliśmy, że mając broń i doświadczenie chłopców z Wileńszczyzny, umiejających żyć w lesie, uda się. Te plany dawały nam radość i nadzieję, że wiosną "stanjemy dęba" i rozpracowaliśmy ten plan. Było to naiwne, ale nie mogliśmy uwierzyć, że będziemy gnić w obozie te 10 lat, to było nie do przyjęcia. Chociaż wiedzieliśmy, że nie dołożą nam więcej, bo byliśmy sądzeni przez wojskowy sąd. W tym wypadku musieli wypuścić więźnia po wyroku chociaż na 24 godziny, a potem znów mogli go po-sadzić, nawet za rzucenie zapalniczki na podłogę. Natomiast po

"Osoboje sowierszanije" mogli przedłużać wyroki. Poza tym myśmy nie mieli pozbawienia praw obywatelskich - tych tradycyjnych 5 lat. I to dawało atuty i perspektywę. Ale oczywiście w tych naszych planach ucieczki przeliczyliśmy się, bo Spółdzielnia "Ucho" pracuje wszędzie. I efekt był taki, że wiosną 1947 r. kolega Królikowski i ja - w nagrodę za "inne myślenie" - zostaliśmy oddelegowani na Kołymę. Naczelnik powiedział, że wie o naszych planach ucieczki więc wysyła nas tam, skąd już nigdy nie uciekniemy.

Odesłano nas z powrotem do obozu centralnego w Maryńsku, gdzie formowano transport na Kołymę. Przedtem była /za Nowosybirskiem/ kłanina, po której zmieniono nam całe ubranie /żeby nikt nie przemycił/. Pojęcie o Kołymie było jeszcze wtedy mgliste, informacje były różne, ale nie pocieszające.

Na przełomie kwietnia i maja 1947 r. ruszyliśmy w normalnych wagonach bydlęcych - od 40 do 60 ludzi różnej narodowości, o różnych przestępstwach i różnych wyrokach. Transport trwał ok. 50 dni. Omsk- Świerdłowski- Czyta- Chabarowski i dalej. Najgorsze w podróży było to opukiwanie wagonów młotami, pragnienie, a jednocześnie rozstroje żołądka. Wyżywienie: ogon śledzia, suchary i bałada /mąka z wodą i szczątki suszonych kartofli/. Kuchnia jednak nie nadążała z gotowaniem i wagony dostawały rotacyjnie tę "zupę", o ile ktoś miał ją w co wziąć: można było i do buta albo poły marynarki, bo naczyń było bardzo mało. Tak, że posiłek "gorący" wypadał raz na tydzień.

W czasie transportu robili dwa razy dziennie "prowierkę" /przeliczanie ludzi/, chorych lub umierających zabierano z wagonu bezpowrotnie.

Ze mną byli: Jurek Królikowski i Tadzio Majewski z Baranowicz. /Rozstaliśmy się na Kołymie i nie wiem co się z nim dalej

stało/. Razem udało się jakoś ten transport przeżyć. Przejeżdżając przez Kraj Chabarowski widzieliśmy wielu Azjatów - prawdopodobnie Japończyków - więźniów, pracujących wzdłuż torów kolejowych lub na obiektach zlokalizowanych przy torach.

Dojechaliśmy do Buchty - Nachodki. Obóz ten był w stadium organizacji, tzn. były 4 baraki administracyjne, kuchnia pod plan-dekami, a ludzie krążyli pod gołym niebem. Przy wejściu na teren obozu jeden z więźniów od razu nas pytał, prawie oficjalnie, czy są Żydzi między nami - szukał swoich. W tym obozie przejściowym byliśmy ok. 5 dni. Z wodą też były tam trudności. Posiłek dawali dwa razy dziennie w punkcie żywienia, do którego ustawiała się kolejka - jeśli znowu "ktoś" miał w co wziąć. Nie było mowy o tym, żeby po raz drugi stanąć w kolejce, bo straż obozowa różnymi argumentami /bicie/ przepędzała dalej. Część więźniów została też ograbiona z tego, co do tej pory udało im się zachować /ubranie/.

47m. W końcu lipca załadowano nas na statek "Sowietskaja Łotwija", wewnątrz którego były jeszcze napisy niemieckie świadczące, że był to statek niemieckiej marynarki wojennej. W sumie było tam ok. 10 tys. więźniów. Miałem szczęście, że dostałem się do środkowej ładowni. Była jeszcze dziobowa i tylnia, gdzie było sporo żelastwa. W ładowniach były nary. Przy wchodzeniu na statek dawano każdemu pół bochenka chleba, 2 kostki cukru, rybę - tzw. suchy prowiant. Po załadowaniu odpłynęliśmy z Nachodki po 24 godzinach. Były kłopoty z wodą, stała tylko beczka napełniana szlauchem. W ładowniach było słabe światło. Pod schodami stały parasze. Na pokład nie można było wyjść. Po jakimś czasie - nie dawano posiłków, więc nie wiem, ile minęło godzin - statek zaczął wydawać sygnały alarmowe i nastąpił potężny wstrząs. Z są-

siedniej ładowni rozległ się krzyk, że toniemy. Każdy myślał jak się ratować. Część ludzi skoczyła na te schody-drybinę chcąc się wydostać do wyjścia, ale z góry polała się woda i posypały się strzały. Cała konstrukcja schodów załamano się, krzyki, ciemno, woda leje się z góry, nie wiadomo czy już toniemy? Kilka osób zostało zabitych. Ci, co byli na dolnych narach zaczęli się po ciemku wdrapywać na górne. To był przedsmak piekła. Co 15 - 20 minut rozlegała się syrena statku. Trwało to kilka godzin. W dziobowej ładowni przestała bulgotać woda, czuło się przechył statku, słychać było te syreny. W oczekiwaniu na koniec świata każdy siedział w swojej "dziupli". W tym odrętwieniu zaczęliśmy drze-
mać.

III A. Po jakimś czasie coś drgnęło, zaczęły pracować silniki, przestały wycie syreny, odsłonięto brezent, który zakrywał luki i przez jeden z nich ktoś z załogi statku poprosił, żeby wszyscy odsunęli się od włazu, bo marynarze chcą opatrzyć rannych i naprawić schody i dać posiłek ludziom. Wyciągnięto na pokład rannych i zabitych, poprawiono schody i zaczęto partiami wypuszczać ludzi na pokład, gdzie dawano gorący posiłek i wodę. W tym czasie była straszna mgła i statek ciągnęły dwa holowniki z powrotem do Buchty-Nachodki. Tam nie wyładowano ludzi ze środkowej i ostatniej ładowni, tylko dziobową, gdzie było dużo wody. Będąc już w Magadanie nie spotkałem nikogo z tej ładowni - nie wiadomo, czy wszyscy tam zginęli czy tylko część.

W Nachodce staliśmy ok. tygodnia - cały czas wewnątrz statku. Tylko o świcie wypuszczano nas na pokład, gdzie dawano posiłek. Te posiłki dawały nawet poczucie sytości. Potem płynęliśmy 4 dni koło Sachalinu. Posiłki dawano nam już na pokładzie - rotacyjnie. Ciepły posiłek z kawałkiem chleba - takiego jak wata. Tak dobrnęliśmy do portu w Magadanie. Wychodząc ze

statku dziwiliśmy się widząc coś białego. A to był śnieg - w drugiej dekadzie sierpnia. W tych naszych letnich obozowych ubraniach było nam naprawdę zimno. Do obozu trafiliśmy dość szybko. Był to normalny obóz przejściowy, z barakami oddzielonymi zasiekami. Stamtąd wysłano nas transportem samochodowym do innych podobozów. Załadunek więźniów był następujący. Na ciężarówkę typu "Lajland" pierwsza piątka siedziała na podłodze, następna na jej nogach, następna tak samo, czyli każdy miał na swoich nogach 2 więźniów. Upchani byliśmy jak grzyby w koszyczku. Eskortowali nas NKWD-ziści - dwóch, poza tymi, którzy byli w szoferce. Była to bardzo uciążliwa jazda. O zmierzchnu już było bardzo zimno, zwłaszcza, że z plandeki kapłała na nas skroplona para. Po drodze mijaliśmy różne oddziały obozów, przy których nas wyładowywano, a raczej zrzucano. Spędzaliśmy tam noc, a o świcie ruszaliśmy dalej. Nóg już się zupełnie nie czuło, tak zdrętwiały. Najgorzej było ze swoimi potrzebami fizjologicznymi, bo nie zatrzymywaliśmy się i każdy robił pod siebie, a raczej pod tego, na którym siedział. Każdy potem starał się być w ostatniej piątce, bo wtedy na nim już nikt nie siedział, tylko miało się z kolei nogi podkurczone. W ten sposób dojechaliliśmy do Sasurmanu. Tam był znowu obóz przejściowy. Selekcja. Straszne rzeczy tu się słyszy, starsi mówią jak tu jest. Strach - mimo dotychczasowego doświadczenia. Z Sasurmanu trafiłem do kopalni odkrywkowej złota /"Komsomolec"/.

W czasie jazdy na Kołymę nasłuchiwał się człowiek o niej różnych rzeczy. I już na początku pierwsza zapowiedź o tej pięknej planecie się sprawdziła - już w sierpniu był śnieg i mróz. /2 miesiące lata/.

"Obóz" przy tej kopalni, to były 3 baraki - jeden malutki dla nas, więźniów, drugi, w którym mieszkała nasza "ochrona"

plus kuchnia, a trzeci - karcer. Był on w czasie rozbudowy. Szkielet robiony był z drewna, który trzeba było przynieść /słan-
nik/. Tynkowało się to śniegiem, a w lecie były szpary, bo to nie
przeszkadzało. Obóz był otoczony drutem kolczastym z 4 wieżycz-
kami dookoła. Podzielono nas na brygady. Z demobilu dano nam
spodnie watowane. Koszuli, którą dostałem w 1945 r. już nie mia-
łem, bo się zdążyła podrzeć, druga z wymiany jakoś się trzymała,
fufajkę albo buszlat /dłuższy/. Całe szczęście, jeśli ktoś miał
tę koszulę, bo jak miał tylko fufajkę to gdy się pochylił to
miał całe gołe plecy. Na nogi dostaliśmy walonki filcowe z przy-
szytym zamiast podeszwy kawałkiem parcianego pasa. Mieliśmy iść
do pracy. Byliśmy wtedy ciężko przestraszeni, bo z nami byli rów-
nież więźniowie kryminalni, między nimi "suki", które z satysfak-
cją prześladowały więźniów politycznych. Mentalność władz była
taka, że jeśli ucieknie 100 złodziei, to się ich i tak złapie,
bo przecież oni muszą kraść żeby przeżyć więc i tak trafiają do
obozu, ale jak ucieknie polityczny, to już cięższy problem, bo
taki się gdzieś zakonspiruje, a szkody zrobi więcej niż 100 zło-
dziei.

Najgorsze było to, że znikąd nie można było zdobyć dodat-
kowego pożywienia, musiało wystarczyć to, co nam dawali w obo-
zie z "urzędu". A chodziło przecież o to, by nie opaść z sił.
"Chleborezka" i cały urząd obozu opanowany był przez błatnych
lub przez "suki". Jeśli góra władz obozowych była utworzona z
błatnych, to jakaś część pożywienia trafiała do więźniów. Pod-
stawowa ilość chleba tzw. "narkomski pajak" powinna mieć wagę
350 gram, a więcej - to w zależności od wypracowanej normy w
pracy - to część tej pajki, np. 250 gram trafiała do wszyst-
kich. Oni nie pozwalali żeby nic nie jadać. Natomiast jeśli
obóz był opanowany przez tych "skrzywionych złodziei" - przez

suki - to byli oni bezpardonowi, mogli zabrać wszystko. Dla nich zarżnięcie człowieka było jak splunięcie. I to była "ta" subtelna różnica - w czyich rękach był obóz.

A nic nie można było zdobyć z boku. Jedyne ratunkiem był jeszcze punkt sanitarny, gdzie można było szukać zbawienia. Tak się złożyło, że trafiłem do brygady szurfowej. Technologia w kopalni odkrywkowej polega na tym, że w zimie więźniowie musieli drążyć jakby studnie w wiecznej zmarzlinie. W zależności od tego na jakiej głębokości znajdował się pokład złota - do 7 m czy niżej /poniżej 7 m były sztolnie/ kopało się w krzyżowo-szachowym porządku w odstępach głębokość - studnię w dole poszerzone, żeby można było położyć dynamit. Potem wojsko robiło jeden wspólny wybuch. Najgorsze były prace początkowe przy zarysie studni, zaczynające się rozkuwaniem skały lub zamrożonego żwiru. Na 20 - 25 cm wybijało się dziurkę o średnicy 10 - 12 cm i potem należało ją poszerzyć do 70 cm. Był to najgorszy etap, stał człowiek na wierzchu, wszyscy go widzieli, a poza tym było strasznie zimno /temperatura dochodziła do -30°C - nam się to wydawało zimno, ale wtedy to jeszcze było ciepło, chociaż wiał silny wiatr/. Należało się ruszać, żeby nie zamarznąć. Jak się wykuło dwa dołki to przychodzili brygadierzy, którzy sprawdzali /byli to więźniowie-kryminaliści/ czy głębokość jest dostateczna. Jak określił, że jest dobrze - a za głęboko też być nie mogło, bo tam wkładano łaskę dynamitu, odpowiednią do danego gruntu i głębokości - to po uzbrojeniu wszystkich studni więźniów odprowadzano i dokonywano jednoczesnego wybuchu założonych ładunków, który kruszył wierzchnią warstwę skały w studni. W czasie 12-godzinnej pracy należało zrobić dwa odpały.

IIIB. Następnie wracało się i należało pogłębiać studnię, wyrzucając urobek na bok. Nie było powiedziane, jaką szerokość ma mieć szurf. Trzeba było robić to tak, by móc się zmieścić w środku i kopać do głębokości 4-7 m. Po skruszeniu skały ściany boczne "obrabiać" kilofem-łomem lub łopatą aby dojść do warstwy kamieni /głazów/. Złoto znajdowało się właśnie wśród tych kamieni /koryta i zakręty dawnych rzek/. Poniżej tych kamieni była warstwa złotonośna - złoto samorodne w osadach naniesionych przez prądy i wiry wodne. Technika pozyskania złota "samorodnego" polegała na dotarciu do warstwy złotonośnej. W tym celu wykutą i wykopaną studnię - "szurf" należało poszerzyć o boczne komory, w które kładło się ładunki dynamitu. Potem szurf zasypywany był urobkiem przedtem przez nas wykopanym. Nas odprowadzano do obozu, a NKWD-ziści łączyli przewody i następował masowy wybuch. Na tym kończyło się pierwszą część prac przygotowawczych do robót podstawowych tj. pozyskania "złota". W zależności od stopnia nasycenia kopalni sprzętem zmechanizowanym i paliwem do silników przystępowano do usunięcia "pustego" wzruszonego nasypu, mechanicznie lub metodą "faraona". Tam gdzie koparki nie było, rozkruszoną skałę wybierało się "na pych" - na nosiškach lub taczkach wynosiło się poza wyznaczony prostokątny obszar. Wielkość tego prostokąta lub kwadratu wyznaczały możliwości czasu pracy w lecie. Przed okresem letnim płaszczyna ta powinna być oczyszczona ze skruszonej skały. Słońce wtedy dokonywało reszty, roztopiając powierzchnię zmarzniętej ziemi. W jednym z rogów tego prostokąta wyrąbywano duży dół, w który był wstawiony bunkier z taśmociągiem. Po rozmarznięciu wierzchniej warstwy ziemi złotonośnej buldożer spychał ją do leja bunkra, skąd taśmociąg podawał urobek do płuczki. Taśmociąg i płuczka napędzane były agregatem elektrycznym.

Woda do przepłukiwania złotego urobku, krążyła w obiegu zamkniętym uzupełniona z basenu wykutego w skale, a napełnionym wodą spływającą z gór /wiosną/. Na końcu taśmociągu stała płuczka - duży obracający się walec z otworami o różnej średnicy. Pod sitem walca znajdowało się koryto, do którego wpadała drobnoziarnista "pulpa" wodno-piaskowa. Grubsze kamienne odłamy skalne wylatywały z walca na pryzmę obok płuczek. W zależności od przewidywanej granulacji złota różna była szybkość przepływającej przez koryto wody. Na dnie koryta ułożone były worki płócienne /po dynamicie/ a na nich drabinki. Złoto jako cięższe opadało na dno koryta i zatrzymywało się na drabinkach, resztę piasku woda wynosiła dalej. Długość koryta zależała od granulacji złota - im większe ziarna, tym wcześniej opadały i koryto mogło być krótsze. Opisane prace odbywały się oczywiście w lecie, które trwało około 100 dni i w czasie których woda nie zamarzała przez 24 godziny. Roboty przygotowawcze wykonywane były wyłącznie w okresie zimowym tj. od września do maja. Pod tą szerokością geograficzną nie było prawie wiosny ani jesieni.

W zimie, po powrocie z pracy przed wejściem do obozu wyliczali jaką kto wykonał normę - od tego zależało wyżywienie. Maksymalnie wynosiło 1,1 kg chleba. Podstawowe utrzymanie to tzw. chleb "narkomski", który wynosił 35 dkg, a w karczerze - 30 dkg. Przez 12 godzin pracy nic nie dostawaliśmy do jedzenia. W zimie zdarzało się, że jak nie było roboty przy szurfach, to kazali więźniom kopać "urobek" pozostawiony na uboczu przez buldożer, rozmrażać go nad ogniskiem, a potem płukać w kolebie wypełnionej wodą, na specjalnej deseczce z wyżłobionym rowkiem. Można sobie wyobrazić jak wyglądały ręce ludzi zmuszanych do pozyskiwania złota na dużym mrozie od -40 do -45°C. Norma wypłukania czystego złota wynosiła 11 g. W czasie pracy wy-

łącznie przy zimowym płukaniu złota przywozili posiłek /teren był oświetlony/ - zupę i kawałek chleba. Wieczorem była w obozie kolacja, ale jak kto normy nie wykonał, to jedzenia nie dostawał. Jeżeli do obiadu nie wydobyło się 6 g złota, to obiadku nie było - dostawało się tylko cienką zupkę, a drugie danie w postaci gęściejszej zupy i chleba zostawało przy konwoju. Ci, co wymyli 6 g - jedli, inni nie. To było straszne, takie były warunki. Przy końcu dnia pracy, ci "uparci", którzy normy nie zrobili zostawali dopóki jej nie wykonali. Wracali do obozu często o 5-ej rano, kiedy była pobudka. Byli mokrzy, zmarznięci, głodni i niewyspani, ale musieli - bez odpoczynku - iść z powrotem do pracy, do momentu aż się padło. I tam właśnie powszechne były samookaleczenia: przy wykopywaniu urobku zdarzało się spotkać spłonkę, która nie wybuchła. Nie oddanie jej było karalne ale był to kapitał przetargowy dla tych kandydatów, którzy chcieli się okaleczyć po to, żeby z tych warunków /jak z piekła, ludzie - ludziom stwarzają go na ziemi/ wyrwać się gdzie indziej.

Tak zaczął się mój pierwszy rok na Kołymie. Przepowiednie starych łagierników mówiły, że jeżeli przeżyjesz pierwszą zimę, przeżyjesz i drugą. W tym pierwszym roku człowiek żył z wielkim strachem - czy mu się uda? Taka ciężka praca przy szurfach była na 101 uczestku w kopalni /pryisku/ "Komsomolec". Po jakimś czasie zaczęliśmy opadać z sił, choć już po samej podróży do Magadanu byliśmy prawie "dochodiagami". Coraz częściej zaczynała mi świtać myśl - jak się stąd wyrwać - znaleźć spłonkę i może poświęcić "tę" lewą rękę? W tym czasie inwalidów jeszcze odsyłano na "matierik". Umysł zaczął pracować analitycznie - co zrobić żeby znaleźć jakąś dodatkową porcję jedzenia pracując jednocześnie jak najmniej. Przy kopaniu szurfu należało go na

tyle pogłębić, żeby człowiek mógł się skryć od wiatru - wynosiło to ok. 1 metra. A potem to już człowiek mógł robić "marsz na Moskwę" - to znaczy dreptał w miejscu nie pracując. Nic mu wtedy nie mogli zrobić, bo przecież musiał się ruszać w miejscu, a nie widać było co robi. Temperatura była wtedy ok. -40°C . Co ciekawe: w Maryńsku zawsze miałem odmrożoną twarz, policzki i nos, natomiast tu nie odmrażałem się - mróz był "suchy".

Na początku pracy na "101 odcinku" dostaliśmy buty z Magadanu i kamazze "kierzowe" z onucami, potem wyfasowano nam z demobilu zimowe ubrania: watowane spodnie, waciak i buty podszyte parcianym pasem.

prawa W obozie panowało niepisane prawo, że za ukradzenie pajki chleba, onuc i rękawic można było złapanego złodzieja udusić bez żadnej odpowiedzialności. Ale niepisane prawo to jedno, a złapanie "kogoś" - to drugie.

Tak się złożyło, że wychodząc do pracy, człowiek zaczął kombinować, jakby tu nie pracować. Na "rozwod" trzeba było wychodzić piątkami, trzymając rękami za chałat 5-tki przed sobą, lub pod rękę, bo było już ciemno, i kolumna ruszała. Prowadzą nas z psami. Posuwanie się w tej kolumnie, po śniegu, było bardzo trudne. Pozwalali wtedy nie trzymać tej 5-tki przed sobą, ale trzymanie się pod rączki było obowiązkowe. Naczelnik obozu miał za zadanie wyrzucić ludzi za palisadę - ogrodzenie, za którym przejmował nas konwój. Jeśli ktoś nie mógł iść, czy nie chciał, położył się na śniegu, to albo szczuli psem lub używali broni palnej. Raniono lub zabijano przeważnie więźniów politycznych. Te przypadki zaczęły się, gdy cywilny konwój zamieniono na żołnierzy NKWD. Wtedy padł na nas błąd strach, zwłaszcza, że nie znaleźliśmy powodu, dla którego rozstrzeliwano tego czy innego osobnika. Tylko wiadomo było, że są to więźniowie z § 58. Żołnierze

wysyłali więźnia np. po drzewo do ognia, ten wychodził poza konwój i strzelano do niego - przeważnie zabijając. Plotka głosiła, że za każdego zabitego NKWD-zistę dostawał dodatkowy urlop - "bo zlikwidował ucieczkę". Nie wiem, czy to była prawda, ale znam 3 czy 4 wypadki, gdy wysyłali więźnia po jakąś posługę i strzelano do niego bez pardonu. Innej przyczyny poza tym urlopem nie znaliśmy.

Ja miałem osobiście taki przypadek. Kiedy chcieli mnie wysłać po drzewo, powiedziałem, że nie pójdę. Przyszedł następny żołnierz i usiłował mnie wypchnąć. Potem kazano mi się rozebrać, rzucono ze mnie fufajkę i zostałem do pasa nagi, czapkę zrzucili z głowy, rękawice też. Ręce mi marzły, więc usiłowałem włożyć je za pas. Wtedy urwało mi guzik od spodni /był tylko jeden/ i spodnie osunęły mi się w dół.

IV A. Najbardziej marzły uszy i palce. Prawdopodobnie straciłem przytomność i upadłem. Podobno więźniowie zaczęli nacierać mnie śniegiem i ubierać. Do końca tego dnia pracy leżałem i ledwo dyszałem. Była to dla mnie przestroga, że nie mogę już wychodzić do roboty, bo się znajdę na "łonie Abrahama". Zacząłem się zastanawiać, jak nie wychodzić z obozu.

Solidarność wśród więźniów była różna, najczęściej jej nie było. Jeśli się doszło do wniosku, że ten to jest "człowiek", to należało mu pomagać do granic możliwości. Uważam, że na każdy wiatr jest przeciwwiatr. Na początku, w obozie byli sami kryminaliści, a obecnie w "tę" masę wmieszani byli polityczni.

Wielu z naszych rodaków - z racji wykształcenia i kiedyś zajmowanych stanowisk w hierarchii społecznej - nie mogło się zniżyć do nawiązywania kontaktu z tym motłochem. To ich oddzielało od reszty więźniów, ale to była jednocześnie "ich" powolna śmierć.

Oni nie umieli posługiwać się językiem i sposobem myślenia więźniów kryminalnych. Nie mówię o tym, żeby rabować i kraść, ale nie pozwolić się zastraszyć. Nie wolno było opasć z sił i dać się zastraszyć. Czasem w walce o tę postawę trzeba było i oddać życie - takie były reguły gry. Jeśli o tym się wiedziało z kryminalistami można było przeżyć. Gorzej z sukami, którzy nie mieli "etyki zawodowej". W więzieniu i w obozie trzeba było poddać się obowiązującym prawom, ale jednocześnie stawiać opór, gdy żądali więcej niż ja miałem chęć im dać. To była cała sztuka i filozofia przeżycia tego piekła na ziemi. Ludzie młodzi, jak ja, inaczej się przystosowywali do tych warunków niż starsi, którzy już sobą coś reprezentowali zawodowo czy intelektualnie. Oni nie uważali za słusne z takim "śmieciem" wchodzić w jakiegokolwiek układy i kontakty. I to była klęska dla tych ludzi, którzy ginęli jak muchy. Nie tracąc poczucia godności, nie tracąc poczucia narodowości, należało tak lawirować, żeby przeżyć i żeby nikt na tym nie stracił. Ale nie wszystkim się udawało, niestety, tego nauczyć. Mnie nauczyli tego rozumowania dwaj oficerowie, którzy uciekli z Maryńska.

W obozie - na 101-ym, w styczniu 1948 r. zaczął nam dokuczać większy głód, bo zasypane są drogi, nie ma dojazdu, nie ma chleba. Jest tylko śledzik, jest kapusta zamrożona w beczkach, którą nazwaliśmy "łapsza", czyli makaron. Był taki żart, że jeśli ktoś umie z kapusty zrobić makaron, to może być kucharzem. I to tylko jedliśmy.

Zaczęliśmy się zastanawiać i robić rachunek, czy iść do pracy o zupce i kawałku śledzia /bez chleba/ czy iść do karceru, który był nie opalany, ale za to dostawało się tam 300 g chleba co drugi dzień i kapiatok. A więc czy lepiej nie pracować, ale bronić się przed zimnem i zjeść 300 g chleba, czy iść do pracy

i nie dostać nic. Ale do karceru można było iść, jak się zebrało minimum trzech ludzi. /W karcerze podłoga była z mchu zalanego wodą - taka polewa zamarznięta, prycza długa, zrobiona z okrągłych, nierównej grubości drewien - 3-5 cm, specjalnie żeby "było wygodnie" pod plecami; był piec opalany od zewnątrz, który musiał dymić, żeby było humanitarnie - z daleka było widać, że się dymi a w środku puszczano tylko dym z palącego się mchu. Lekarz i naczelnik mieli czyste sumienie, że się pali w karcerze/. Dlatego, żeby przeżyć, musiało być co najmniej trzech ludzi, bo wtedy dwóch grzało środkowego /potem była rotacja/. Gdyby do karceru zawlekli jedną osobę, to już po 3 - 5 godzinach byłaby z niej lodowa mumia.

Jednego razu nie udało mi się schować przed wyprowadzającymi do roboty, w zakamarkach obozu. Wyrzucono mnie za bramę, nie byłem przystosowany do pójścia do pracy, byłem bowiem bez onuc, bez owiniętych nóg i z gołymi rękami. Rzucili mi tylko kawałek worka po dynamicie, do owinięcia nóg i jakieś porwane rękawice. Musiałem iść do pracy, bo inaczej by mnie zastrzelili. W czasie marszu do terenu pracy - ok. 12 km - nie czułem z zimna nóg. Jak wróciłem do obozu, miałem przemarznięte ręce i nogi. Paznokcie u dużych palców u nóg przykleiły się do otrzymanych onuc i na nich pozostały. Jak szedłem do "sanczasti", to pomyślałem, że już nie muszę szukać spłonki, bo "opatrność" pozwoliła mi ręce i nogi odmrozić. Szefem był tam lekarz Gruzin, który stosował najnowsze osiągnięcia medycyny - czyli amputację. Kończyny odmrożone długo się nie goją, natomiast po amputacji jednego lub kilku palców, więźnia po 7 dniach wysyła się do pracy. W sanczasti, w moim obozie, był felczer o europejskim wyglądzie /nie bandyty/. Zrobili mi opatrunek, pojawiła się już ropa na dłoni. Zacząłem trochę śmierdzić; do pracy nie chodziłem, więc przeniesli mnie do jakiejś "ziemlanki". W tym ambulatorium nie było leżenia, tylko

punkt opatrunkowy i dawali zwolnienie od pracy. Po 4 dniach wzywa mnie służbowy z poleceniem, żebym poszedł do ambulatorium, gdyż przyjechał lekarz - Gruzin. Felczer kazał mi się rozebrać. Przebrali mnie w jakąś koszulinę, obmyli ręce i nogi, natomiast wszystkie swoje rzeczy należało złożyć na kupkę. Felczer odezwał się do mnie po polsku z kresowym akcentem: "Będziesz miał amputację palców" /lub nóg, nie pamiętam dokładnie/. Ja prawdopodobnie zmieniłem się na twarzy i pytam: co robić? A on: "Uciekać". Więc ja na nic nie czekając, złapałem swój majdan z ubraniem i w samej koszulinie uciekłem do baraku. Schowałem się na czymś w rodzaju poddasza i tam przeczekałem aż do wieczornej prowierki. Dniwalny /służbowy/ wiedział gdzie ja jestem, ale mnie nie zdradził. Wieczorem chirurg wyjechał i w ten sposób zachowałem palce u nóg i rąk z dużymi ubytkami. Oczywiście groziła mi gangrena ale była szansa utrzymania palców. Ryzyko podjąłem dzięki temu, że felczer odezwał się do mnie po polsku. Pojawiła się nadzieja, że u niego mogę szukać ratunku.

Przy rozwodzie /wyprowadzenie więźniów za bramę obozu do pracy/ felczer musiał stać w gronie władzy obczonej przy bramie i jeśli ktoś zgłaszał chorobę, to on rzekomo to sprawdzał. W rzeczywistości nie mógł tego sprawdzić i zwolnienia nie dawał. Ja do tej pory nie miałem o nim najlepszego zdania, sądziłem, że to taki sam "pirat" jak inni co stali przy bramie. Po tym incydencie nie wiedziałem, jak dalej postępować, bo zwolnienia od pracy nie miałem. Do karceru iść nie chciałem, do ambulatorium nie mogłem się dostać, ponieważ tam były wyznaczone godziny przyjęć. Nie miałem onuc, wspomogli mnie więźniowie drąc jakieś szmaty na rodzaj bandażu. Spotkałem się wówczas z domowym, ale skutecznym sposobem leczenia - moczenie tych szmatek w nadman-ganianie potasu i przykładanie ich przez kolegów do moich pal-

ców u nóg. Na ręce nie było sposobu. Na drugi dzień, jak zjawiłem się na "rozwodzie", felczer kazał mi wystąpić i powiedział, że jestem chory. Wówczas spłynęło na mnie trochę światła i szczęścia. Domyśliłem się, że on będzie mnie leczyć, może za jakąś wykonywaną pracę przy ambulatorium. Okazało się, że ten człowiek pochodził ze Lwowa; był Ukraińcem i nazywał się pan Dega. Mówił dobrze po polsku, ale prosił mnie o dyskrecję, żebym go nie wydał, iż zna polski język. W ambulatorium pracowałem przynosząc z pobliskiej góry drzewo /kosodrzewinę/ do pieca. Z początku bałem się, że mnie zastrzelą, ale on mnie uspokoił, mówiąc, że jak on mnie wyprowadzi to mi nic nie zrobią.

IV B. Z późniejszej z nim rozmowy wynioskowałem, że on miał coś wspólnego z wojskiem tuż przed wojną, a potem starał się dostać na medycynę, czy też już zaczął studiować. Rozmowy prowadziłem ukradkiem, gdy byliśmy sami. Ja jego o nic nie pytałem, bo prosił o dyskrecję. Ponieważ był to gest z jego strony w stosunku do mnie, że starał się mnie uchronić. Później zresztą się dowiedziałem, że ten opatrunek i nadmanganian został przekazany dla mnie od niego. Na ranach po odmrożeniach wyrosło dzikie mięso, które mi na żywca wycinano i przykładano kompresy z tranu przemysłowego /nieoczyszczonego/.

Po jakimś czasie dotarł do nas transport żywności, ale nie chleba tylko mąki owsianej. Ponieważ piekarnia była za mała, nie można było wypiec zaległego chleba. Wydawano więc mąkę owsianą, z której robiono tzw. mamałygę - gęstą masę podobną do kiśielu. Gotowano ją z drobną słoną rybą. Niezależnie od wypracowanych norm dawano wszystkim po równo. Po paru dniach była oczywiście biegunka, bo wszyscy się nawcinali tego kitu. W ten sposób rozliczyli się z nami z norm żywnościowych. Z transpor-

tem maki przyszły również płaty fok, z których fabrykowano tłuszcz, rodzaj tranu leczniczego.

Ponieważ pojawiła się u więźniów tzw. kurza ślepotą i cynga /szkorbut/, więc zaczęto dawać nam wywar z kosodrzewiny. Każdy musiał przed śniadaniem wypijać czarkę wywaru. Nie było to przyjemne, ale był to jedyny ratunek na tę dolegliwość.

W kwietniu 1948 r., kiedy zaczęły się roztopy, część więźniów z obozu zabrano do obozu centralnego "Komsomolec". Było tam ponad 6 tys. więźniów. Oprócz baraków było całe zaplecze gospodarcze ze stolarnią, murarzami, ślusarzami, magazynami itp. Były brygady pracujące w sztolniach i szurfach oraz takie, które prowadziły badania geologiczne, a więc całe przedsiębiorstwo o różnych profilach. Wszystko obracało się wokół złota i budowy nowego miasta. Miasto budowano z drewna przywożonego statkami do Magadanu. Był to więc duży obóz-kombinat, którym rządziły również suki, nie można też było nic na boku wykombinować czy zorganizować.

W obozie tym spotkałem rodaka z Warszawy, Żyda. Był on brygadierem grupy budowlanej. Sam przyszedł do mnie, gdy się dowiedział, że jestem Polakiem. Okazało się, że mieszkał na Chłodnej, gdzie rodzina jego miała pracownię fotograficzną. Uciekł z Warszawy w 1939 r. Wypytywał mnie o wszystko, ale do swojej brygady nie mógł wziąć. Pracowałem cały czas przy kopaniu szurfów. Jednak, nie mówiąc mi nic, gdzieś mnie zaprotegował, bo pewnego dnia wezwał mnie naczelnik obozu i skierował do pracy w "rozwiędce" w grupie geologa Simonowa. Już wolnego, geologa-pasjonaty. Simonow mieszkał z całą rodziną na wolnej zsyłce. Powiedział mi: "Będziesz miał ciężkie warunki, będziesz spał na mchu, ale będziesz sobą". Było na sześciu: Białorusin, Polak, 2 Rosjan i 2 Łotyszy z małymi wyrokami z paragrafu za kradzież. Ci dwaj mieli

nas pilnować, zamiast konwoju. Odpowiedzialność za więźniów brał na siebie brygadier - geolog. Jego żona też była geologiem i pracowała z nami. Kiedyś przechodziliśmy obok budującego się miasta i z jednego z baraków wyszła ta kobieta niosąc garnek mleka. Na ten widok oczy zrobiły mi się jak 20-złotówki. Dała mi się napić. Było to pierwsze mleko od 4 lat. "Wydołkiem" prawie cały garnek, aż się sam przeraziłem.

Do nowej wyprawy trzeba było przygotować odpowiedni sprzęt, dwukólkę z koniem. Wyszliśmy od obozu ok. 15 km na szlak. Był czerwiec, z górników już śnieg, a na stokach południowo-wschodnich było pełno borówek, które przetrwały zimę - wyglądało to jak czerwony śnieg. Po pierwszym dniu pracy zdecydowaliśmy, że nie będziemy wracać do obozu, tylko przenocujemy na miejscu - na mchu. Prawdopodobnie rozeznanie geologiczne było już zrobione wcześniej a przedsiębiorstwo chciało znać szczegółowe dane dotyczące opłacalności eksploatacji złota - czy warto przygotowywać teren do pozyskania złota. Przy takiej pracy istniały zawsze zasady przeżycia. Koń musiał być najedzony zawsze, nie wolno było podkradać "jego" owsa /musiał nas przecież przywieźć, odwieźć, wziąć chorych/, my natomiast mieliśmy swoje produkty - jeśli je zjemy od razu albo nam je ukradną, to nie będziemy nic jeść.

Całym sprzętem były młotki geologiczne, rarytas - to amerykańskie łopaty, mocne, nie łamiące się przy kopaniu, z rączką dobrze wymodelowaną, pasującą do ręki. Praca zaczynała się od zdjęcia mchu. Na wiecznej zmarzlinie stawiało się namiot uszczelniając podłogę i boki mchem i to było nasze mieszkanie. W wiecznej zmarzlinie kopało się szurf, przeważnie na głębokość 2 - 3 m, tam gdzie znajdowała się warstwa złotonośna. Od tego poziomu kopało się poniżej 1,5 m i z każdej warstewki brało się próbkę 20 cm grubości, kładąc ją do specjalnej skrzyni - dopóki

nie dostaliśmy się do pokładu grubych żwirów /kamień/. Potem należało zbadać te próbki ile zawierają złota. Problem polegał na tym, że nie było wody ani śniegu. Do jedzenia dla nas Łotysze przynosili śnieg z północnego zbocza. Natomiast do wypłukiwania złota wody nie było. Czekać trzeba było do pierwszych opadów. Przywożono tzw. koleby do płukania złota. Po zbadaniu próbek wyznaczano zarys terenu i grubość nalotów, warstwy do zdjęcia.

Po powrocie do macierzystego obozu na przełomie 1948/49 roku skierowano mnie do brygady, która całą zimę wymywała złoto z resztek warstwy złotonosnej na poligranach. Oczywiście było to praca pod gołym niebem, na mrozie.

VA. W czasie 12-godzinnego dnia pracy była norma - 6 g złota do obiadu i 11 na dzień. Był też okres, że jeśli trafił się samorodek do 50 g to zaliczano go do normy, danego dnia. Natomiast jeśli znaleziono samorodek powyżej 50 g, to go nie zaliczano do niczego, po prostu nie uznawano, bo to "stworzyła natura". Dlaczego masz dostać dodatkową porcję chleba za to, co stworzyła natura? Więc oczywiście takie duże samorodki wyrzucaliśmy. Jak nie było śniegu złoto składano na kupkę w miejscu sobie znanym, na złość, niech natura odzyska co straciła. Uzbierałem tego szmelcu ok. 3 kg.

W 1949 r. pojawiła się w "Komsomolcu", miasteczku przy centralnym obozie, pewna ilość ludzi wolnych, którzy się tu najmowali do pracy. Powstała więc możliwość "jakiegoś" handlu "z rąk do rąk". Jeżeli w obozie podczas rewizji znaleziono u kogoś gram złota, to od razu dokładali rok więzienia, a ponad 5 gram, to 10 lat. Z obozu centralnego przywożono posiłek do kopalni i od tego czy była napłukana norma dostawało się chleb i gęściejszą zupkę /kaszę/ - lub nie. Powstała więc solidarność między więźniami, jeśli ja mam 3 gramy a ty 5 gram to daj mi część, podziel

się ze mną. Lepiej było zjeść 150 g chleba niż nic. Trzeba było tak postępować, żeby brygadier tego nie widział. Chleb należało dzielić w tajemnicy bez zbędnych, ciekawych spojrzeń. Była to obrona więźniów, szansa przeżycia. Nawet przy stałym przemieszczaniu się więźniów tworzyła się jakaś spójnia, więź. Trzeba było doświadczenia, żeby wiedzieć z kim w taką spójkę można wejść. Np. był Uzbek, który pierwszy raz przyszedł do brygady i od razu wiedział z kim można było o wszystkim rozmawiać, kto jest człowiekiem. Jeśli się o kims powiedziało: "eto czełowiek" - to bez względu na kolor skóry, narodowość czy przekonania - wiadomo było, że z tym człowiekiem można wspólnie przeżyć ten dzień, można mu było zaufać. To było najważniejsze, to była ta mądrość obozowa. On kogoś ratował i jego się ratowało jak potrzebował pomocy.

W obozie spotykałem różnych ludzi. Były suki, przed którymi trzeba się było bronić. Kiedyś była krwawa rzeź. Przywieźli ok. 50 tzw. "worów" - "honorowych złodziei", którzy zaczęli się bić z sukami. NKWD napuszczało jednych na drugich. Trochę się poróżnili, zrobili brudną robotę, trochę miejsca dla innych. I na tym tle trwało życie obozowe. Wiadomo było, że można coś "zachachnąć", można komuś coś sprzedać. Najważniejsze jednak było to, że więź między więźniami zacieśniała się. Myśl, że ja się z kims podzielę albo ktoś się ze mną podzieli dodawała otuchy i nadzieję przeżycia. Zresztą nawet papierowa nie można było wypalić, żeby pół obozu tego nie czuło, zwłaszcza "dniewalnyj", który był najczęściej prawą ręką naczelnika. To była namiastka wolności - możliwość wykiwania konwojenta czy straży. Trzeba było umieć znaleźć złoto, ale i umieć go nie oddać. Zresztą nie tylko o złoto chodziło. Wtedy cenniejsza była kromka chleba niż goła panienka. Tych panienek co prawda nie było ale chodzi o porpwnanie. To były sukcesy życia drugiego i trzeciego roku na Kołymie:

człowiek przeżył pierwszy rok i miał już doświadczenie, wiedział ja k przeżyć. Co prawda do dzisiaj nie mam czucia w palcach, ale są całe, mogę chodzić, biegać. Poza tym, starałem się cały czas pamiętać to, co mi mówił "ten" polski oficer w Maryńsku: że ja nie zdradziłem ojczyzny, nikogo nie zabiłem, więc nie mam za co pokutować. Ja muszę wrócić do kraju. Niektórzy, gdy się dowiedzieli, że jestem z Polski mówili, że "prędzej świnia zobaczy swoje uszy jak ja wrócę do Polski". Odpowiadałem słownie, lub popierałem wypowiedź ręką: "Na pewno wrócę".

Ten okres wspominam nawet dosyć przyjemnie jak na obóz pracy; bo chociaż praca była ciężka to jednak nie straciłem wagi i ducha. Traktowano mnie tam jak człowieka. I mimo że byłem napiętnowany - więzień polityczny, to byłem hardy i "oni" to szanowali. Ta myśl, że muszę wrócić dawała mi chęć do życia. Psychicznie nie mogli mnie złamać.

Niezależnie od koloru skóry czy narodowości wyrobił się u więźniów instynkt samozachowawczy, który mówił, że lepiej zjeść trochę niż nic, tzn. grupki 2 - 3-osobowe oddawały urobek wspólny, podzielony tak, że każdy dostawał jakąś rację żywnościową.

Rozeszła się między więźniami wieść, że za złoto można było dostać papierosy lub kawałek machorki, tylko nie wiadomo kto komu sprzedaje. Trzeba się było dowiedzieć gdzie jest "to" źródło, co było trudne. Wywoławczą wartością na "wolnym rynku" był 1 kg złota, który kształtował się w cenie: 1 kg herbaty, 1 litr spirytusu. Pojawili się wtedy wolni ludzie na wolnej zsyłce, na zasiedleniu, deportowani na teren Kołymy. Pojawiły się też kobiety, które przykuwały wzrok więźniów, mimo że byli głodni. Widzieliśmy je idąc do pracy.

Pojawienie się kobiet niesło pewne "błogosławieństwo", bo zaczął się nielegalny handel wymienny. Ci wolni pracowali jako

poszukiwacze złota, ale starali się w jakiś sposób odkupić od więźniów złoto - te duże samorodki, znalezione lecz odrzucone przez tzw. normę. Wymieniali je na papierosy. Za papieros można było dostać w obozie wszystko - jak na całym świecie. O chlebie w ogóle nie było mowy, bo go na całej Kołymie brakowało. Natomiast w obozie za machorkę lub papierosy można było dostać chleb, lepsze rękawice lub w pierwszej kolejności mieć wysuszone obuwie.

Była zima z 1949 na 1950 r. Początkowo nie było dużych mrozów. Ja przeżyłem -55°C . W lutym był okres wiatrów, mróz był do -25°C , ale wiatry były bardzo silne, które szlifowały śnieg na górach, że wyglądały jak wyrzeźbione z kryształu lub lustra. Okres bardzo ciężki dla tych, którzy pracowali na powietrzu, bo wiatr i odbłask słońca oślepiał. W tym czasie obozem przestali rządzić "suki", którzy potrafili zabrać złoto pozyskane w ramach normy - i nie można było się nikomu poskarżyć. Było więc nieco łatwiej. Wymiany nie można było dokonywać na terenie pracy. Należało więc gdzieś schować złoto. Do obozu właściwie nie można było przynieść gdyż przy rewizji za znalezione złoto groziło więzienie. /Ja miałem "szpulkę" czyli 10 lat, niektórzy po 25 lat więzienia, czyli tzw. "katuszkę". Jeśli ktoś tak jak ja odsiedział 2 - 3 lata, to mu dokładano do 25 lat/. Jednak jakoś przemycano złoto do obozu, tam gdzieś się je ukrywało. W obozie znajdowały się osoby, które miały kontakt: dowożono chleb do obozu z zewnątrz. "Chleborez", z którym należało mieć dobry kontakt, też musiał mieć pośredników, więc szło "to" od człowieka do człowieka. Dopiero na końcu łańcucha pośredników można było coś dostać ale nie wiadomo od kogo. Cała sztuka polegała na tym, żeby wyeliminować "tych" pośredników, aby za samorodek złota dostać jak najwięcej, nie tracąc dla innych po drodze. Niektórzy wpadali, zwłaszcza przy rewizji, a ta była zawsze. Ale z kolei trudno

było wyszukać gram czy 5 gram złota w tak obszernym, watowanym ubraniu. Czasem gdy kogoś "nadali" to straż potrafiła znaleźć.

Ja również wymieniałem złoto. Nie przeżyłbym tego obozu, gdybym był uczciwy wobec władz sowieckich. Wymieniałem złoto poprzez wspomnianego już lekarza obozowego, który miał kontakt z wolnymi. On był zmuszony do takiego szwindelku, ponieważ zależało mu bardzo na tej pracy i musiało mu się to opłacać. Inny byłby niepotrzebny na tym miejscu. Taka była "gra" w obozie. To było państwo w państwie i należało się przystosować w miarę uczciwie w stosunku do współwięźniów, żeby samemu przeżyć i jeszcze komuś pomóc. A mogły być konsekwencje bardzo przykre. Nie myślało się jednak co się stanie, bo była to pierwsza połowa wyroku i często ogarniało nas zwątpienie czy się przeżyje, chociaż ja przez cały czas nie traciłem wiary i ducha.

Pod koniec 1949 r. zaczęto w obozie wprowadzać tzw. "zaczio-ty" czyli propozycję, że za wykonanie pracy ponad normę będzie wynagrodzenie pieniężne. W tym obozie byli więźniowie polityczni i kryminalnymi i numerów jeszcze nie mieliśmy. Ale też, w tym czasie, za różne przestępstwa ekonomiczne, kradzież itp. wciskano ludziom § 58 p. 14 - czyli wyroki polityczne - ponad 10 lat.

Obiecano również, że otworzą sklep, w którym za równowartość zarobionych pieniędzy będzie można kupić rękawice, onuce, machorkę i starą gazetę. Wynagrodzenie było tylko zapisane, a na rękę dostawało się jakiś procent - 10 czy 20%. Na początku 1950 r. dostaliśmy białiznę i sienniki wypchane włórami lub sianem. Przedtem spaliśmy na gołych deskach przykryci kufajką. To był już komfort. Wszyscy się dziwili dlaczego tak jest dobrze, czy wojna jakaś się szykuje czy coś innego, dlaczego więźniów starają się załagodzić. Według usłyszanych informacji okazało się, że od 1950 r. wstrzymano transporty więźniów na Kołymę i zabro-

niono wysyłać inwalidów do centralnej Rosji. Nie było więc szansy, żeby przy samookaleczeniu wyjechać z Kołymy. Inwalidzi musieli pracować przy takiej robocie do jakiej byli zdolni. To były powody, dla których stworzono względnie dobre warunki. Powstała też w obozie łaźnia, gdzie można było częściej niż przedtem umyć się i uprać bieliznę.

W tym czasie skończył się okres szukania złota, przeszedłem znów do kopania szurfów. Ale byłem już tzw. "obogatitiel", tzn. doświadczony - wiem gdzie co jest i gdzie można szukać. Pewnego dnia przy "rozwodzie", w trakcie przekazywania więźniów konwojowi przez straż obozową, kazali mi wystąpić na bok, wypchnęli za zonę. Oprócz mnie było jeszcze około 60 osób. Nic nie mówią tylko pędzą do łaźni, co dla doświadczonych łagierników oznaczało zmianę obozu. Zaskoczenie było duże, zwłaszcza, że każdy z nas coś przy swoim legowisku zostawił: jakieś notatki, listy, machorkę itp. W łaźni istniała jeszcze jakaś możliwość zamiany swej osobowości z drugim więźniem. To znaczy zamiast Pomaskim mogłem stać się Ściborem lub Majewskim, bo na golasa nikt nie był w stanie nas rozpoznać zwłaszcza, że brygadziści, którzy nas znali odeszli. Przyjmował nas nieznany konwój. Przy tej rewizji sprawdzali nazwiska, badania lekarskie, wykonywaliśmy parę przysiadów /poszukiwania w odbytnicy/. Destaliśmy ubrania, posiłek i skierowali nas na samochody z plandeką. Siadaliśmy według znanego schematu: na nogi pierwszej piątki siadała następna itd. Ruszyliśmy w drogę. Po drodze nocowaliśmy w jakimś obozie, gdzie wydobywano uran. Nazwy tego obozu nie pamiętam. Dowieziono nas następnego dnia do "Bierlagu" - obozu przy kopalni i fabryce im. Matrosowa.

V.B. Trafikiem do obozu, który zabezpieczał obsługę fabryki złota. 7 km od naszego obozu był obóz centralny, który zabezpieczał urobek kopalniany. Tam dopiero dostaliśmy numery /E2-946/. Od tego momentu nie mam nazwiska, tylko na tzw. apelu /prowierce/ po wywołaniu numeru E2-946 muszę odpowiedzieć swoim i ojca imieniem - nazwiska już nie posiadam. Było to dla nas przeżycie. Nowe miejsce pracy, nowy obóz, nowe kontakty i znowu pytanie: Jak mam tu żyć, jak postępować, ażeby jak najmniej pracować, a przeżyć. Samo noszenie numeru nie było takim wstrząsem, bo ja już raz numer nosiłem w obozie niemieckim. Na Kołymie nosiło się numery namalowane na czapce, na plecach i na kolanie. Jak się nie miało widocznego numeru - to była kara karceru. Gdy przyjechaliśmy to już w naszych aktach był wpisany odpowiedni numer. Swoją numer dostałem przy wejściu do obozu - po kąpieli.

1950
W baraku znajdowało się około 100 osób, podzielonych na 3 - 4 brygady do różnych prac. Najgorsze było to, że po wieczornej "prowierce" zamykano barak. Okna były zadrutowane. W poprzednich obozach w oknach była jakaś szmata czy pergamin, ale można było przez nie wyjść. Za swoją potrzebą wychodziło się albo za barak, gdzie przy wyjściu robiono w śniegu pisuar albo na korytarzu w baraku do paraszy. Ponieważ obuwie oddawano na noc do suszenia, więc przy drzwiach stały zapasowe kalosze. Ale ponieważ każdy z nas był podziębiony więc w nocy przed ten barak wychodziły dziesiątki ludzi. Człowiek rozespany wstawał i szedł się załatwić. Boso. I nogi przymarzały do ziemi. A cała droga do pisuaru była z zamrożonego moczu, bo jak człowiek wychodził z baraku, to podświadomie już lał z siebie, z zimna. Więc w czasie przechodzenia trzecha było prawie tańczyć, żeby nogi nie przymarzały. Gdy trafił się jakiś sadysta z ochrony i zobaczył, że ktoś się załatwia nie tam gdzie jest pisuar, to kazał mu dojść

do pisuaru i stać przy nim. Po minucie już człowiek przymarzał i tracił skórę na nogach. Ale takie wygody "tam były".

W obozie tym w baraku stała beczka, do której się załatwiano. Ale z kolei beczki tej nie można było przepełnić. Z baraku nie wolno było również wyjść. Były to nowe perfidne metody w "bierłagu", dla udręczenia więźniów. W barakach, w których ludzie odbywali jakąś karę, okna zabijano "bindrami", aby nie można było komunikować się z nikim z zewnątrz.

Początkowo czułem się mocno przestraszony - nikogo nie znałem, nie było żadnego Polaka. Byłem sam. Z poprzedniego obozu było kilku Białorusinów, Ukraińców i innych ale to nie byli ludzie, z którymi mogłem się porozumieć lub im zaufać.

Na drugi dzień przydzielono mnie do brygady pracującej przy "stożach", w których wyrabiano koncentraty - fabryczna obróbka rudnego złota. Do pracy prowadzono nas normalnie piątkami, bardzo rygorystycznie, z psami. Dano nam nowe trzewiki, w których było bardzo zimno i zacząłem się obawiać czy znowu nie stracę swoich przemarzniętych palców. W baraku dowiedziałem się, że praca w tej fabryce jest pod dachem i jest ciepło, więc wydawało się, że może być jednak lepiej jak było dotąd.

W fabryce odbywał się następujący proces technologiczny. Z kopalni sztolniowej transportem linowym przemieszczano złotodajną rudę i rozładowywano wagoniki nad bunkrami. W bunkrach ruda przechodziła przez proces miażdżenia, a następnie spływała taśmociągami do silosów magazynowych, z których rozdzielana była do młynów. Są trzy rodzaje młynów do mielenia kamieni ustawionych kaskadowo w zależności od frakcji uziarnienia rudy. Ruda jest zsypywana do stojących na najwyższym poziomie

młynów, dodaje się wody, młyn się kręci i następuje miażdżenie do pewnej granulacji ziarna. Powstaje rozwodniona pulpa. Pulpa spuszczana jest do płuczki gdzie od dołu leci woda. Siła strumienia wody jest tak wyregulowana, że mała cząsteczka skały - bez złota, jako lżejsza - jest wymywana. A grudki ze złotem wpadają do specjalnej szyi, z której trzeba rudę co jakiś czas wyjmować. Ja trafiłem właśnie do wyciągania koncentratu. Robota była nieprzyjemna, bo ręce cały czas były w wodzie. Ten koncentrat szedł następnie do kolejnych młynów, które go rozdrabniają na mniejszą frakcję. Z ostatniego młyna rozrobiona ruda - pulpa - trafia do tzw. "stołu koncentratu". Był to duży stół, pochyłony pod kątem $10 - 20^{\circ}$ /w zależności od zawartości złota w pulpie kąt się zmienia/. Pulpa wprowadzona jest do koryta usytuowanego górami, wzdłuż długiego boku. Poniżej koryta, równoległe, w odstępach 8 cm, przybite są listwy drewniane o zmiennej długości. Stół jest w ruchu wibracyjnym i przepływa przez niego woda, która transportuje pulpę ze złotem: kruszyny złota jako cięższe zatrzymują się przy listewce, a reszta skały /bez złota/ unoszona jest przez wodę poza stół. Złoto pod wpływem drgań przesuwane się i spada z listwy na listwę, na końcu gromadzi się w zbiorniczku. Stamtąd koncentrat złota transportowany jest do beczek ze stalowej blachy z lukiem, przez który wysypuje się do 3 - 10 wiader koncentratu. Beczka obraca się, w środku są kule ze specjalnego stopu. Do beczki poza wodą dodaje się wapna i sodę kaustyczną. Po 2-godzinny kręceniu beczki wlewa się do tego rtęć. Rtęć wyłapuje same ziarenka złota, powstaje amalgamat, a inne minerały - jako lżejsze - nie łączą się z rtęcią i pływają na wierzchu. Zawartość beczki wypuszcza się korytem na "grzybek wodny". Czy złapie się złoto, czy nie - decyduje o tym regulacja ciśnienia wody: rtęć ze złotem powinna polecieć na

dół a reszta musi spłynąć na boki. Wyłowiony z beczek amalgamat złota i rtęci przemywa się na przemian gorącą i zimną wodą z resztek innych minerałów i zanieczyszczeń. Na końcu przepłukuje się gorącą wodą i wlewa się w lniane woreczki, specjalnie tkane. Następnie woreczki prasuje się pod prasą i wtedy rtęć przechodzi przez pory woreczka, a złoto zostaje w środku. Co dalej się z tym dzieło, to jest już tajemnicą bo zabierały to wojska NKWD. Technologia pozyskiwania złota rudnego, w fabryce im. Motrosowa, oparta była na patencie USA. Część wyposażenia technologicznego posiadała oznaczenie w języku angielskim.

Pulpa oczyszczona z większych ziarn złota była jeszcze raz rozcieńczona i puszczana na specjalne stoły wyłożone blachą miedzianą nacierane rtęcią. Była to ostatnia możliwość na pozyskanie złota z tych odpadów, które mają być odprowadzone poza teren fabryki.

W fabryce pracowali wolni - po 3 x 8 godzin, ale więźniowie przychodzili na 12 godzin - w fabryce 8 godzin i 4 godziny roboty na rzecz fabryki. Wolnym kierownikiem naszej zmiany była kobieta, Zabłockaja. Nie przyznawała się do polskości, ale po polsku świetnie rozumiała.

Każda zmiana musiała sobie przygotować wszystko na następny dzień. Dochodziło do tego dojście do obozu - ok. 4 km piechotą z konwojem.

Przy pracy na stołach wibracyjnych moje ręce były w opłakanym stanie. Skóra moczona przez cały dzień w wodzie była poraniona, rozmoczona, bez czucia.

Po 2 - 3 miesiącach pracy na stołach /pracowałem przy stole za 1-ym młynem/ był remont - kolejno wszystkich młynów i stołów. Musiałem przerwać pracę na tym odcinku. W tym czasie udało mi się nawiązać kontakt ze spawaczem w fabryce, który mnie trochę

nauczył spawania, zacząłem pracować jako jego pomocnik. Była to praca uważana za dużo lepszą i lżejszą niż przy stołach. Należało tylko chronić się przed zapaleniem spojówek /nosząc przydymione szkiełka/ i umieć ewentualnie się z nich wyleczyć. Była to jednak prosta sprawa: pakowano pod powieki szare mydło. Następował piekелny ból, ale potem można było normalnie patrzeć. Szkiełka często robiło się samemu, łącząc dwa okopcone szkiełka - kopciem od środka - i sklejając je gumą.

*0 052
im. Kłobaczewski*

W okresie remontu udało mi się coś samemu zaspawać i miałem nadzieję, że już nie wrócę do tej mokrej roboty. W mojej brygadzie było dużo Ukraińców, kilku Białorusinów, a w obozie: Węgrów, Niemców, Koreańczyków, Japończyków, Łotyszów, Estończyków, Hiszpanów /od 36 r./. Polaków też było kilku, ale trzeba było ich poszukać.

Po remoncie trafiłem niestety nie do spawania, ale do beczek, czyli na ten ostatni etap przeróbki złota - tworzenia amalgamatu. Do ostatniego etapu - wyciskania rtęci z woreczka - przychodził wolny. Z zewnątrz, więc była możliwość bliskiego kontaktu.

Przy beczkach praca była też ciężka, bo wiadro koncentratu ważyło ok. 30 kg, ale jak się beczki załadowało, było trochę wolnego czasu. Była to jedyna okazja, żeby z kimś porozmawiać, nawiązać kontakty. Wszyscy więźniowie mają tylko numery - brak nazwisk, akcent dawał możliwość rozpoznania współwięźnia. Konwój nie wchodził na teren fabryki. Tam byli tylko wolni i więźniowie, pracujący rotacyjnie przy różnych etapach produkcji pozyskiwania złota.

"C1" wolni byli tak samo więźniami jak my, tyle, że mieli wolny przydział jedzenia oraz mieszkania poza obozem. Nie mieli wyroków, ale wyjechać z Kołymy nie mogli, bo to było "pań-

dyscypliny. Jak było to zachowane, człowiek ten nie poszedł na wysypisko śmieci szukać odpadków jedzenia, nie poszedł wylizywać talerzy - bo to jest już degradacja, kierunek do ziemi - drabina do zakończenia życia na wysypisku. Głód jest rzeczą, która może zmusić do wszystkiego, ale jednocześnie trzeba było wiedzieć, że jeśli się nie najem, to wolę umierać na stojąco niż na kolanach. To była mądrość wypływająca z doświadczeń. W obozie wołałem komuś zabrać, jeśli miał więcej, niż iść na śmietnik. Lepiej było iść do zapasionej kucharki i zmusić go, żeby mnie zapamiętał a w okienku podawał mi dużo i gęsto. Konsekwencje tego mogły być różne, ale ja tak wołałem. W obozie - jak w każdym społeczeństwie - nie było równości. Tam gdzie nie można dostać, to trzeba wymusić. I tak robiłem. Chętnie nosiłem wodę w nocy - w fabryce złota. Nawiązałem kontakt z Łotyszem i Estończykiem, którzy w nocy pracowali w kuchni. W dzień spali w fabryce, więc ja musiałem kombinować aby oni wyrabiali swoją normę i dostawali swoje jedzenie - i to mi się udawało.

Jest rok 50 - w obozie przy kopalni jestem już pół roku. W ostatniej fazie pracy wylądowałem przy amalgamacie - bardzo ciężkiej pracy, przy kręceniu bębnow z rtęcią. Często trzeba było zostawać dłużej, żeby wyrobić normę. Od czasu do czasu dostajemy wynagrodzenia, które są gdzieś na karteczce zapisywane możemy kupić machorkę albo cukierki. Wprowadzono już też "zacioty" - za pracę ponad normę /zależało to od ilości złota uzyskanego przez całą brygadę, a przede wszystkim od zawartości złota w rudzie otrzymanego z kopalni/. W skali miesiąca obliczało się, ile dana brygada otrzymała złota. Przerabiało się lepszą albo gorszą rudę - zacioty były różne. Była to zachęta, żeby ludzie dali z siebie wszystko - od tego zależało, czy się człowiek wcześniej zwolni. Myśmy już byli wkręcani w tryb całej maszyny - byliśmy jej

częścią, tu już nie można było się wykręcić, bo traciła nie tylko brygada, ale cały zespół pracowników fabryki. Ludzie, którzy mieli tylko rok do odsiedzenia, chcieli mieć tych "zacziotów" jak najwięcej.

VI B. Pracując w brygadzie już nie można było myśleć tylko o sobie. Pracując przy beczkach - w ostatnim procesie rozdrabniania pulpy ze złotem, należało beczkę zakręcić pokrywą tak, aby rtęć nie wylatywała. Zmora było to zamykanie beczek. Zakręcając luk beczki trzeba było opierać się o nią kolanami, żeby dobrze przytrzymać i mieć opór do klucza. Po pewnym czasie moja prawa noga spuchła jak bania, odgniotłem sobie kolano, w którym pojawiła się woda. Nie bolało mnie, ale przeszkadzało w chodzeniu. Poszedłem do "sanczasti", gdzie mi powiedzieli, że to jest cynga odmiana skorbutu. Trafiliem do ambulatorium, powiedziałem, że noga mnie boli, chociaż nie bolała i zacząłem udawać, że kulęję. Położyli mnie i ściągnęli wodę razem z krwią /był tam felczer - Koreańczyk z Mandżurii, mieszaniec/. Po 6 dniach leżenia dostałem nawet czyste prześcieradło. Ten "felczer" doktor chirurg z wykształcenia z racji "swoich przestępstw" mógł być tylko felczerem. Bardzo pomagał chorym. Podeszedł do mnie, pięknie mówił po rosyjsku, wypytał mnie, kim jestem, za co siedzę, dobrze był zorientowany odnośnie sytuacji Polski. Zapytał wprost co mi jest - czy przypadkiem nie symuluję - jak ma mnie leczyć. Zorientował się, że nie jest to cynga, ale muszę mu powiedzieć, jak to się stało. A ja miałem jeszcze bóle w boku - po urazie w Powstaniu - teraz ból ten zaczął mi się odzywać. On stwierdził, że w tym boku też mam wodę. Powiedziałem mu prawdę, że to noga mnie nie boli, ale sam sobie tego nie zrobiłem. Potem zresztą dostałem też temperatury i zaczął mnie leczyć chirurg, tranem /którym leczono kurzą ślepotę/ i wywarem ze słonnika /koso-

drzewina/ oraz chininą. Powiedziano mi, że mogą mnie zwolnić do baraku, ale jeszcze przez jakiś czas muszę przychodzić do ambulatorium po tran i słonnik. Przez ten czas byłem na zwolnieniu. Po 12 dniach wodę w kolanie usunięto, ale w boku jeszcze była. Po 2 tygodniach kuracji musiałem wrócić do pracy.

Koreańczyk prosił mnie, czy mogę przynieść wapna z fabryki do odnowienia ambulatorium. Wapno było przywożone z centralnej Rosji wyłącznie do produkcji złota i nie nikogo nie obchodziło jakiegoś ambulatorium - oficjalnie lekarz nie mógł go dostać. Felczer chciał się utrzymać w ambulatorium i musiał się jakoś zasłużyć, w mentalności sowieckiej jest takie przysłowie: "Wypieprz, a powiedz, że znalazłeś".

Zgodziłem się pod warunkiem, że mi zorganizuje kałesony, żeby móc w nogawkach spodni wynieść wapno z fabryki. Kałesony dostałem, poszedłem do pracy i zacząłem kombinować, jak ukraść "to" wapno. Znaczyło to bowiem wrzucenie mniejszej jego ilości do beczki, a tym samym - otrzymanie mniejszej ilości złota, czyli mniejszą normę; moja korzyść a strata wszystkich. Doszliśmy do wniosku, że wapno można ukraść z magazynu, ale magazyn jest wewnątrz zamknięty. Udało się nam po miesiącu zorganizować pierwszy transport wapna do obozu. Technika przynoszenia wapna do obozu między spodniami a kałesonami była specjalna - żeby w razie rewizji nie wymabali. Za jednym razem przenosiliśmy 1,5 - 2 kg wapna hydratyzowanego, mielonego. W akcję włamania do magazynu i do wynoszenia wapna, wciągnąłem Łotysza i Estończyka. W tym czasie chodziłem do ambulatorium po swoją porcję "lewego" tranu i jednocześnie pomagałem rozdawać go innym, znajomym dawałem więcej. Do tranu trzeba było przyzwyczajać żołądek, żeby nie dostało się biegunki. Po pewnym czasie wszyscy mieli porządkowy zastrzyk witamin. Potem zorganizowałem żarówkę dla ambulatorio-

rium itd. więc kontakty były dobre i nawet, jak człowiek był bardzo zmęczony, udawało się załatwić zwolnienie.

W tym czasie dowiedziałem się, że w obozie jest Polak - inżynier chemik z Łodzi - Fedler /nie wrócił ze mną/. Przez niego poznałem Hiszpanów, którzy po wojnie z Franco przyjechali do ZSRR i znaleźli się na Kołymie. Fedler był pasjonatem opery w wolnym czasie /raz w miesiącu/ starał się rozmawiać o różnych sprawach, żeby umysły ludzi nie były zajęte tylko obozem. Poznałem też innych Polaków - Poradę /krótko był w fabryce/. Innych nie pamiętam.

Współżycie z różnymi więźniami o różnych narodowościach układało się raz dobrze raz źle. Były i waśnie. Ludzie trzymali się razem, ale "kum" nie dopuszczał do tego, aby brygada była złożona z ludzi o jednej narodowości - bali się porozumienia i więzi między ludzką. Pogardliwym było określenie "chachoł" - co oznaczało Ukraińca, bez względu na to, z której Ukrainy pochodził. Ta narodowość nie cieszyła się życzliwością. M.in. wiadomo było, że jeśli ktoś zakapował, to był to prawdopodobnie "chachoł".

W 1951 r. przyszedł okres remontu kolejki linowej do fabryki i dostawy rudy odbywały się transportem samochodowym - żeby utrzymać plan wydobywania. Kierowcy byli na wolnej zsyłce /byli jeńcy rosyjscy z Niemiec, nie wsadzano ich do obozu, byli zsyłani - w tym czasie już nie sądzono/. Ci na zsyłce sami musieli dbać o swoje warunki życia: mieszkanie, jedzenie, ubranie itp. I w tym sensie mieli gorzej niż my. Był to jednak dla nas kontakt z wolnymi, z którymi można było handlować - machorkę czy sól, tłuszcz np. za wapno, gwoździe, które wynosiliśmy z magazynu /gdzie im nie wolno było wchodzić/. W umówionym miejscu kładło się to, co im było potrzebne, a oni zostawiali to, co myśmy chcieli. Handel wymienny kwitł, tu ginie żarówka, tam gdzieś wap-

no... Po pewnym czasie wzywa mnie "kum" i mówi, że wie, że organizowałem kradzież z magazynu. /Pilnowana była strefa fabryki, a magazyn stał wewnątrz zamknięty na kłódkę i zaplombowany. Udawało się nam podrabiać klucze i plomby/. Doniósł o tym brygadziście, typując - zresztą trafnie - mnie. Rewizję zrobili w moim posłaniu, ale oczywiście nic nie znaleźli. Powiedziałem, że nic nie wiem, że to pomyłka. Ostrzegli mnie, że udowodnią mi to i zaczną od zera wyroku. Najwięcej im chodziło o to - komu ja to daję. Po 3 - 4 dniach takiego śledztwa po pracy i siedzenia w karczerze - wywołałem u siebie temperaturę - sodą - i poszedłem do ambulatorium. Felczer wiedział już wtedy, że mnie stamtąd wywiozą i dał mi gryps do obozu kopalnianego - do kolegi z ambulatorium /Rosjanina chirurga/. Miałem iść do niego, gdyby było mi bardzo ciężko. Gdybym stracił gryps - miałem ustnie powołać się na Felczera /Koreańczyka/.

W grupach łączyli się ludzie różnych narodowości - po prostu ludzi, którzy razem spali, pracowali i umieli się dogadać. Na mojej zmianie w fabryce byli Ukraińcy, Łotysze, 3 Rosjan, Estońscy... Z Polakami rzadko się spotykałem tylko w wolnych dniach. Z Ukraińcami nie było wielkiej sympatii - jak ich było 2 - 3, to przyznali się do znajomości polskiego i Polski, ale jak ich było więcej - to już byli tylko Ukraińcami i już po polsku nie rozumieli. Z nimi nie robiło się żadnych szwindli, nie było zaufania, tylko wzajemna tolerancja. Przez Ukraińca przecież zostałem wysłany na kopalnię, która zaopatrywała fabrykę w rudę.

VII A. Usytuowanie kombinatu pozyskującego złoto z rudy znajdowało się między trzema dużymi górami, obóz, kopalnia i fabryka były w kotlinie - w dawnym korycie rzeki. Fabryka była od kopalni oddalona o 7 km za górą. Ruda była transportowana ko-

lejką linową. Obóz był w kotlinie i budujące się osiedla dla straży i oficerów z rodzinami /NKWD/.

Ruda z kolejki była wysypywana do specjalnego bunkra i tam następował proces zagniatania, mielenia rudy. Tam też pobierano próbki złota - jaki procent - i tam następował rozdział zgniecionej skały do innych bunkrów, o różnych zawartościach złota, a potem do fabryki. Wszystko było w gestii NKWD, o Dalstroju nie słyszałem. Szefem produkcji u nas była pani Zabłocka /nie przyznająca się do znajomości polskiego/ i 2 - 3 wolnych ludzi.

Kopalnia była otoczona drutem i strażnikami. Ludzie wolni mieszkali w osiedlu o 2 - 3 km od fabryki. Osiedle było w pobliżu obozu, ale mniejsze niż obóz. W obozie było ok. 3 tys. osób, w osiedlu dużo mniej. Wszystkie materiały były przywożone tylko transportem kołowym. Lotniska nie było. Fabrykę i montaż produkcyjny budowali podobno Amerykanie oraz porządniejsze baraki w osiedlu. Osiedle rozrastało się przy drodze między fabryką a obozem. W 1951 r. przywieźli wielu wolnych ludzi po technikach geologicznych, z nakazami pracy. Pojawiło się też trochę kobiet. Na naszej zmianie były młode dziewczyny z Leningradu.

Barak w obozie dzielił się na dwie części, w każdej sali mieszkało po 100 osób. Pośrodku była tzw. suszarnia, bo często wracaliśmy w mokrych ubraniach - i to była jedna z największych plag. Od 1950 r. mieliśmy już materace i zaczęto dbać o ludzi. Dostawaliśmy koszule lniane, czasem kałasony, buszkaty, fufajki. Jak ubranie było mokre, to spało się w mokrym i suszyło się sobą. "Dniwalny" musiał wszystkich rzeczy pilnować, żeby nic z rzeczy osobistych - tzn. onuce, rękawice, czy kawałek chleba - nikomu nie zginęło. Wytwarzała się więź między ludźmi, dobrowolnie przestrzegano reguł: za kradzież z wymienionych rzeczy można było człowieka udusić. Takie było prawo obozowe. Obcy nie mógł buszować po sali.

W oborach staraliśmy się obchodzić usay
- 49 - ^{uamie święta - brygady}
na piekło i losów

Nasz obóz był najbliżej Indygirki /Ust'Nery/. W czasie pracy w fabryce spotkałem w ambulatorium, w czasie Wigilii 1950 r., Polaka, znajomego z ul. Chłodnej. Staraliśmy się ^{Zobacz} Wigilię, obchodzić uroczystie na przekór losowi. Kromka chleba służyła jako opłatek. Tradycje trzymały przy życiu. Trwało to pół godziny lub godzinę, bo jednak "gumowe uszy" istniały. Robiliśmy to czasem nawet w stołówce - ustawialiśmy się w kolejce po chleb czy zupę tak, aby być wśród swoich. Byli tam i Ukraińcy, i Białorusini - z naszych ziem - prawosławni i greko-katolicy. Wtedy wszelkie wartości zanikały. W obozie przy kopalni "Matrosowa" trudno było zorganizować "przyjęcie" w baraku, wieczorem, byliśmy za bardzo inwigilowani. Ten mój rodak z Warszawy obywatel rybą karmiony, siedział za głupie sprawy. W 1939 r. uciekł z Warszawy z rodziną. Dotarli na teren ZSRR i przyjęli obywatelstwo radzieckie. I w 1941 r. był w Kazachstanie, stworzył grupę walczącą z pluskwami - jako wolni. Jak był nabór do armii Andersa, to przypomniał sobie, że jest Polakiem i napisał podanie. Wezwali go do wojskowego biura werbunkowego i wręczyli mu § 58, p. 1 - zdrada ojczyzny - i dostał 10 lat. W 1952 r. sąd cywilny dołożył mu jeszcze 5 lat /widocznie poprzednio za mało dostał/. W obozie prowadził brygadę cieśli - budowali pomieszczenia dla obozu.

Z przedłużeniem wyroku zetknąłem się już w Orszy - w obozie przejściowym. Tam spotkałem Polaka z Białorusi, który w 1937 r. za kolizję z prawem w Polsce uciekł do ZSRR /prawdopodobnie był komunistą/. I tam dostał 8 lat. Dla osób, które były sądzone przez cywilne sądy były 2 rodzaje zatrzymania: osoboje sowerszanie i 3-osobowy sąd miejski. Z minimum 5-letnim wyrokiem lub nie daje wyroku, akta wędrują do O.S. tzn. do specjalnego rozkazu - dożywocie.

VII B. Najwięcej klął konwój /ubliżając religii, Bogu/, kryminalni - nie związane z religią. Z prawosławnych mniej się wyśmiewano nie prześladowano też muzułmanów, najczęściej - ze Świadków Jehowy. Może to związane było z tym, że im nie wolno było walczyć - nie służyli w wojsku. Dlatego też żołnierze najczęściej im dokuczali. Była też zazdrość wobec nas, że na Święta potrafiliśmy się zebrać razem i jakoś je spędzić. Nawet umieliśmy wyliczyć, kiedy była Wielkanoc. To było nam potrzebne. Im więcej człowiek cierpi, tym więcej się modli i czeka na zbawienie. Wtedy jest walka rozsądku z wiarą, buntuje się człowiek przeciwko głodowi i zmęczeniu. W chwilach załamania u mnie decydował raczej upór - że ja muszę to przejść. Jak człowiek przekroczy jakąś granicę, na pewno podziękował Temu, który cudem pomógł przeżyć. Po ciężkich przeżyciach często ludzie odchodzą jednak od wiary, ale coś zawsze zostaje: "jak trwoga to do Boga". Myśli człowieka nikt nie mógł ukraść, więc marzenia i tradycje zostawały i to było ważne. Jeśli chcemy się nazywać ludźmi, to musimy pamiętać o tym, że kryteria dla człowieka wymyślili ludzie. W obozie głód znaczył strach. Głód był najsilniejszym orężem w walce z nami. Pierwsze moje słowa po powrocie do domu /mama zawsze wierzyła, że ja żyję/, było podziękowanie, że mnie karmiła piersią. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, pewnie słyszałem, że dzieci karmione piersią były silniejsze i zdrowsze. Chciałem coś powiedzieć matce, a trudno było - wata w gardle - ale coś musiałem bliskiego powiedzieć. Tylko to mi przyszło do głowy: podziękowanie.

Pewnego dnia wyprowadzają mnie i innych do pracy, jestem już za pierwszą zoną, wywożują mnie - już nie mam powrotu do baraku, nic swojego nie mogę już zabrać. Piechotą kazał mi iść do kopalni - ok. 7 km - był to kwiecień - maj 1952 r. Zamknęli

Wigilijne
turydy
nawiedziła
zachodziła
nam

Polakom
ze potrafił
się uciekać
razem z
odchodzić
je umyć
na przesł
losow.

W Wigili
winną chleb
słyną jako
opłatek

mnie do karceru - ze śniegiem W tym czasie byłem sam, ale na szczęście niedługo, jeden dzień, bo jak jeden siedzi w karcerze, to jest śmierć - z przemarznięcia.

VIII A. Naczelnik tego obozu powiedział, że przyszło za mną polecenie, że mam pracować na ciężkich robotach pod ziemią, ale on może mi dać lżejszą pracę, jeśli odpowiem mu na to, o co mnie pytali w poprzednim obozie. Powiedziałem mu, że to była pomyłka, że brygadzysta niesłusznie mnie oskarżył. Stwierdził, że jest przekonany, że mówię nieprawdę i od jutra mam się zgłosić do brygady górników i przez 2 tygodnie będę pracował jako pomocnik górnika obsługującego młot pneumatyczny. Potem będę musiał sam borować dziury. Jeśli normy nie wyrobię - to będę nocował w karcerze. W obozie tym baraki zamykano później, nie po apelu, ale 2 godziny później. Fama poszła po obozie, że przywieźli kogoś z innego obozu - więc jest to "wtyczka" albo coś innego "śmierdzącego". Przenocowałem w baraku na gołych narach - bo jeszcze nic nie dostałem. Rano przydzielili mnie do brygady chochoła z Kijowa. Była zasada, że górnik, który boruje wychowa sobie następcę, wówczas odchodzi od tej pracy gdyż przy obsłudze młota po 6 miesiącach występuje pylica.

Siedzę na narach i myślę, co robić - czy iść już do ambulatorium z tym grypsem czy jeszcze poczekać. Przychodzi do mnie jakiś facet i po polsku pyta - ile siedzę, kiedy wychodzę itp. Okazało się, że siedzi już od 1944 r.; pracuje jako geodeta i ma szansę niedługo wyjść bo już mu się kończy wyrok /miał 6 czy 7 lat/. Radził mi, żebym na kopalni nie dostał się do "borowania" bo nie wytrzymam. Był to p. Tadeusz Siczek /pilot/, mieszka teraz w Gdańsku.

Kilka uwag o pracy w fabryce i dzieleniu się złotem w brygadzie - żeby wyrobić normę miesiąca. Kilo złota, kilo herbaty

i litr spirytusu to była jedna cena. A od normy był zależny deputat - kartki na wszystko - również dla wolnych. Zbliżał się koniec wyroku, trzeba było myśleć, jak się będzie dalej żyło. I to było może straszniejsze, niż na początku wyroku. Wtedy miałem przed sobą 10 lat, wiedziałem, muszę starać się przeżyć, jak najmniej pracując i zdobywać więcej jedzenia - i pozostać człowiekiem. Nauczyłem się trochę spawać. Przecinało się dużą rurę i w zespawane dwie rury wlewaliśmy rtęć, która przechwytywała złoto. Dużą rurę można było zespawać z powrotem, a to co było w tym odcinku zespawanej rury zostawało i czasem część złota udawało nam się uzyskać i schować do woreczka. Byliśmy w dobrych stosunkach z kierownikiem zmiany /wolnym/ i on chcąc wyrobić normę proponował nam nawet część swojego przydziału alkoholu czy papierosów. Od tej "normy" zależało uzyskanie mieszkania, awans itp.

Ci kontraktowi trzymali się tej Kołymy, bo tam jednak można było zarobić i jakoś się urządzić, a tam, skąd przyjeżdżali, panowała nędza. Była taka anegdota, jak któryś z więźniów napisał do matki na "matiernik" - że jest zdrow, ale nie chciał pisać, że jest więźniem, więc napisał, że "urządził się na 350 g chleba". Matka mu odpisała, że się cieszy i czy nie mógłby "urządzić" młodszego brata na 125 g?

Na początku nie było możliwości robienia zapasów - ani potrzeby, ale czas upływał nieubłaganie. Już po 5 latach przebywania w więzieniu nabywało się doświadczenie: należało nie dawać sobie "w kaszę dmuchać". Zaczęto naliczać zaczioty, więc zaczęto liczyć do końca wyroku. A w kopalni trudno było wykombinować jedzenie. Nie opuszczały nas też myśli co będzie po zwolnieniu. I co dalej? Co się będzie robiło - gdzie, z kim? Powoli się coś zbierało: czapkę, onuce, rękawice itp. Z onucy można było stworzyć wszystko: szalik, spodnie itp. Za kradzież onucy gro-

ziła śmierć - bez odpowiedzialności, tak jak za chleb czy rękawice.

W kopalni jakiś czas pracowałem w grupie wiertaczy. Wierciliśmy w bazaltach, w ogromnym pyłe. Praca była w sztolniach - w poziomych chodnikach. Po 2 tygodniach powiedziałem, że wiercić nie będę i zabrali mnie do karceru. Potem udałem się do ambulatorium z grypssem od lekarza z fabryki. Tutejszy lekarz powiedział, że nic na razie nie może mi pomóc, muszę iść na "rozwód" i krzyczeć, że jestem chory. I tak się stało. Lekarz sprowadził mnie do ambulatorium i okazało się, że mam żółtaczkę. Leżałem 6 tygodni. Popijałem tran, zrobiłem się bardzo "mordziasty" i nikt nie wierzył, że jestem ciężko chory. Po wyjściu dostałem jednak zaświadczenie, że nie mogę pracować jako wiertacz, bo mam wątrobę ciężko uszkodzoną i mogę pracować tylko na powierzchni.

Wysłali mnie na tzw. kratę - po odpaleniu ładunku w sztolniach, urobek wywożono wagonikami do bunkra. Krata to był bunkier, do którego wysypywano urobek przewidziany do transportu kolejką linową. Przed tą kratą należało rozbijać skałę na drobniejsze kawałki, aby przeszły przez oczko kraty w bunkrze i nie blokowały transportu.

VIII B. Boże Narodzenie w 52 spędzałem w ambulatorium. Zostało do końca wyroku 2 lata minus zacioty, więc w sumie jeden rok w tej sytuacji. Taki człowiek jak ja po odsiedzeniu 80% wyroku miał w obozie respekt, bo jak się komuś udało przeżyć tyle lat, to nie musiał tak ciężko pracować. Chociaż naczelnik tego chciał, a ochrona dziwiła się, że on jeszcze żyje i myślała jak go zniszczyć. Trzeba było to różnie perswadować i były z tego powodu różne konflikty. Np. jak ktoś kazał mi ciężko pracować to mówiłem, żeby mi pokazał jak to się robi. Jak pokazał, to ja powiedziałem, żeby tak dalej robił skoro umie, bo ja tak nie będę.

Jeśli mnie zmuszał to albo musiałem go zmusić do zmiany stanowiska, albo ciężko uszkodzić. W tych twardych warunkach inaczej nie można było postępować. Tłumaczyć mogłem swojemu redaktorowi, ale jak się trafiło na Uzbeków czy Kirgizów, którzy mieli po 25 lat i czasem się nawet chwalili ilu Polaków zabili, reagować należało inaczej /oni walczyli we Włoszech - w SS/. Taką różnicę zdań trzeba było wyjaśniać, że ja nie będę pracował. Całe szczęście, że podczas takiej argumentacji, młotek przeleciał za moją głowę i tylko dostałem trzonkiem. Ja musiałem lepiej celować, bo inaczej za drugim razem lepiej by mierzył. Uzbek kazał mi w duży mróz pracować. Wystarczyło, żeby dwóch ludzi pracowało na zmianę, reszta mogła się trochę grzać przy ogniu. W fabryce pracowało się nawet przy bardzo dużych mrozach, bo sztolnie były zakryte, za wyjątkiem naszej grupy przy kracie, która pracowała na powierzchni.

Po tej walce mieliśmy trochę pokiereszowane głowy. Ja poszedłem do kopalni - żeby się schować i znaleźć swoich do obrony, bo tamci mogli mnie przez kratę przepuścić na taśmociąg. Chłopcy mi pomogli. Okazało się, że w sztolni dozorem technicznym szyn zajmują się Polacy - m.in. Sieszek. /Był w kadrze technicznej/. Inni Polacy byli ze Lwowa. Chłopcy odprowadzili mnie do obozu - ok. 2 km. Tam czekał już "kum", tego swojego Uzbeka nie widzę - i jest przesłuchanie. Pytają, co się stało w kopalni. Widzi moją głowę, mówię, że upadłem. "Kum" wątpił, ale nie przyznałem się do żadnej bijatyki ani do niczego. On mówił, że nie wierzy, że była bójka. Ja dalej się nie przyznaję i udaję, że dobrze nie rozumiem po rosyjsku. Odszukali Uzbeka, ale ten też się nie przyznał do żadnego ze mną zatargu. Efekt był taki, że po kolacji obozowej, Uzbek, brygadzieta i ja dostaliśmy dodatkową kolację - po terminie. Jak dochodziliśmy do mojego baraku brygadzieta

powiedział do mnie: "Mołodziec". Całą noc nie spałem, bo mnie bolała głowa ale do pracy się stawiłem i dopiero przy kracie brygadzysta do mnie podszedł i zaczął wyjaśniać, że nie wiedzieli kim jestem, ile siedzę i za co. Że wszystko jest w porządku i że mogę wcale nie pracować. Jak będzie ci się działo krzywda to masz w nas przyjaciół. I tak się zaczęły poprawne stosunki moje w tej grupie. Później Uzbegy okazywali też respekt wobec innych Polaków. Co prawda pracowałem trochę, ale wtedy, kiedy miałem chęć i żeby nie zamarznąć.

Normę w fabryce obliczała moja pani Zabłocka, która mi "zalaża" za skórę. Ona była wolna i chyba pracowała w NKWD. Dzięki niej i temu brygadziście przeniesiono mnie do kopalni, chociaż byłem dobrym specjalistą od złota i reserowania. Zabłocka była w fabryce chyba już od 8 lat, ale do końca nie wiedziała jak pozyskujemy złoto poza programem.

Przy kracie pracowałem od 1952 r. w zimie /po przebywaniu w ambulatorium/ do końca czyli do 1953 r.

IX A. Przesyłanie rudy z kopalni do fabryki i wykonanie normy przez fabrykę było uzależnione od ilości i jakości rudy przesyłanej z kopalni. Fabryka wysyłała telefonicznie zapotrzebowanie na jakość rudy /tzn. procencie zawartości złota/ i taką rudę kopalnia wysyłała. Mszcząc się trochę na pani Zabłockiej i innych wypuszczałem skałę bez złota. Nie zawsze się to udawało, bo w fabryce też było laboratorium i często interweniowali. Wtedy żądowało się dobrą rudę, ale jednak kilkanaście ton tej skały "pustej" poleciało i z tego mieli mniejszy procent.

Po incydencie z Uzbekami pracowałem już spokojnie przy kracie. Udało mi się nawet kupić parę onuc, z których uszyłem koszulkę, czapkę. Miałem walizeczkę z dykty, więźniowie pomagali

mi przygotować się do "wolności". Jednak niepokój trwał, bo zaczynało się już myśleć o domu, założeniu rodziny itp. - o pracy, mieszkaniu. Nie było kogo się poradzić, bo nie było kontaktu z tymi, którzy już wyszli.

W marcu 1953 r. zaczęły wyc syreny, apel - wiadomość o śmierci Stalina - Wielkiego Ojca. Zafalowało, zaczęły się przekleństwa, nie było żadnej reakcji ze strony NKWD-zistów. Nie zapędzano już do baraków. Można było czekać aż do "rozwołu" rozmawiając swobodnie między sobą. Żadnego żalu nikt nie odczuwał.

Jeszcze przed śmiercią Stalina pojawiły się głośniki w salach, przez które nadawano muzykę. I przez te głośniki usłyszeliśmy też o zgładzeniu Berii - to była wielka radość. Wcześniej pierwszą polską piosenkę usłyszałem w baraku w czasie transmisji, którą śpiewała Kostrzewska na koncercie teatru polskiego w Moskwie dla Stalina - arię z "Rosemarie". Nie mogłem tego zrozumieć.

IX B. Po śmierci Stalina trochę zelżało. Konwój przestał pokrzykiwać na więźniów i psy trzymali z daleka - nie puszczali ich dla "draki" żeby któryś złapał więźnia za rękę. Ci NKWD-ziści byli zagubieni, zaczęli szukać kontaktu z więźniami.

W czerwcu 1953 r. miałem już zezwolenie na niestrzyżenie włosów na łysą pałę, co znaczyło, że jestem już kandydatem do wyjścia na wolność. Pewnego dnia jest jakieś zamieszanie i mówią, że przyjechał prokurator. Kiedy szykowaliśmy się do wyjścia do kopalni, podpułkownik z białymi naramiennikami wyczytuje listę - i pada moje nazwisko. Mamy wystąpić, ale nie wiemy po co i co się dzieje. Wyprowadzili nas za drugą zonę, tzn. że nie możemy już wrócić do obozu. Między wyczytanymi nazwiskami było kilku Japończyków, Holender, 2 - 3 Polaków, paru Hiszpanów, Węgrzy, Rumuni, w sumie około 50 osób. Przyszedł pan pułkownik i powie-

dział, że ponieważ słyszeliśmy o śmierci Berii /szpiega/ i Stalina a Beria chciał narody skłócić i wsadzał winnych i niewinnych - my jesteśmy grupą niewinnych, więc będziemy odesłani do Moskwy. Już nie wrócimy do obozu. Zaprowadzili nas do łaźni, zabrali stare ubrania i dostaliśmy nie swoje "nowe" dreluchy, buty, onuce i koszulę. Zaprowadzili nas do świetlicy i tam przemocowaliśmy. Rano przyszedł nowy konwój. Już nie mieliśmy numerów. Dano nam produkty na drogę - po pół bochenka chleba. Wsadzono nas do 3 samochodów. Gdybyśmy jechali na lewo, to by znaczyło, że jedziemy nad Indygirkę i że pułkownik kłamał. Ale stwierdziliśmy, że jedziemy na prawo - czyli w kierunku Magadanu - więc chyba mówił prawdę. Ten pułkownik transportował nas aż do Połny. Po godzinie jazdy wypuścili nas za swoją potrzebą. Droga była ciężka i bardzo trzęsko. Chleb się zjadło od razu potem było pragnienie gdyż się zaczęło lato. Ja z chlebem "na stole" w obozie nigdy się nie spotkałem. Po drodze zatrzymaliśmy się na noc w jakimś obozie. Dali nam nawet gęstą bałandę z olejem. Tam się dowiedziałem, że jest to kopalnia uranu /było też paru Polaków/. Więźniowie tam pracujący początkowo nawet nie wiezieli co pozyskują, co to było? Jakaś żyła z fioletowym mułem /później zorientowaliśmy się, że to był uran/. Ale warunki w tym obozie, a przynajmniej jedzenie były lepsze niż w "Matresowie". Wg opowiadań odbywała tam się inna eksploatacja i technika pozyskania kopalin niż w kopalniach złota czy kasyterytu. Największe straty w ludziach były w czasie eksploatacji "tej" żyły gdyż więźniowie szli za nią w wąskich długich tunelach - nie odpalało się tam dużej ilości skały jak przy rudzie złota.

Jak jeszcze byliśmy w obozie przy fabryce, to dowiedzieliśmy się od wolnych kierowców, że niedaleko nas jest obóz ludzi wolnych którzy budowali fabrykę na Ukrainie, która potem została zato-

piona. I dlatego, żeby nikt o tym nie dowiedział się, to ich wieźli aż po Kołymę. Zastanawialiśmy się, po co wybudowaną fabrykę zatopiono?

Na drugi dzień nakarmiono nas i przyjechaliśmy do Magadanu. Przeliczono po nazwisku wszystkich wraz z imieniem ojca. Następnie zaprowadzono do obozu przesyłkowego. Zaczęliśmy szukać "naszych". Było tam trochę chłopców ze Lwowa i z Wileńszczyzny, ale z Warszawy - nie. W obozie było ok. 300 osób /z kopalni przyjechało ok. 50 osób/. Trzymano nas tam dwa tygodnie. Po pewnym czasie spotkałem Majewskiego, który miał wytatuowane "AL". Pochodził z Warszawy i mówił, że brał udział w Powstaniu. Wytatował sobie "AL" żeby po powrocie być bohaterem. Poprzez druty zobaczyłem dziewczyny i pobrałem Krysę Zajączkowską. Udało nam się dostać do zony, w której ona pracowała i nawiązać z nią kontakt. Spotkanie było dziwne, od 10 lat nie trzymałem dziewczyny za rękę. Ale wychowanie zrobiło swoje i przy powitaniu ucałowałem jej rękę.

XA. Strażnik, który zobaczył, że ją pocałowałem w rękę-więźniarkę, spytał czy to moja siostra. Odpowiedziałem, że kuzynka. Przywitałem się też z Łotyszką - towarzyszką Krysi. Dowiedziałem się, że Krysia pochodzi z Wileńszczyzny, pytała czy przypadkiem nie spotkałem jej brata w obozach, przez które przechodziłem. Ona otrzymywała listy z rodzinnych stron i wiedziała, że jej brat jest gdzieś na Kołymie. Podała mi adres siostry i matki, które mieszkają w Gdańsku-Wrzeszczu. Krysia miała długie włosy, polska dziewczyna. Czekająca na koniec wyroku. Prosiła, żebyśmy dali znać jej rodzinie, jeśli będziemy wcześniej w Polsce i żeby o bracie nie wspominać, bo matka wierzy, że on żyje. Po 2 - 3 dniach Krysia wezwała mnie przez druty i prosiła, że chce przekazać matce przeze mnie pukiel włosów /bardzo ładne, blond/

i krzyżyk zrobiony z kawałka szczoteczki do zębów. Starą się przekazać mi informacje o Łotyszce, ale nie pamiętam jej danych, bo wiedziałem, że na Łotwie nie będę.

W tym obozie odsegregowali od nas wszystkich Azjatów, Japończyków, Koreańczyków, Chińczyków. Statek był gotowy. Najwięcej w naszej grupie było Rumunów, trochę Węgrów. Wypłynęliśmy na przełomie czerwca i lipca 1953 r. Płynęliśmy statkiem pasażerskim /nazwy nie pamiętam/. Przedtem mieliśmy kwarantannę. Wszystkich ostrzyżono do gołej skóry, a ja nie dałem sobie włosów ogolić - miałem już sporego "języka". Tłumaczę temu pułkownikowi, że byłem w bardzo ciężkim obozie i tam pozwolono mi przed wyjściem zostawić włosy a dlaczego tu chcą mi je skasować. Pułkownik zagroził, że mnie tu zostawi. Ja na to, że może mnie zostawić, ale ja włosów nie dam sobie ściąć. Usiłowano mnie złamać ale ja nie pozwoliłem się ogolić. Wiedziałem, że jak moje dokumenty są w grupie wszystkich, to muszą mnie martwego lub żywego dostarczyć na miejsce tj. do Moskwy. Ja już poznałem ten system. W końcu machnął ręką, ale powiedział, że choć trochę muszę włosy podstrzyżać. Zrozumiałem, że on musi być górą, bo jest dowódcą konwoju i zgodziłem się - ale tylko trochę.

Wpuszczono nas do dwuosobowych kajut z pościelą. "Istny raj". W tym transporcie byli tylko mężczyźni. I uwierzyliśmy, że wolność jest przed nami. Na korytarzu była warta, jedzenie było dobre. Byłem pierwszy w czwórce, która poszła po posiłek do kuchni. Przed nami i za nami szedł konwój. Sierżant, pan pułkownik /prokurator/ - też. W kuchni od razu spytali skąd jesteśmy. My tylko patrzyliśmy co można zjeść a oczy dużo mówią. Powiedzieli: bierzcie ile wam potrzeba i jedzcie. Bali się tylko, czy się nie rozchorujemy. W międzyczasie przyszedł jakiś marynarz i pyta skąd jesteśmy. Ja mu zacząłem opowiadać, że mam kuzyna w Gdyni

marynarza /oczywiście - bujda/ i w efekcie dostaliśmy od nich dodatkowy pojemnik kabaczków nadziewanych z mięsem. Tylko dla nas i 2 butelki wódki. Ja o tej wódce nie wiedziałem. Oprócz dwóch Polaków w tej grupie byli Węgier i Rumun. Dzielimy jedzenie w kajutach, zaprosiliśmy kolegów, patrzymy - są butelki z wódką. Jedna nasza, druga wasza, pojemnik odnieśliśmy - pusty do kuchni. Prawdopodobnie ktoś doniósł i dowiedział się o tym pan prokurator. Wódkę wypiliśmy, zjedliśmy kabaczki, tylko nie wiedzieliśmy co zrobić z butelką. Na 2 lub 3 godziny przed obiadem przychodzi p. mnie sierżant i zabiera do kajuty prokuratora. Był tam sierżant i żołnierz z konwoju, który był z nami w kuchni. Prokurator pyta: "Kto wam wódkę dał?" - "Jaką wódkę?" - "Chuchaj". - Chuchnąłem. - "Od ciebie wódką śmierdzi". Odpowiadam - "To ode mnie głód śmierdzi, ja głodny". Chcieli mnie wa-
dzić do karceru, było ostre starcie. Mój kolega też się nie przy-
znaje. Każą nam po desce chodzić. A myśmy nic nie wiezieli, że
tamci się spili. Zrobili rewizję w kajucie. Butelki nie było.
A druga dwójka od transportu pijani, powiedzieli że to ja z ku-
chni wódkę przyniosłem. Wyparkem się więc posadzili mnie do kar-
ceru bez prawa opuszczania kajuty. Obiadu nie dawali, tylko ko-
lację. Przyszedł sierżant, który był przy moim przesłuchaniu,
do naszej kajuty i położył paczkę papierosów - "maładziec" po-
wiedział do mnie. Idziemy po kolację, ale nas już nie
puszczają do kuchni, tylko dali innych. Szef kuchni pyta, gdzie
są ci co rano byli? Bo tamci byli badani, a nowych lekarz musi
zbadać, czy mogą do kuchni przychodzić. Ale więcej już do kuch-
ni nie chodziliśmy. Od czasu do czasu jakiś marynarz nam coś przy-
nosił i w świetnych humorach dopłynęliśmy do Władystoku. Tam
wyładowano nas i przetransportowano do obozu. Tego dnia było
słońce, więc czekając na wagony rozebraliśmy się i opalaliśmy.

Wieczorem można było z nas skórę ściągać. Poparzeni byliśmy okropnie. Załadowano nas do wagonów bydłych /po tych luksusach na statku/, w każdym wagonie jechało po 2 konwojentów, wyznaczono po 2 służbowych i o dziwo pan prokurator wyznaczył i mnie. Była to ciężka praca: przynoszenie jedzenia i wody po kilka kubków. W czasie podróży największe zdziwienie budziliśmy u kolejarzy gdyż był to transport z więźniami, ale bez zakratowanych okien i bez specjalnych platform z konwojem na zewnątrz. Na stacjach etapowych 2 razy dziennie dawali posiłek: bałandę i porcję chleba /1/4 bochenka/, rybę i wodę, której zawsze było brak. W wagonie były prycze i materace, których co prawda nie starczało dla wszystkich, ale były. I oczywiście - parasza. Na jednej stacji w pobliżu Uralu - proponowali zaprowadzenie nas do odwaszalni, ale o dziwo - wszy nie było, poza tym była komisja lekarska i opatrzone rany po oparzeniach słonecznych.

Gdzieś tam udawało się coś wymienić /koc, miskę, łyżkę, kubek/ - na machorkę lub chleb - z kolejarzami. Te handlowe sprawy załatwiali właśnie dyżurni. Patrzone na to przez palce.

Do Połmy jechaliśmy około dwa tygodnie.

X B. Nie zatrzymywaliśmy się w dużych miastach. W Połmie na początku nikt z nas nie wiedział, co to jest za obóz i po co nas tu przywieźli. Wiedzieliśmy tylko, że przyjechaliśmy na stację Połma. Prowadzili nas ok. 3 km zwartą grupą. W nastrojach nic się nie zmieniło, bo marzenia o wagonach pulmanowskich, którymi przyjechaliśmy do Polski - już się rozwiały. Znowu jest obóz - druty kolczaste, wieżyczki itd. Czy wrywać się stąd, czy poczekać? Wchodzimy do obozu, nie sprawdzają nam dokumentów, tylko licząc grupę, dopiero w drugiej strefie sprawdzają personalia i robią

Pocm
rewizję. Podzielili nas na narodowości: Polacy, Rumuni, Niemcy, Węgrzy /Japończyków gdzieś oddzielili we Władywostoku/. Weszło nas ok. 30 Polaków - widzimy szpaler naszych, którzy nie pracują i nie mają numerów. Ja spotkałem kolegów, z którymi zetknąłem się w Brześciu lub w Maryńsku. Było sporo Polaków, którzy z Maryńska trafili na Workutę, do Norylska, Tajszetu, Karagandy. Spotkałem tam kolegę Marczewskiego z Łodzi, który był w Tajsziecie. Była radość, że wielu z nas przeżyło, że się znowu spotkaliśmy. Z Warszawy było nas aż dziewięciu - "grupa uderzeniowa". Niektórzy byli w tym obozie od maja, niektórzy od czerwca, a obecnie był koniec sierpnia. Czekały na etap do Polski. W obozie był sklepik, w którym można było kupić cukierki, machorkę i chleb. Niektórzy mieli trochę pieniędzy zapracowanych w obozie /tzw. konta/.

Po 2 - 3 dniach wezwano mnie do komendantury obozu i powiedziano, że wraz ze mną z Kołymy przekazano do obozu na moje nazwisko ok. 1000 rubli. Ja z tych pieniędzy mogłem korzystać, musiałem tylko powiedzieć, co chcę kupić. Do ręki natomiast pieniędzy nie dostałem. Zamówiłem 4 skrzynki cukierków, machorkę i parę bochenków chleba - od razu poszło 400 rubli na te zakupy. Od razu stworzyliśmy rodzinną grupę, dołączyli do nas Antoś Egermajer, Wyłomirski i inni. Chleb był wtedy w dowolnej ilości, mogłem kupić z własnego konta.

W obozie było ponad 1,5 tys. więźniów - większość Rumunów, którzy opanowali całą administrację: kuchnię, łaźnię, pralnię. Oni przyjechali pierwsi do obozu. Z początku nikt na to nie zwracał uwagi, ponieważ liczyliśmy, że za jakiś czas pojedziemy do kraju. Ale zaczęła się zima - listopad 1953 r. Pieniążki się skończyły, zakupki robi się rzadsza i zaczyna się znowu głód. Na robotę nie wychodzimy, nie ma możliwości uzyskania czegoś poza obozowym jedzeniem.

/Polaków - mężczyzn i kobiet oraz potem dzieci tych kobiet - było w obozie ok. 350 osób. Dzieci były w wieku 3, 7, 8 lat - widać urodzone w obozie. Była trochę mała rozpacz, bo nie wszystkie były chciane. Dzieci przyjechały z domu dziecka, matki oczywiście nie mogły ich poznać, tylko po nazwisku. Matka z dzieckiem oczywiście nie miała kontaktu./Były podobno aż 22 przypadki, że matka zrzekła się dziecka - nie chciała go. Były na ten temat różne opinie, przeważnie oburzenie/.

Zaczęliśmy się przyglądać kuchni opanowanej przez Rumunów i stwierdziliśmy, że nam nie wydają tyle ile się należy. Dawali tylko kapustę i chleb. Był taki zwyczaj, że jeżeli więźniowie zrobili głodówkę i utrzyma się ona dłużej niż 24 godziny, to nawet z najodleglejszych obozów trzeba było zawiadomić Moskwę. Postanowiliśmy urządzić głodówkę. Jeśli rozpoczniemy ją o zmierzchu, tzn. nie weźmiemy bałandy na kolację to kuchnia będzie miała zablokowane kotły i nie będą mogli przyrządzić obiadu i kolacji na następny dzień - więc głodówka utrzyma się 24 godziny. Wówczas załadamy przyjazd komisji. Komitet organizacyjny był oczywiście ściśle zakonspirowany. Węgrzy odnosili się do nas z sympatią, ale nie bardzo chcieli się przyłączyć. Rumuni nas nie poparli. Pikiety były jednak rozstawione i kto chciał wziąć jedzenie - to dostawał pałą. Nikt nie miał prawa wziąć tego posiłku ze stołówki - wystarczyłoby, że 2 - 3 osoby wezmą posiłek i głodówka byłaby zerwana. Trzymamy się rano, w czasie obiadu i zostało jeszcze parę godzin do wieczora. Naczelnny major prosił, obiecywał, ale my się trzymamy. Przed kolacją zwarta grupa Rumunów wychodzi z baraków przygotowana do walki /ok. 100 osób/. Znoszą te pikiety, dorwali się do stołówki i biorą kolację. Wtedy zaczęło się "pospolite ruszenie". Kto miał czym - to walił. Zaczęliśmy się bić. Węgrzy już razem z nami - przeciwko Rumunom.

Walka prawie na śmierć i życie. Biliśmy się chyba przez 2 godziny. Przed wieczorem zaczęły się salwy z wieżyczek, najpierw w powietrze, potem do ludzi. Do obozu weszło kilkunastu NKWD-istów i z automatami i jakiś wyższy oficer. Rozdzielili nas i poprosili, żeby komitet strajkowy wystąpił i porozmawiał z nimi. Oczywiście nikt się nie zgłosił. Żołnierze wybudowali zaraz parkan dzielący obóz na 2 części. Zapytali Węgrów, czy chcą być z Polakami czy z Rumunami. Po dyskusjach Węgrzy stwierdzili, że będą wracać do kraju z Rumunami, więc przyłączają się do nich. Żołnierze zrobili zaskieki z drutu kolczastego i tak zostaliśmy wydzieleni jako grupa polska - kobiety, i mężczyźni. Następnego dnia przyszedł major, wyraził żal i powiedział, że przyjdzie do nas nowy komendant i będziemy mieli sto razy gorzej. Trochę trzeba było opatrzyć rannych - kobiety pomogły. Następnego dnia wyłoniliśmy spośród siebie komendanta obozu, kucharza i całą służbę i zaczęliśmy się sami rządzić. Pierwsze posiłki okazały się wręcz obfite. Ale przyszedł listopad, zimno, więc proponują, czy nie poszlibyśmy popracować do kołchozu przy kopaniu kartofli. Zgodziliśmy się na to, pod warunkiem, że będziemy mogli przynieść do obozu trochę kartofli - tyle, żeby ich nie było widać. Przenosiliśmy je w spodniach. Poszło nas 150 osób - przy dość słabym konwoju. Pracowaliśmy nawet z ochotą. W czasie pracy nawet nam przywieźli na obiad, ugotowane ziemniaki z solą. Do obozu przeniesliśmy ok. 6 ton ziemniaków. Jeden niósł w spodniach, a dwóch musiało go z obu stron trzymać, żeby mógł iść. Wszystko poszło do kuchni. Następnego dnia poszło do pracy tylko 30 osób. To trwało do Bożego Narodzenia - chodzili tylko chętni. Nowy naczelnik obozowy /starego gdzieś przenieśli/, nie robił nam żadnych przykrości. Pytamy, kiedy wyjeżdżamy, odpowiedział, że za 2 tygodnie. Przed przygotowaniem transportu na pewno nam powie,

ale na Boże Narodzenie na pewno nie. Robimy więc przygotowania do wspólnej Wigilii. Mieliśmy ziemniaki, trochę mąki, więc chcieliśmy upiec jakieś placuszki, a może jakiś bimberek zrobić?...

XI A. Ogłaszamy, że jak będzie apel, to mamy przy komendancie podnieść krzyk, że są pluskwy i żeby nam przywieźli aparat do tępienia pluskiew. Był to metalowy balon z grzałką u dołu, zegar, od góry wlewało się wodę, która pod wpływem ogrzewania zamieniała się w parę i pod ciśnieniem przez rurkę para wylatywała i parzyła pluskwy we wszystkich szparach. Przywieźli aparat, była pokazowa lekcja i po kolei w barakach tępiiliśmy "te" insekty. Nie robiliśmy tego szybko, bo zależało nam na tym, żeby aparat został do Bożego Narodzenia. Ponieważ zdobyliśmy też drożdże, więc mieliśmy zamiar - za pomocą tego aparatu - zrobić małą himbrownię. Zrobiliśmy zacier, udało się wykonać chłodnicę i to wszystko robiliśmy na zapleczu kuchni. Kuchnia była przeznaczona /zgodnie z przepisami/, ten, co palił pod kołtami był oddzielony od kucharza. Próby pędzenia bimbru odbywały się w części palacza. Udało się nam uzyskać coś śmierdzącego i okropnego, ale z jakimś procentem alkoholu.

W rzeczywistości pluskiew w obozie nie było, ale ludziom kazaliśmy wolno w barakach parę puszczać - nie bardzo wiedzieli, dlaczego, ale powiedzieliśmy, że tak mają robić. "Wtajemniczony" był w to cały nasz sztab - 12-14 ludzi. Robiliśmy bimbier w nocy. Powiedzieliśmy naczelnikowi, że chcielibyśmy na Święta dostać trochę śledzi i czy pozwoli nam w Wigilię jeść kolację razem. Normalnie jadło się posiłki w 2 - 4 rotacjach. Naczelnik na początku nie bardzo się chciał zgodzić, bał się skupienia takiej dużej ilości ludzi, ale wytłumaczyliśmy mu, że to nasze Święta, że mieliśmy je spędzić w Polsce itd. Pozwolił nam też wyciąć w lesie choinkę - olbrzymią. Przybraliśmy ją kolorowymi lampkami

i ktoś powiesił gwiazdę betlejemską z czerwonej płachty. Jak naczelnik to zobaczył, to był bardzo zadowolony, bo uznał, że jest to "czerwona gwiazda" - sowiecka.

Przychodzi Wigilia, upiekliśmy racuchy, były śledzie, każdy miał w ręku swój kubek, a w dzbankach była ta 10 - 15-procentowa okowita. Naczelnika zaprosiliśmy i poczęstowaliśmy. Jak tego spróbował, to zrobił się taki purpurowy jak ta gwiazdeczka - jak jego, starego NKWD-zistę można było tak w konia zrobić. Po pewnym czasie chyba domyślił się, jak ten bimber zrobiliśmy i powiedział: "Jeśli macie honor, to żaden z was nie będzie rozrabiał po wypiciu, bo jeśli się któremuś zachce np. zdobywać wieżyczkę, to już nie żyje". Musieliśmy mu obiecać, że po kolacji będzie w obozie spokój. Na wieżyczkach co prawda stało po 2 żołnierzy, ale było w porządku. Po spróbowaniu napoju naczelnik wycofał się ze stołówki, bo dusza czekiasty nie pozwoliła mu oficjalnie aprobować tego, co się działo.

Na drugi dzień naczelnik przyszedł do kuchni i zaczął szukać aparatu do pluskiew. A myśmy go już wypłukali, rozmontowali i nie było śladu. Dopytywał się, jak myśmy to zrobili, ale nie powiedzieliśmy.

Wieczorami pojawiły się karty do gry, szachy - z chleba lub drzewa, gry salonowe i już był większy luz. Zaczęły się sympatie - kobiety zaczęły nas odwiedzać. Czasem robiło się kawały. Raz - Wiesio Wyłomirski /z Międzyrzecza/ wywieziony w 1945 r. na Warkutę, chciał żeby mu powróżyć. Wróżyłem ja. Dowiedzieliśmy się o nim sporo, m.in. o jego koleżance Zosi. Zacząłem mu wróżyć, że z kart wychodzi iż niedługo wrócimy na Trzech Króli, ale pech - bo twoja narzeczona wyjdzie za mąż na Boże Narodzenie. Chłopaki się śmieją, Wiesio się zdenerwował /nie przypuszczał że ja wiem o tej jego Zosi/. I to jest jedyny człowiek, z którym się

nie widziałem po powrocie. Myśmy co prawda nie powrócili do domu na Trzech Króli, ale przejechaliśmy polską granicę /z 6/7 stycznia 1954 r./, a Zosia wyszła za mąż na Boże Narodzenie. Ja tak już drugi raz wywróżyłem. Pierwszy raz sobie samemu. Piątego dnia Powstania byłem u rodziców, była rozmowa, kiedy to się skończy i ja powiedziałem, że Powstanie się skończy, kiedy będzie kupa gruzów, a pośrodku będzie Wisła płynęła. Żegnam się, mama pyta kiedy wrócę. "Za jakieś 10 lat, ale się nie ożenię". Wróciłem w 10 roku nieobecności w kraju.

54 W Święta nastroje były różne - przeważnie kiepskie i wrzące. Drugiego czy trzeciego dnia Świąt zabrali od nas Niemców i wywieźli do Niemiec. Naczelnik przyszedł, uspokajał nas, że już niedługo będziemy jechać o kazał nam zrobić listy, kto chce z kim jechać w wagonie. Złożyliśmy listę na dwa wagony a reszta na żywioł. I rzeczywiście zgodnie z tą listą zakładowali nas do wagonów i z 6 na 7 stycznia 1954 r. przyjechaliśmy do Brześcia i przekroczyliśmy granicę. W sumie było 6 wagonów /łącznie z kobietami i dziećmi/ obywateli polskich. W Brześciu nas wyładowano - 4 oficerów polskich nas witało /2 rybą karmionych/, przeliczono nas, nazwiska itp. Na stacji przechodziliśmy z wagonów sowieckich do polskich. Wagony zamknięto, pociąg ruszył. Uzgodniliśmy między sobą, że jak usłyszymy dudnienie pociągu, to znaczy, że przekraczamy Bug. Odkręciliśmy wtedy śruby od drzwi wagonu, otworzyliśmy drzwi i zaczęliśmy śpiewać "Rotę". Pod Terespołem pociąg zwalnia, zatrzymuje się i widzimy, że na śniegu poruszają się jakieś figurki. Ci czterej oficerowie i jacyś cywile wchodzą do nas i pytają, kto wagon otworzył. Mówimy, że drzwi się same otworzyły. Porucznik Pieniążek kazał nam wysiadać. Trochę się zdziwiliśmy, bo oprócz wojskowych byli cywile, z biało-czerwonymi opaskami z napisem "Komitet Repatriacyjny". Dziwiliśmy się, że nie ma

kobiet, bo w instytucji charytatywnej powinny być. Od razu się nastroszyliśmy, za cywilami stał kordon żołnierzy z automatami. Cywile przy wypuszczaniu nas z wagonów każdemu wręczali paczkę z jedzeniem i papierosami. Przy rampie kolejowej stały autobusy i od razu kazali nam do nich wsiadać. W każdym autobusie było 2 żołnierzy z tyłu. Początkowo każdy z nas zajął się tą paczką, zapalił papierosa, ale zaczynamy myśleć, co się dzieje. Jak załadowali autobus wsiadało dwóch następnych żołnierzy, autobus odjeżdżał kawałek i czekał na następnych.

IX B. Następny wagon był z kobietami. One nie chciały wsiąść do autobusu same, tylko chciały dołączyć grupkami do autobusów, w których byli mężczyźni. Wszyscy byli zmarznięci, było zamieszanie. W naszym pierwszym autobusie był porucznik Pieniążek, który pozwolił wsiąść kilku kobietom i dwojgu dzieciom. Z autobusu nie można było wysiąść nawet za "potrzebą". Zaczynały się niezadowolenia i podejrzenia. Wsiadło też paru cywilów - dopytują się skąd jesteście itp. Spróbowałem wyjaśnić Pieniążkowi, że tu są ludzie, którzy odsiedzieli duże wyroki, niejedno widzieli i mają takie "doświadczenie", że tych czterech żołnierzy mogą w oka mgnieniu rozbroić i może być tragedia. Zaproponowaliśmy konwojowi inną formę obchodzenia się z nami. Porucznik wyszedł, porozmawiał ze swoimi, zabrali z autobusu tych żołnierzy i pozwolili wyjść - ale tylko w pobliże autobusu, pod okiem żołnierzy. Trwało to do świtu zanim ruszyliśmy z ubezpieczonym konwojem autobusów, z zasuniętymi firankami. Powiedzieli, że jedziemy do Terespola do szkoły. Ale mijamy Terespol i jedziemy dalej. Zaczęli kręcić, że szkoła jest zamknięta, bo są ferie itp. Za Terespołem pozwolili nam odsłonić firanki - miejscowi wspominali swoje strony. Widzimy zniszczone krzyże. Po drodze zatrzymaliśmy się na herbatkę oraz na "załatwienie" się, na wydzielono-

nym placyku otoczonym przez wojsko. W końcu porucznik powiedział nam, że musimy jechać aż do Tomaszowa Lubelskiego, do strażnicy i prosił o zachowanie spokoju. Przyjechaliśmy do tej strażnicy WOP-u pod wieczór. Była opuszczona. Wewnątrz była wyposażona w sprzęt wojskowy - materace i łóżka. Nas było 360 osób. Było to za Tomaszowem, blisko granicy. Tam dostaliśmy posiłek. Obsługa strażnicy zaczęła wypytywać kim jesteśmy, skąd... Tacy "gówniarze" wypytywali nas chyba przez 2 dni. Por. Pieniążek do nas przychodził w ramach obowiązków służbowych i pytał, co nam potrzeba. Mówiliśmy, że szczoteczki do zębów, mydło, a przede wszystkim, żeby wyrzucił tych cywilów-gówniarzy z obozu, bo to może doprowadzić do nieszczęścia, oni więcej fermentu wprowadzają niż trzeba. Zniknęli bez śladu. Był fryzjer, palacz, siostry sanitariuszki, wszyscy nas wypytywali o przeszłość a myśmy im opowiadali różne głupstwa. Po tygodniu przyjechali fachowcy i zaczęli wzywać na śledztwo - czyli na wyjaśnienia. "Kum" rodak wyjaśniał: nie mam o panu paru wiadomości. Nie wiem, jak się pan naprawdę nazywa, proszę o podanie takich danych, które będę mógł sprawdzić w Polsce. Jeśli sprawdzą i się to potwierdzi, to pan wyjdzie i pojedzie do domu. Niech pan powie, co pan uważa za słuszne, abym tylko mógł sprawdzić. To przynajmniej było jakieś uczciwe postawienie sprawy. Sowieci nic władzom PRL nie przekazali, za wyjątkiem listy i człowieka. W Polsce nie było żadnych dokumentów świadczących o tym, że byliśmy w Rosji i za co.

Ja zostałem "zweryfikowany" 19 stycznia i mogłem jechać do Warszawy. Pytałem, czy mogę poczekać na mojego kolegę, ale pozwolili tylko na jeden dzień i wysłali do Warszawy.

Była nas grupa, która znała się jeszcze z czasów konspiracji /Stasio Grossman i inni/. Umówiliśmy się, że ten, który pierwszy przyjedzie do Warszawy, ma czekać na Dworcu Wschodnim na następ-

nego - przychodzić codziennie, żeby go odebrać i pomóc zadomowić się. Z tego obowiązku mógł być zwolniony dopiero do czasu przyjazdu tego następnego. Poza tym musiał dowiedzieć się, kto żyje z rodzin pozostałych kolegów. Ja miałem czekać na Stasia Grossmana, a na mnie inny kolega. Ja co prawda nie wiedziałem, gdzie jest moja rodzina, bo żadnego kontaktu z rodzicami przez cały czas nie miałem. Do rodziców trafiła kartka wysłana /wyrzucona/ z wagonu w 1945 r. w Terespolu lecz do nich dotarła w 1947 roku. Nie chciałem pisać i niepotrzebnie ich niepokoić, bo wiedziałem, co się działo po śmierci brata w 1942 r. Mnie żadna pomoc z ich strony nie była potrzebna, zresztą nie mogłem jej dostać. Nawet z Tomaszowa Lubelskiego nie wysłałem żadnej wiadomości. Mogłem tylko napisać że żyję i co dalej? Mama cały czas wierzyła, że żyję. Wszyscy uważali, że ma "świra" po stracie dwóch synów.

21 stycznia musiałem wyjechać do Warszawy /chyba 6 osób/. Wiedziałem, że matki brat ukrywał się w czasie okupacji w Aninie. Postanowiłem tam wysiąść. Miałem wątpliwości, czy kolega, z którym byłem umówiony na Dworcu Wschodnim, będzie na mnie czekał. Czułem się niepewnie, prawie tak, jak przed wyjściem z obozu na wolność. W pociągu też na nas dziwnie patrzyli, wiedzieli, że jadą Polacy "stamtąd", bali się z nami rozmawiać. Niektórzy pytali, czy dużo nas tam jeszcze siedzi. I gdyby pociąg zatrzymywał się w Aninie, to bym chyba wysiadł, bo mimo wiary w przyjazd miałem pewne zwątpienia. Dojeżdżamy do Warszawy Wschodniej i coś mi mignęło, jakaś znajoma postać. Ktoś się do mnie śmieje. Patrzę, że twarz znajoma - skazańca. Ale on inaczej wygląda. Był to Kazio Ścibor /już nie żyje, pseudonim "Gasparone"/. W jednej sekundzie miałem całą informację, że matka żyje. Ojciec też ale nie ma ich w Warszawie, mieszkają w Opolu. Ciotka i wujek mieszkają w Warszawie.

kają w Warszawie. Pozostała rodzina żyje. Nogi miękkie, łyzy w oczach... Pojechaliśmy taksówką do mieszkania jego Matki na Żelazną. W drodze rozmawialiśmy między sobą, na miejscu chcemy płacić, a taksówkarz nie chciał wziąć ani grosza. Wchodzimy do mieszkania. Jego mama znała mnie wcześniej, w pierwszym momencie Kazio dostał w twarz ze złości i radości, że jej nie powiedział o moim przyjeździe. Potem poszedłem do wujka - ubrany jeszcze w fufajkę i czapkę z daszkiem - obozowe ubranie. Pukamy - nikt nie otwiera. A żona wuja, który wtedy pracował na poczcie, zobaczyła nas przez okno i myślała, że to jakieś podejrzane typy i nie chciała otworzyć. Po pewnym czasie otworzyła i pyta: "Panie do kogo?". Mówię: "Jak to do kogo? Do was!". Wtedy nas poznała i woła: "Janek wyłaź". A wuj wychodzi z szafy. Po rozmowie wuj nadał błyskawicznie telegram do rodziców - nie mówiąc mi o tym. Potem poszliśmy do mojej ciotki, która jeszcze miała sklep. Ciocia od razu mnie poznała, sklep zamknęła i poszliśmy do domu. W tym czasie żyła jeszcze babcia - matka mojej mamy i ciotki, więc był problem jak powiedzieć to tej starszej pani. Nam dali zdjęcia - do zameldowania się w ciągu 48 godzin /kart repatriacyjnych już nie wydawali/ i postanowiliśmy pokazać babci najpierw moje zdjęcie. Ciotka weszła do pokoju, powiedziała babci, że ma informacje o Waldku /że jadę do Polski w jakimś transporcie/ i pokazała zdjęcie. A babcia na to: "Ile musiałas dać za tę informację?". Myśmy wtedy nie wytrzymali i weszliśmy wszyscy do pokoju. W pierwszym momencie babcia mnie nie poznała, ale potem było powitanie.

XII A. Następnego dnia przyszedł telegram od ojca, że wiedzą już o moim powrocie do Warszawy, ale nie mogą przyjechać, bo mama miała szok nerwowy. Dopiero wtedy wujek Janek przyznał się, że wysłał telegram i narobił tego całego zamieszania. Wujek poszedł

na pocztę i odtelegrafował, że my przyjedziemy do Opola. Tylko podał - na wszelki wypadek - późniejszy termin.

Ze mną był jeszcze problem - z ubraniem. Jeszcze chodziłem w obozowym z walizeczką. A jednocześnie wiedziałem, że od następnego dnia mam dyżur na Dworcu Wschodnim, więc jak tu do Opolajechać? Umówiłem się z Kazkiem, że na pierwszym dyżurze zastąpi mnie na Dworcu, a ja za dobę wrócę. Pojechaliśmy z ciotką do Opola, po drodze jeszcze dużo pytań było: dlaczego, dlaczego itp. Przyjechaliśmy rano, jedziemy taksówką, patrzymy - w oknach pali się światło, już nie śpią. Wchodzimy - mama jakaś mała, mnie się wydawało. Zaczynamy się całować, tańczyć... Na śniadanie mama zrobiła jajecznicę, ale widzę, że soli ją raz, potem drugi, za trzecim razem zaprotestowałem; ale po chwili zapytała: "Czy ja to posoliłam?". To już było dużo śmiechu. Powiedziałem, że muszę następnego dnia wyjechać - nie mówiłem po co. Poszliśmy do sklepów, kupiliśmy ubranie. Stare zostało spalone, chociaż ja chciałem je zachować na pamiątkę. Wieczorem wyjechałem do Warszawy, na dyżury dworcowe. Ostatni z grupy przyjechał Egermajer Antos /nie żyje/ - dopiero w marcu. Prócz tego Pestka, Zisteman, Marczewski, Radzimirski, Borek. Przez mieszkanie ciotki i wujka przewinęli się wszyscy - to była jakby baza przesyłowa. Myśmy już wiedzieli, gdzie są ich rodziny. Bardzo nam pomogły panie z PCK - wszystkie informacje umiały zdobyć z kartotek spod ziemi. Z kolei myśmy im też udzielali wiadomości - kto jeszcze tam został itp.

I tak się zaczął żywot.

Jak przyjechaliśmy do Polski, tzw. Komitet Repatriacyjny dawał nam zaświadczenia, że zostaliśmy zwolnieni z polskiego więzienia. Warunkiem wypuszczenia z Tomaszowa Lubelskiego - z tej tzw. kwarantanny - było podpisanie oświadczenia, że pod karą 5 lat więzienia nie będzie się mówiło, że było się w ZSRR.

Dla mnie Tomaszów nie był to normalny obóz, dawano mi jeść do syta, było nam ciepło. Wolny nie byłem, ale ten biedak, który stał z karabinem i nie wiedział kogo pilnuje. Potem płakał przez druty, że musi Polaków pilnować. Na pewno psychicznie byliśmy trochę zgnębieni, ale nie mogliśmy tego pokazać i dopuścić, żeby nas na końcu mogli wykończyć psychicznie. To im się nie udało.

Już po powrocie do domu skończyłem technikum zaocznie. W 1955r. zdawałem na Politechnikę i nie zostałem przyjęty, a wiem, że zdaniem. Dopytywałem się, dlaczego mnie nie przyjęli. Powiedziano, że życiorys nie taki, że 10 lat brakuje w życiorysie. Zapisałem się na Koszykową /naczelnik MSW/ w życiowej sprawie osobistej. Przyjęli mnie na 3 piętrze, siedział jakiś Żyd i pyta co mnie do niego sprowadza. Opowiedziałem mu o wszystkim. Pytał czy był głód, a ja na to, że nie, bo można było wszystko załatwić lub kupić. On patrzy i mówi: "Wie pan, nie przypuszczałem, że po 10 latach obozu można mieć jeszcze tyle energii". A u mnie zapaliło się czerwone światełko, że na pewno teraz będzie chciał skazywać na 25 lat. Powiedziałem, że chcę wrócić do społeczeństwa, ale ponieważ nie mam kapitału, więc mogę tylko z głową wrócić. Chciałem skończyć Politechnikę, ale mnie nie przyjęli. Poradził, żebym napisał oględnie podanie, że przez te 10 lat byłem w ZSRR i że nie mogę ujawnić szczegółów, gdzie nie byłem. W 1956 r. zdałem drugi raz egzamin i piszę podanie: "Od marca 1945 r. do stycznia 1954 r. byłem na terenie ZSRR. Zgodnie z instrukcją MSW nie mogę podać szczegółów". Zostałem przyjęty na Wydział Budownictwa Przemysłowego. Jeśli mam pretensję, to nie do nich, Światów, tylko do naszych władz PRL, które się o nas nie upomniały, np. towarzysze z PPR mówili, że Polaków w Rosji nie ma.

A Sowietci wymordowali więcej swoich niż nas. Nasza Żydo-Komuna wiedziała o cierpieniu Rodaków w ZSRR - po prostu sprzedali nas - i są podwójnymi zbrodniarzami, bo "tamci" męczyli mnie jako swego wroga. A nasi wiedzieli, jak sprawa wyglądała. Władza zaślepia.

Synowi niewiele przekazałem z moich bajkowych przeżyć, bo nie chciałem go zatruć. Uważałem, że nie mogę wychowywać dziecka w nienawiści do kogokolwiek. Ja swój los wybrałem sam i konsekwencje tego ponosiłem też sam. Jeśli mnie pytali - to mówiłem i wyjaśniałem, np. na temat Powstania Warszawskiego. Młodzież sama zaczynała myśleć, ale ja sam nigdy nie starałem się narzucać swoich poglądów. Nigdy ojciec nie może być wzorem cierpienia lecz życia.

Po powrocie do kraju byłem tylko 24 godziny w Opolu, potem pojechałem do Warszawy. Spotkałem polonistę, p. Dąbasa /?/, który namawiał mnie na pisanie pamiętnika, a potem, żeby mi mówił a on będzie zapisywał. Ja się nie zgodziłem, bo wątpiłem w to, czy on mi uwierzy. W mentalności naszego społeczeństwa z 1955 r. nie mieściło się to, co człowiek przeżył. Od razu padało pytanie tego typu: "A jak ty przeżyłeś, jak to się stało? Skoro tylu ludzi zginęło?". Poza tym nie dopuszczali do głowy myśli, że komuniści mogli zabijać ludzi. Nawet mój własny ojciec nie bardzo chciał w to wierzyć. On znał Sowietów, jak żyse konie, ale do 1931 r. i jeszcze wierzył w to, że człowiek jest człowiekiem. To byli jeszcze Rosjanie-Bolszewicy z okresu przedrewolucyjnego, a nie znał już tych etatowych morderców spod znaku Czerwonej Gwiazdy lat 1935-1955.

*Autoryzuję ten tekst spisany z tego - nagranie pras.
p. Giezińskiego w czasie VII - X 1990. Stron. 74.
Ewentualny druk wspomnień po etymologii zgodny
Autorem tj. W. Pomorskiego*

17-12-27.08.1991

(Kurs)